

Elizabeth Palmer

STARA
FORTUNA

Prószyński i S-ka

PALMER ELIZABETH

STARA FORTUNA

Morgan Steer i Tom Marchant to przystojni, czarujący i pozbawieni skrupułów młodzi ludzie. Obaj pragną zdobyć majątek, najlepiej przez poślubienie pięknej i bogatej kobiety. Wspólnie penetrują najlepsze kręgi towarzyskie Londynu.

Tom rozsmakowuje się w kolejnych podbojach, ale Morgan nie potrafi zapomnieć o swej pierwszej miłości, Caroline Barstow, która od dawna jest żoną innego. Bardziej pod wpływem rozpacz niż uczucia oświadcza się zimnej, pięknej i bogatej Chloe Post i zabiera ją do Northumberland. W rodzinnym domu budzą się w nim dawne namiętności, budzi się zazdrość, a gorzka rezygnacja ustępuje miejsca marzeniom o wyśnionej przyszłości.

GRUDZIEŃ **i** STYCZEŃ

1

Spadła czy została zepchnięta? Chloe Post nigdy nie miała poznać odpowiedzi na to pytanie; przynajmniej nie na tym świecie.

Straciła równowagę, a ponieważ była w zaawansowanej ciąży, nie zdążyła w porę uchwycić się poręczy... Stoczyła się ze schodów i upadła bezwładnie u ich stóp jak szmaciana lalka. Chloe nie bała się śmierci; była tylko zaskoczona jej nagłym nadejściem. Przed oczami przesuwała jej się w zwolnionym tempie seria filmowych ujęć.

Ona i Morgan oraz Tom i Joanna spotykają się na przyjęciu. Pstryk. Ona i Morgan w łóżku. Pstryk. Ona i Morgan w Northumberland, gdzie poznała Leonorę Steer, Cassandrę, Clare i Julię. Pstryk. Ona i Morgan na swoim ślubie - uśmiechają się, uśmiechają, uśmiechają. Pstryk, pstryk, pstryk. I wreszcie ona - która bała się związanego z porodem bólu i poniżenia - mówiąca z uśmiechem do Morgana: „Kochanie, czy to nie wspaniałe, jestem w ciąży?” Pstryk. Jeszcze jedno zdjęcie do albumu. Moje małżeństwo było klęską, przemknęło jej przez myśl w krótkim przyływie świadomości. Uderzyła głową o podłogę i znieruchomiła - zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią. Pstryk. Ostatnie ujęcie.

2

Niecały rok wcześniej Morgan Steer i jego gość, Tom Marchant, który przybył poprzedniego wieczora, schodzili tymi właśnie schodami.

Minawszy hall, skierowali się na prawo, do dużego, mrocznego salonu. Zbliżała się pora lunchu.

- Drinka? - spytał Morgan.

- Whisky z wodą - odpowiedział Tom, który nigdy nie odrzucał takich propozycji.

Morgan nalał przyjacielowi whisky, a sobie ginu z tomkiem.

- Naprawdę cię wyrzuciła? Co masz zamiar teraz zrobić? Tom wzruszył ramionami. Z żalem myślał o pieniądzach

Primrose. Gdyby parlament nie przegłosował ustawy o ochronie majątku kobiety zamężnej, on byłby teraz właścicielem ogromnej fortuny...

Gdyby wciąż obowiązywała Karta Rake'a...

- Nie mam pojęcia - odpowiedział.

- Cóż, przynajmniej masz pracę. Wielu ludzi nie ma. Pamiętając, że Morgan także do nich należy, Tom odparł bez entuzjazmu:

- Tak, mam chociaż to.

- Może Primrose wróci.

- Nie sądzę. Już złożyła pozew o rozwód i nie chce kontaktować się ze mną inaczej niż za pośrednictwem adwokata.

Morgan milczał. Pamiętał, jak kapryśna i bezwzględna była Primrose już za czasów szkolnych. Właśnie przez te cechy

jej charakteru Tom utracił spadek i dobrze płatną pracę. Obaj z Tomem wiele razem przeżyli, razem też potrafili nieźle narozrabiać.

Zaślepiąca Primrose Marchant najwyraźniej w końcu przejrzała na oczy. Prawdopodobnie przyczyniły się do tego artykuły zamieszczone w prasie brukowej.

Morgan zastanawiał się, dlaczego wszczęła postępowanie rozwodowe dopiero teraz, skoro Tom zdradzał ją przez bez mała dwa lata ich małżeństwa. Wszyscy zawsze sądzili, że

o tym wiedziała. Ale może jednak było inaczej.

Już otwierał usta, żeby zapytać, co sprawiło, że tak radykalnie zmieniła o Tomie zdanie, lecz on uprzedził go, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Przyłapała mnie na gorącym uczynku. W jej własnej sypialni, z Tessą Lucas.

Morgan westchnął współczująco. Primrose nie była piękna. Jedyne jej atuty stanowił odziedziczony po ojcu ogromny majątek. Morgana nie dziwił fakt, iż widok Tessy z Tomem w jej, Primrose, własnym łóżku, był dla niej nie do zniesienia. Oczywiście, nie było w tym nic śmiesznego, ale obaj zaśmiewali się teraz tak, jak zaśmiewali się w ciągu całej wspólnie przeżytej młodości. Mimo że strata finansowa mogła okazać się bardzo dotkliwa.

- Będę musiał poślubić więcej funtów szterlingów. Albo jeszcze lepiej - dolarów. Radzę ci zrobić to samo - powiedział Tom.

Nie można było nie przyznać mu racji. Podobna myśl zaświtała także w głowie Morgana. Morgan miał w tym czasie jedynie skromny dochód - pensję wydzielaną przez sędziwą babkę. Nie odpowiadała mu jednakże perspektywa małżeństwa dla pieniędzy. W odróżnieniu od Toma, Morgan miał duszę romantyka.

- Może. Oczywiście mam odziedziczyć znaczną część rodzinnego majątku, ale babka wciąż trzyma się świetnie

i pewnie dobije setki, zanim wreszcie wyciągnie nogi. No i są jeszcze ciotki. I matka. Pewnie one też coś dostaną.

Pamiętając o własnym rozczarowaniu, Tom zauważył:

- Na twoim miejscu nie liczyłbym zbyt na spadek. Morgan miał jednak wszystko dokładnie wykalkulowane.

- Cóż, nie wiem, komu jeszcze mogłaby to wszystko zapisać. Nie lubi zwierząt, nie chodzi do kościoła, nie angażuje się w działalność dobroczynną. Ciotki też są już niemłode. Jedna z nich jest w dodatku stuknięta. A poza tym w przeciwieństwie do ciebie - nie mam znajomego się na kruczkach prawnych braciszka, który mógłby się wtrącić.

- Tak, pewnie masz rację.

Tom błędził oczyma po ciemnozielonym pokoju, w którym się znajdowali. Czuł się jak w muzeum, w którym zgromadzono ogromną liczbę eksponatów. Przyprawiało go to o klaustrofobię. Swobodne poruszanie się było tu niemożliwe. Co chwila ktoś potykał się o stojący na ziemi podnóżek lub ranił o ostre kandy niskiego, stojącego przy sofie stolika. Na podłodze przed kominkiem leżała skóra tygrysa, zastrzelonego przez Spencera Steera w czasach jego fascynacji Indiami. Tułów i łapy zwierzęcia były spłaszczony jak u przejechanego przez walec drogowy kota z filmów rysunkowych, a jego masywny, wypchany łeb stanowił kolejne zagrożenie dla tych, którzy chodzili, nie patrząc pod nogi. Ozdoby, lampy, zasłony i przypadkowo zgromadzone meble rozmieszczono tu bezładnie, wbrew współczesnym tendencjom, preferującym ład i prostotę. W kącie umieszczono szklany klosz z wielkim wypchanym ptakiem. Otaczały go spłowiałe sztuczne kwiaty i owoce; wszędzie unosił się kurz. Za oknami przesłoniętymi do połowy ciężkimi zasłonami z ciemnozielonego aksamitu rozciągał się ponury, majestatyczny krajobraz Northumberland. Dziki, przytłaczający i niegościnnie. Zupełnie niepodobny do łagodnej krainy, otaczającej rodziną posiadłość Toma. Dom Steerów także nie przypominał w niczym świętego domu Marchan-tów, choć wszędzie krążyły plotki, że pokaźna część majątku wciąż znajduje się w łapach niespożytej seniorki rodu -Leonory Steer.

Drzwi się otworzyły i weszła Leonora we własnej osobie. Wniosła ze sobą atmosferę powagi i siły; zdawała się komunikować światu, iż oczekuje od niego należnego uwielbienia.

Obaj mężczyźni wstali. Było powszechnie wiadome, że babka Morgana przywiązuje dużą wagę do etykiety i ceni dobre maniery.

- Witaj, Tomie - powiedziała Leonora i lekko skinęła głową.

- Dzień dobry, pani Steer - odparł Tom z ukłonem.

- Morganie, nalej mi, proszę, ginu z tonikiem. Może być podwójny.

Zjedzenie zupy ugotowanej przez Clare będzie od nas wymagało sporej odwagi.

Tom obserwował, jak Leonora opróżnia szklanekę i prosi Morgana o jej ponowne napełnienie. Nic dziwnego, iż dożyła dziewięćdziesiątki, skoro pije gin w takich ilościach. Po prostu jest zakonserwowana od środka, pomyślał. Zapadła cisza. Niczym w obecności królowej, czekali, aż Leonora zabierze głos. Wreszcie raczyła podjąć rozmowę:

- Niestety, Clara jest także odpowiedzialna za pieczęń. Obawiam się, że może się to skończyć katastrofą.

- Nie rozumiem, babciu, dlaczego nie zatrudnisz kucharza?

Morgan od dawna oczekiwał sposobności, aby to babce zasugerować, i teraz uznał, że nie może przepuścić nadarzającej się okazji.

Leonora, znana ze swej legendarnej „oszczędności”, poprawiła sobie sznur pereł wokół szyi, spojrzała przeciągle na Morgana i oświadczyła:

- To absolutnie wykluczone. Nie możemy sobie na to pozwolić. Lepiej nie trwonić twojego dziedzictwa, Morganie. Któregoś dnia mi za to podziękujesz.

Prawdopodobnie, pomyślał, jeśli wcześniej nie umrę z głodu. Milczał pokonany.

Leonora zwróciła się do Toma.

- Słyszałam, że opuściła cię żona. Mogę wiedzieć dlaczego?

Tylko dziewięćdziesięcioletnia patrycjuszka mogła sobie pozwolić na zadanie takiego pytania. Tom miał ochotę odpowiedzieć: „To nie pani interes, pani Steer”, lecz rzekł tylko:

- Złe prowadzenie się.

A potem, uprzedzając pytanie czające się w uniesionych w wyrazie zdziwienia brwiach starej damy, dodał:

- Niestety, moje, pani Steer. Kokieteryjnie udał skruchę. Bardzo jej się to spodobało.

- Niegrzeczny chłopiec! - figlarnie pogroziła mu palcem. - Wino, kobiety i śpiew, co?

Leonora zawsze lubiła takich figlarnych łobuziaków. W swoim czasie miała wielu kochanków, ale zachowała dość rozsądku, aby nie poślubić żadnego z nich. Chociaż z drugiej strony, myślała, oba moje małżeństwa były tak przerażająco nudne. Zwłaszcza Spencer - z tą swoją sztywną, anglosaską dżentelmenerią...

Obserwując jej przebiegłą, wyrazistą twarz, Tom przyznał:

- W istocie. Jeśli chodzi o ścisłość - wino, kobiety i hazard. Leonora roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem.

Tom nagle zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze jest interesująca - mimo wieku.

- Masz jakieś pieniądze? - Pani Steer najwyraźniej celowała w zadawaniu kłopotliwych pytań.

- Niestety, niewiele.

- Och, oczywiście. Przecież tobie jednemu nie dostało się nic z fortuny Marchantów, czyż nie? Cóż - nikt nie ma za dużo pieniędzy. Powinieneś się bogato ożenić. Gdy spłodzisz pięcioro dzieci, będziesz mógł robić, co ci się żywnie podoba. Podobnie jak ty, Morganie. Morganie! Słuchasz, co do ciebie mówię? Jeśli będziesz się dobrze sprawował, zostawię ci coś niecoś w spadku, ale to prawdopodobnie ci nie wystarczy.

- Czasy się zmieniły, proszę pani - powiedział Tom. - Człowiek może się bogato ożenić, ale nie może położyć ręki na pieniądzech żony, jeśli ona mu na to nie pozwoli.

- To dobrze - odparła zaczepnie jego rozmówczyni, która zawsze lubiła dzierżyć władzę w swoim ręku. Gestem dała znak wnukowi, by nalał jej jeszcze jedną szklanekę ginu z tonikiem.

W kuchni rozległ się gong wzywający na posiłek. Leonora wstała i pewnym krokiem ruszyła w stronę jadalni. Nic nie wskazywało na to, że przed chwilą wypła pięć szklanek ginu z tonikiem. Uroczyście zajęła miejsce u szczytu stołu. Za plecami Leonory wisiał na ścianie wielki olejny obraz - jej portret z czasów młodości. Widniała na nim drapieżna kocica w wydekoltowanej wieczorowej sukni, pochylona lekko do przodu, z wyrazem szczerzej zachęty w oczach. Po przeciwnej stronie jadalni wisiała podobizna jej drugiego męża - Spencera Steera, także w stroju wieczorowym.

Cóż za zarozumiały głupiec, pomyślał Tom, gdy po raz pierwszy zobaczył ten portret. Później dowiedział się, że Spencer przypadkowo się zastrzelił z własnego rewolweru.

Poprzedniego wieczora Tom przybył bardzo późno i nie zdążył się przywitać ze wszystkimi domownikami. Toteż zanim zajął miejsce przy stole, zajrzał na chwilę do kuchni.

Kuchnia wyglądała tak, jakby przeszarżował przez nią oddział kawalerii. Wszędzie walały się brudne garnki, a w kącie leżały skorupy porozbijanych naczyń. Clara Steer stała odwrócona plecami do Toma i mieszała coś w wielkim, bulgoczącym garze.

Była przynajmniej dwa razy grubsza od matki; stateczna, choć nie pozbawiona kobiecości, o kanciastej budowie ciała. Miała na sobie wełnianą suknię i grube pończochy; na jej szyi połyskiwał sznur pereł. Była całkowicie pochłonięta swoim zajęciem, to znaczy mieszaniami czegoś, co najprawdopodobniej było zupą, przewidzianą na dzisiejszy obiad.

Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, Clara odwróciła głowę i pierwsza spostrzegła Toma. Zachichotała niepewnie, zaskoczona jego nagłym pojawieniem się w kuchni. Tom ucałował najpierw pomarszczony policzek Clary, a potem podszedł do Cassandry i do Julii. Zastanawiał się, dlaczego te trzy starze-

jące się, opuszczone kobiety mieszkają tu i czekają na śmierć Leonory Steer.

Jedzenie, które w końcu pojawiło się na stole, było okropne. Zupę wniesiono i wyniesiono, po czym Morgan zabrał się do krajania czegoś, co sądząc po kolorze, miało być chrupiącą pieczeniową wieprzową, a w rzeczywistości było wielkim, tłustym ochłapem nie dopieczonego mięsa. Po jednej czy dwóch nieudanych próbach podjęcia chaotycznej konwersacji wszyscy umilkli, przeszukując swe porcje w nadziei na znalezienie choćby jednego chudsze kęsa. Dopiero pudding przyrządzony z lekkiej cytrynowej pianki okazał się dla wszystkich miłym zaskoczeniem. Może, pomyślał Tom, Julia nauczyła się gotować podczas swojego krótkiego małżeństwa z majorem Fredem. Wyglądniały, zabrał się gorliwie do opróżniania talerza. Postanowił, że aby uniknąć wieczorem podobnej biesiady, zabierze Morgana na kolację.

Gdy znalazł się w końcu w łóżku, w sztywno wykrochmało-nej pościeli, nadal rozmyślał o rodzinie Steerów. Tom odwiedzał już Northumberland, choć jego stosunki z Morganem lepiej układały się w Londynie, gdzie Morgan zajmował mieszkanie Steerów w Knightsbridge.

Historia rodziny Steerów była niezwykła. Leonora dwukrotnie wychodziła za mąż i - Tom był gotów się o to założyć - oba małżeństwa ją rozczarowały. Na chwilę przypomniał sobie Camille Vane - kobietę, którą był kiedyś prawdziwie oczarowany. Wspomnienia wywołały w nim falę dawnego pożądania („Gdzież ona się teraz podziewa?"), lecz pokonał je zdecydowanie i wrócił do rozmyślań o swojej gospodyni. Jej pierwszy mąż, Maxwell, którego portret wisiał w hallu - przeniesiony tam prawdopodobnie z jadalni, kiedy Leonora poślubiła Spencera - wyglądał na ugrzeczniejszego fajtlapę. Może - dumiał Tom - tak to się w tamtych czasach odbywało. Brano ślub wyłącznie dla wygody i pieniędzy, a potem każde z małżonków prowadziło własne życie, angażując się od czasu

do czasu w przelotne romanse, mimo iż wszelkie pozory szacownego związku małżeńskiego pozostawały zachowane. Tomowi, który był z natury poligamiczny, bardzo odpowiadałby taki stan rzeczy. Legenda głosiła, że Leonora miała bardzo wielu kochanków, był wśród nich podobno sam książę Walii. Prawdopodobnie Maxwell też ją zdradzał, dopóki nie umarł na gruźlicę, a kiedy jego miejsce zajął Spencer, bez wątpienia wszystko zaczęło się od początku.

Tom ziewnął. Powietrze tutaj było tak inne od londyńskiego, że zwykle potrzebował jednego lub dwóch dni, aby się zaaklimatyzować.

...Leonora nie wygląda na osobę, która posiadałaby choćby umiarkowany instynkt macierzyński. Dziwne, że aż trzy razy zachodziła w ciążę.

Pewnie chciała urodzić syna. Założę się, iż fakt, że go nie miała, psuł jej własny wizerunek, który sobie obmyśliła, pomyślał Tom. Spojrzał na zegarek. Było już kwadrans po północy. Zgasił światło.

3

Następnego ranka wstał o ósmej. Odsunął zasłony i wyjrzał przez okno. Niebem sunęły nisko szare, skłębione chmury, obrzeżone żółtawą poświatą słonecznych promieni. Pojedyncze płatki śniegu wirowały gdzieś w gęstym, nieruchomym powietrzu. Zapowiadano silne wiatry. Na myśl o tym, że może zostać uwięziony w Armitage Lodge, ogarnęło Toma przygnębienie. Miał nadzieję, że gwałtowna zmiana pogody nie zaskoczy go przed wyjazdem do Londynu.

Pokój, który zajmował, nie miał osobnej łazienki: w kącie umieszczono tylko umywalkę. Tom, który co rano zaczynał dzień gauloise'em i gorącym prysznicem, rozważał przez chwilę możliwość skorzystania z mikroskopijnej, wręcz spartańskiej łazienki, sąsiadującej z jego pokojem, lecz po chwili odrzucił ten pomysł. Prawdopodobnie tam też było zimno jak w psiarni.

Odkręcił kurek przy umywalce i stwierdził, że nie ma ciepłej wody. Pojawił się kolejny problem: jak się ogolić. W domu nie było gniazdka, do którego można by włączyć golarkę elektryczną, toteż Tom przezornie przywiózł ze sobą przybory do golenia. Zrezygnowany, użył w końcu ciepłej wody z termoforu.

Kiedy zszedł na śniadanie, w jadalni zastał tylko Morgana. Powitał go z ulgą.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał, nalewając sobie kawy i biorąc zimną grzanekę.

- Babka zwykle je śniadanie w łóżku. Mama czyta w swoim pokoju, a jeśli chodzi o ciotki - nie mam pojęcia, gdzie się podziewają. Może masz ochotę na małą wycieczkę? I wizytę w pubie? Jeśli nikt z domowników nie będzie potrzebował samochodu, możemy pojechać do Housesteads i przespacerować się wzdłuż Wałów Hadriana. Weźmiemy ze sobą Jardi-ne'a. Przyda mu się trochę ruchu.

Usłyszawszy swoje imię, Jardine, czarny ogar Morgana, nastawił uszu.

- Jestem za! - Tomowi odpowiadała perspektywa opuszczenia tego domu i zjedzenia obfitego posiłku. - Jaka jest prognoza pogody?

- Nie najlepsza. Ale jeśli pogoda rzeczywiście się pogorszy, znikamy stąd. Weźmiemy taksówkę i złapiemy najbliższy pociąg do Newcastle, a stamtąd do Londynu. Nie martw się, nie mam ochoty utknąć tu na dobre. To przynajmniej było pocieszające.

- Nie rozumiem, dlaczego tak często tu przyjeżdżasz? To piekielnie uciążliwa podróż.

Morgan wzruszył ramionami.

- Muszę co jakiś czas składać uszanowanie babuni, a poza tym - tutaj są pieniądze. Obojętność z mojej strony mogłaby okazać się zgubna. W końcu babka nie ma obowiązku uczynić mnie swoim spadkobiercą, a lubi, gdy się jej okazuje szacunek.

Nie wątpię. Stara, tyranizująca wszystkich flądra, pomyślał Tom, a przypomniawszy sobie jej zarządzenia dotyczące służby, powiedział: *

- Musi mieć mnóstwo pieniędzy, skoro nie wydaje ani grosza.

- Właśnie. Tak czy inaczej, jeśli mamy jechać - ruszajmy. Wstali.

Usłyszawszy to, Jardine wbiegł do jadalni, niosąc w zębach czapkę swojego pana. Jego łapy stukały o wyfrote-rowaną posadzkę.

- Dziękuję, Jardine. A teraz proszę o rękawiczki. Jardine wybiegi z pokoju. Tom wstał i poszedł się przebrać w strój spacerowy.

Widoczność tego dnia była słaba. Wydawało się, że skłębione chmury miejscami dotykają ziemi. Tom i Morgan z trudem posuwali się wzdłuż korony Wałów. Wiał lodowaty wiatr, niosący deszcz ze śniegiem. Obaj mężczyźni wychowali się na wsi, dlatego żaden z nich nie zwracał na to uwagi. Przed nimi biegł Jardine, węsząc w poszukiwaniu zwierzyny. Od czasu do czasu podnosił tylną łapę. Spacerując z psem, rozmawiali.

- Więc co właściwie zamierzasz teraz zrobić? - zapytał Morgan Toma.

- Nie mam pojęcia. Przede wszystkim muszę znaleźć jakieś lokum. Na razie mieszkam w hotelu.

- Dopóki czegoś nie znajdziesz, możesz korzystać z naszego mieszkania w Knightsbridge.

- To mieszkanie twojej babki, prawda? Perspektywa mieszkania pod jednym dachem z Leonorą

Steer niespecjalnie przypadła Tomowi do gustu. Domyśliwszy się tego, Morgan odpowiedział:

- Owszem, ale babka przyjeżdża tam tylko dwa razy do roku. Na zakupy do Harrodsa. To jedyny sklep, o jakim słyszała.

- Co robisz, kiedy się zjawia?

- Zwykle wyprowadzam się na kilka dni, powierzając ją opiece pani Pratt. To nie byłoby złe rozwiązanie. On i Morgan zawsze dobrze się rozumieli i Tom pewnie nie musiałby nic płacić. Mógłby tylko od czasu do czasu zorganizować skrzynkę czerwonego wina od Hardwicka i Smitha.

- Może skorzystam z twojej propozycji...

Dotarli do Mile Castle i postanowili ruszyć dalej w kierunku Cuddy's Crag. Gdzieniedzie Wały zbliżały się niebezpiecznie do stromych krawędzi turni. Ich czarne, najeżone

szczyty zdawały się niemal dotykać chmur. W takich miejscach Morgan przywoływał Jardine'a do nogi. Pies zbliżał się z ociąganiem.

- Jak często widzisz Caroline Barstow?

Tom wahał się przed zadaniem tego drażliwego pytania. Caroline i Morgan przyjaźnili się od dzieciństwa. Ponieważ znali się tak dobrze i tak długo, Morgan nie zauważył, kiedy stara przyjaźń powoli i niemal niepostrzeżenie przekształciła się w miłość. Gdy w końcu zdał sobie z tego sprawę, Caroline była już żoną innego.

- Od czasu do czasu. - Twarz Morgana pociemniała. - To nie takie proste. Jak wiesz, jej mąż jest aktorem, a ponieważ wciąż nie może znaleźć pracy, przez cały czas siedzi w domu. Ale nawet gdyby tak nie było, niewiele by to zmieniło. Zdrada nie jest w stylu Caro. - Choć Caro wydawała się nieosiągalna, samo mówienie o niej podnosiło go na duchu. Tom rzucił na przyjaciela ukradkowe spojrzenie. Morgan był typowym zamożnym Anglikiem, właścicielem wiejskiej rezydencji. Emanował pewnością siebie - tak charakterystyczną dla młodych arystokratów. Podobał się kobietom, chociaż - co Tom pamiętał jeszcze z czasów szkolnych - mimo iż nie był głupcem, nie był też szczególnie błyskotliwy. Caro Barstow - przeciwnie, była typem intelektualistki i wkrótce podjęła studia w Oksfordzie. Morgan nie mógł nawet marzyć o pójściu w jej ślady. W dniu, w którym Caro poślubiła Patricka Hollanda, Morgan w pełni zdał sobie sprawę z własnych uczuć. Okropnie się wtedy obaj upili.

- Dlaczego właśnie ona? Przecież nie jest nawet specjalnie urodziwa - powiedział Tom, starając się znaleźć skuteczne lekarstwo na miłość przyjaciela. - A poza tym taka poważna. Woli czytać książki niż chodzić na przyjęcia. W dodatku nie ma grosza przy duszy.

Morgan spoważniał nagle i rzucił porywczo:
- Zamknij się, Tom! Gdy chodzi o Caro, nie bawia ja pieniądze. Kocham ją! Wiem, że ty tego nie dostrzegasz, ale uważam, że jest piękna. -
Zamyślił się na chwilę, po czym

mówił dalej: - Zresztą nie chodzi tylko o to. Istnieje między nami coś... jakby pokrewieństwo. Nie umiem tego inaczej nazwać. Czuję, że jestem jej częścią, a ona jest częścią mnie. -I dodał ze wzruszeniem, jakby roztkliwiło go brzmienie własnych słów: - Wierzysz w reinkarnację? Mam wrażenie, że znam Caro setki lat.

- Nie wierzę. I ty też nie wierzysz, kiedy myślisz trzeźwo. Tom pomyślał, że dobrze się stało, iż na scenie pojawił się

Patrick Holland - to uratowało Morgana od irracjonalnej obsesji na punkcie tak przeciętnej dziewczyny.

Szli dalej. Było coraz zimniej, a dokuczliwy, zacinający deszcz zmienił się w gęsty śnieg. Zupełnie jakby chmury rozdarły się w końcu, przebite ostrymi wierzchołkami skał. Za Rapishaw Gap Wały stawały się niebezpiecznie strome, a potem zupełnie się urywały. Byli zmuszeni ruszyć dalej wzdłuż rzymskiej drogi wojskowej. Zanosiło się na zamieć śnieżną, świat dokoła umilkł; wszystkie żywe stworzenia gdzieś się pochowały. Tom i Morgan kroczyli w milczeniu. Przed nimi wyłoniły się zwieńczone chmurami skały Whin Sill. U ich podnóża rozpościerały się czarne wody Crag Lough.

- Chyba powinniśmy już wracać - powiedział Morgan. -Myślałem, że uda nam się dotrzeć aż do Twice Brewed Inn, a potem zabrać się z kimś do domu, ale nie zanosi się na to, żeby przestało padać, więc lepiej będzie, jeśli weźmiemy samochód od razu. Co ty na to? Możemy wrócić starą rzymską drogą.

- Sądzę - odrzekł Tom, który błędził myślami zupełnie gdzie indziej - że chyba skorzystam z twojej propozycji zamieszkania przy Prince's Gate.

- W porządku... - Morgan zagwizdał na Jardine'a. - Niech diabli porwą tego psa. Gdzie on się, do cholery, podziewa!

Po obfitym lunchu w pobliskim miasteczku Hexham wrócili do Armitage Lodge. Trafili akurat na podwieczorek. Leonora, Clara, Cassandra i Julia siedziały w salonie, zabawia-

jąc rozmową Meredith Barstow i jej ojca, kawalera orderu Victoria Cross, generała brygady sir Artura Fieldinga.

Meredith, rówieśnica i długoletnia przyjaciółka Julii, była nauczycielką w miejscowej szkole. Obie jej córki, Caro i Emily, mieszkały w Londynie, toteż Meredith widywała je ostatnio bardzo rzadko. Większość czasu spędzała w domu, opiekując się swoim swarliwym ojcem. Coraz częściej zastanawiała się, czy takie życie nie jest pozbawione sensu.

Inni ludzie pewnie potrafią dostrzec w tym jakiś sens, myślała. Ludzie, którzy osiągnęli samospelnienie, w pełni się zrealizowali. Ale nie ja. Ani Julia, Cassandra czy Clara, z których Leonora wyssała wszystkie soki. Ja jestem tylko ofiarą swojego własnego strachu przed przygodą, nikogo innego nie mogę za to winić, ale one... Leonora nie pozwoliła im się kształcić, a gdy zauważyła u córek pierwsze oznaki dążenia do niezależności, wycofała wszelkie poparcie finansowe. Żadna z nich nie potrafi nawet prowadzić samochodu, poza Julią, która nauczyła się tego podczas swego krótkiego małżeństwa. Leonora przez całe życie rządziła nimi i tyranizowała je. Nawet gdy wreszcie umrze, i tak będzie już dla nich za późno. Stały się swego rodzaju instytucją, są na zawsze przypisane do Armitage Lodge. Nawet Julii, której prawie udało się uciec, nie stać było na więcej niż przyglądanie się, jak matka rujnuje jej małżeństwo. Nie zaznały w życiu ani chwili szczęścia... Szkoda...

Westchnęła i zamieszała herbatę łyżeczką.

Morgan obserwował ją w milczeniu. Pamiętał Meredith Barstow z czasów, gdy była o wiele młodsza. Pracowała wtedy dużo i wydajnie. Jeśli dobrze pamiętał, piastowała funkcję sędziego pokoju. Ale nie zrezygnowała z posady w szkole, uczestniczyła też w nie kończących się rozgrywkach tenisowych. Zastanawiał się, czym wypełnia czas teraz, mając jako jedyne towarzystwo generała. Myśl o tym była przygnębiająca.

Generał siedział wyprostowany na brzegu fotela. W żyłastych dłoniach ścisnął zakończoną srebrną gałką laseczkę. Telepatycznie niemal wyrwany z zadumy, odezwał się nagle:

- Cóż za cholerny bałagan... Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, odpowiem, że to prawdziwa hańba!

Ogólna rozmowa o ogrodnictwie urwała się i wszyscy skierowali wzrok na generała. Wyglądało to tak, jakby posąg przemówił.

- O co chodzi? - Clara, skonsternowana, zmarszczyła brwi. Miała nadzieję, że wypowiedź generała nie dotyczyła jej grządki warzywnej.

- O Suez...

- O Suez? Nikt nie wspominał słowem o Suezie.

Generał pograżył się na powrót w ponure zamyślenie, zupełnie jakby jego niespodziewany okrzyk w ogóle nie miał miejsca. Meredith poczuła przypływ niepokoju. Przez większość czasu generał był sobą, to znaczy człowiekiem apodyktycznym, zapalczywym i nieznośnym. Lecz - co najważniejsze - przytomnym. Meredith jednak z przerażeniem zauważyła, że ostatnio coraz częściej tracił kontakt z rzeczywistością. Miała nadzieję, że nie są to pierwsze oznaki nadciągającej starości. *

Usiłując podjąć na nowo przerwana rozmowę, Morgan powiedział niezręcznie:

- Ach, tak, Suez! - a potem umilkł, nie bardzo wiedząc, co by tu jeszcze dodać. Uśmiechnął się do generała zachęcająco.

Sir Artur zmarszczył krzaczaste brwi.

- Suez? Kto tu mówi o Suezie? Nie wiem, o co ci chodzi. O czym on właściwie mówi?

- Jeszcze jedną filiżankę herbaty? - Clara pośpiesznie sięgnęła po imbryk.

- Mam nalać czy sama to zrobisz, mamo?

- Ty to zrób. Postaraj się niczego nie upuścić. Meredith wstała.

- Nie, dziękuję. Naprawdę musimy już iść. Chodź, tato. -Zaczęli się żegnać.

Julia i Meredith uściskały się. Generał z kurtuazją ucałował dłoń Leonory. Była diabelnie piękną kobietą. Diabelnie piękną! Zawsze tak uważał.

Na odchodnym Meredith zwróciła się do Morgana:

- Wkrótce odwiedzi nas Caroline razem z Minervą.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, ogarnęło ją złe przeczucie.

Morgan z udaną obojętnością dołożył dREW do ognia.

- A Patrick?

- Chyba nie przyjedzie. Dostał jakąś niewielką rolę w teatrze na West Endzie.

Cassandra odprowadziła gości do drzwi. Znow zaczął padać śnieg.

Morgan rzekł do Leonory:

- Babciu, myślę, że Tom i ja powinniśmy dziś wieczorem wrócić do Londynu. Niewykluczone, że zacznie porządnie padać.

Babka dała się przekonać łatwiej, niż się spodziewał. Pewnie dlatego, że myślała o czymś zupełnie innym.

- W czasach mojej młodości opady śniegu nie stanowiły dla nikogo żadnej przeszkody. Lecz jeśli jesteście tym tak zaniepokojeni, oczywiście powinniście jechać.

Ręką dała Morganowi znak, że posłuchanie skończone.

- Kiedy możemy się spodziewać, że znów zaszczycisz nas wizytą?

Zapewne gdy zawita tu Caroline Barstow. - Roześmiała się. - Przywieź ze sobą Toma. Jest taki zabawny.

Ponownie skinęła ręką w geście królewskiej odprawy. Morgan miał wrażenie, że babka oczekuje od niego, iż wycofa się tyłem, kłaniając się niczym karny dworzanin.

Gdy znaleźli się za drzwiami, Morgan powiedział:

- Skąd wie o moim uczuciu do Caro? Nigdy jej o tym nie mówiłem.

- Może ma czarodziejską szklaną kulę!

- Nie, to raczej robota ciotki Cassandry.

Następnego ranka Leonora usiadła przy biurku. Jej pochylona sylwetka wyglądała złowroźnie, a wyraz twarzy przywodził na myśl małego złośliwego chochlika. Zaczęła od załatwienia spraw związanych z gospodarstwem. Gdy upora-

ła się już ze wszystkim, odliczyła pieniądze, które Julia i Clara miały zabrać ze sobą do Hexham, gdzie robiły cotygodniowe zakupy. Zupełnie jak królowa Elżbieta I, choć bez pomocy Walsin-ghama czy Cecila stanowiących jej oczy i uszy, Leonora wiedziała prawie wszystko o życiu swojej najbliższej rodziny. Skłonność do intryg już dawno zastąpiła u niej potrzebę seksu, stając się prawdziwą namiętnością. W stosunku do Morgana pozwalała sobie na nieco większą swobodę niż wobec swoich córek, świadoma, że jest od niej uzależniony z powodu łączącej ich nierozzerwalnej więzi, jaką stanowi rodzinna fortuna. Wystarczyło zażądać, a zjawiał się na każde zawołanie. Córkami Leonora pogardzała. Pogardzała nimi za to, czym się stały pod jej wpływem. Miała im też za złe, że nie urodziły się chłopcami. Chociaż, myślała, większość mężczyzn też jest zupełnie bezużyteczna. Lecz nie tak bezużyteczna jak na przykład Clara. Julię darzyła nawet pewnym sentymentem, choć jedyną tego przyczynę stanowił fakt, iż Julia była matką Morgana i zdobyła się na próbę ucieczki. Jednakże to niewielkie uznanie dla córki nie powstrzymało Leonory od pozbycia się majora Farrella. Znów ujrzała go oczyma wyobraźni. Przekupienie tego człowieka wcale nie było takie trudne. W końcu kim on właściwie był? Jeszcze jednym zuchwałym głupcem. Choć - niewątpliwie - przystojnym. Zawsze lubiła przystojnych mężczyzn. Kiedyś gromadzili się wokół niej tłumnie. Może to był jeden z powodów, dla których nie chciała, aby major należał do Julii. Skoro ona - Leonora - nie mogła go mieć, nie będzie go miał nikt. Przypomniała sobie jego minę, gdy oznajmiła mu, że Julia nie dostanie od niej ani grosza, dopóki jej małżeństwo będzie trwało. „Ile to dla pani warte - zapytał wówczas Farrell - jeśli odejdę bez walki?” Wymieniła sumę. Nazajutrz już go nie by-

ło. Zostawił Julię brzemienną. Okazało się to dopiero w jakiś czas później. Leonora uznała takie zakończenie sprawy za w pełni satysfakcjonujące.

Jej samej nie udało się urodzić syna i miała nadzieję, że przynajmniej jej córka powije męskiego potomka. Przy tym zdołała się pozbyć kłopotliwej osoby majora. Jego obecność mogłaby jedynie wywołać zamieszanie w Armitage Lodge. Z punktu widzenia Leonory wszystko układało się jak najpomyślniej.

Porzuciwszy rozmyślenia o przeszłości, Leonora powróciła myślą do dnia dzisiejszego. Cienkim złotym piórem wypełniła kilka czeków, a potem powkładała je kolejno do zaadresowanych uprzednio kopert. Julia zajmie się ich rozwiezieniem. W koszyku pozostało tylko zawiadomienie z banku. Leonora wsunęła je niedbale do szuflady biurka. Spoczywało tam już kilka podobnych druków.

Zakręciła pióro, odchyliła się lekko na oparcie krzesła i zaczęła obmyślać kolejną intrygę. Wiedziała, że Cassandra, korzystając z uprzejmości Julii, jeździ do miasteczka, aby spędzić godzinkę w towarzystwie Deirdre Ricketts. Razem z Deirdre Cassandra w każdy czwartek układała w kościele kwiaty. W tym czasie Clara jechała na umówione spotkanie z Se-them Murgatroydem, farmerem mieszkającym niedaleko St John Lee. Leonora, świadoma, że brak samochodu pokrzyżuje plany córek, postanowiła, że w czwartek poleci Julii odstawić wóz do przeglądu. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer warsztatu.

LUTY

Patrick i Caroline Holland siedzieli w wygodnej, choć trochę zaniedbanej kuchni swojego domu w Clapham i popijali herbatę.

- Bardzo nam to pomoże, jeśli dostaniesz tę rolę na West Endzie - powiedziała Caroline.

Omawiali swoją sytuację finansową. A raczej - zastanawiali się, jak gospodarować, aby starczyło pieniędzy na pokrycie codziennych wydatków.

- To sztuka napisana przez aktora i pewnie będzie wystawiana najwyżej przez miesiąc albo nawet krócej. Potrzebowałbym raczej roli w „Pułapce na myszy”.

- Zawsze możemy sprzedać dom i przenieść się do mniejszego.

Hollandowie kupili dom kilka lat temu, gdy ceny były najniższe. Niestety, recesja ponownie dała o sobie znać i jego wartość znów spadła.

- To nie ma sensu. Trudno byłoby dziś znaleźć kupca.

Zamyślona Caroline utkwiała wzrok w wyszorowanym blacie kuchennym. W duchu przyznawała mężowi rację. Patrick patrzył na nią, zachwycony jej niezwykle subtelną urodą. Pod gładkimi powiekami kryły się oczy koloru chabrow, a lśniące, krótko ostrzyżone włosy podkreślały idealny owal twarzy. Była to twarz, jakich dziś się nie spotyka. Emanująca z niej aura tajemniczości przywodziła na myśl którąś z Ma-

donn Leonarda. Caroline nie była ekstrawertyczką; miała raczej skłonność do kontemplacji. Prawdopodobnie dlatego wiele osób, które mijaly ją w pośpiechu, w tym także Tom Marchant, nie potrafiło zgłębić jej prawdziwej natury.

Caroline wstała i podeszła do okna. Odsunęła na bok koronkowe zasłony i odnotowawszy w myśli, że wymagają prania, wyrzła na pograżony w zimowym śnie ogród. Niesione wiatrem mokre liście przefruwały nad nierówno przystrzyżonym trawnikiem i opadały przy walącym się płocie w końcu ogrodu. Samotny, nieznamy kot z ręcznie rozkopywał biegnącą wzdłuż ogrodzenia grządkę. Że też inne kobiety znajdują czas na pracę w ogrodzie, myślała Caroline. Jak to robią? Czekalo ją jeszcze poprawianie stosu wypracowań. Usiadła przy kuchennym stole i zabrała się do sortowania przyniesionej z pralni bielizny. Nie umiała znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Może ich małżonkowie okazują im więcej pomocy niż jej mąż. Patrick niemal bez przerwy odpoczywał. Uważała, że mąż mógłby, przynajmniej od czasu do czasu, trochę jej pomóc w prowadzeniu domu. Po prostu nigdy nie przyszło mu to do głowy. Chociaż, pomyślała Caro, przypomniawszy sobie jego rozpieszczoną matkę, która również była aktorką, może nie powinnam być tym zaskoczona.

Zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli od razu zakomunikuje mężowi złe nowiny.

- Zaprosiłam na kilka dni Emily i Jonathana - powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

Patrick zerwał się na równe nogi.

- Chryste! Co, u diabła, pociągnęło cię za język? Mogłaś mnie przynajmniej zapytać o zdanie przed złożeniem im tej wielkodusznej propozycji.

- Emily znów spaliła kuchnię. Dopóki towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaci im odszkodowania i nie przeprowadzą remontu, nie mają gdzie gotować. Emily jest moją siostrą. Naprawdę w tej sytuacji nie mogłam im odmówić.

- A co będzie, jeśli teraz spali naszą kuchnię? Pewnie przeprowadzimy się do domu twojej matki, a gdy i jej kuch-

nia pójdzie z dymem, znów się przeprowadzimy. I tak dalej -czeka nas pielgrzymka bez końca. W dodatku nie skończy się na kilku dniach, to potrwa parę tygodni.

Utyskiwał z teatralną przesadą, ukrywszy twarz w dłoniach. Następnie przybrał malowniczą, szekspirowską pozę i wielkimi krokami podszedł do drzwi.

Obserwując go, Caro pomyślała, że Patrick nigdy dotąd nie zachowywał się w ten sposób. Gdy dwoje ludzi mieszka razem, zmiany w ich wzajemnych stosunkach następują powoli i niepostrzeżenie, a gdy w końcu zainteresowani zdają sobie z tego sprawę, jest już za późno.

Patrick zaczął się przechadzać tam i z powrotem po kuchni. Caro przyszło do głowy, że od kiedy stracił pracę, zaczął się zachowywać coraz bardziej nienaturalnie. Właściwie bez przerwy grał jakąś rolę.

- Przepraszam. Powinnam była cię najpierw zapytać. (Więc dlaczego tego nie zrobiłam? Bo wiedziałam, że by się nie zgodził - dlatego!) Oboje przecież kochamy Emily.

- I nienawidzimy Larcha. Nie było sensu zaprzeczać.

- I nienawidzimy Larcha - powtórzyła.

- Bez przerwy zatruwa atmosferę.

- To prawda - zgodziła się potulnie. Mąż rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

- Ten człowiek podniósł wtrącanie się w nie swoje sprawy do rangi sztuki.

- Cóż, jest z natury bardzo uspołeczniony.

- Być może, ale my nie potrzebujemy społeczników. Mruknąwszy coś uspokajająco na znak zgody, Caro oznajmiła:

- Będą tu o siódmej, dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem!

- Znów się wydzierasza? - z tymi słowy weszła do kuchni trzynastoletnia Minerva.

Patrick utkwiał w córce wściekłe spojrzenie, po czym majestatycznie wyszedł, trzaskając drzwiami.

- „Cześć, Minervo, kochanie. Jak ci minął dzień w szkole? Dobrze? Może mi o tym opowiesz?” - sparodiowała ojca Minerva. - „Tak, miałam wspaniały dzień w szkole, dziękuję, kochany tatusiu”.
- Minervo, nie zaczynaj! - Caro przygnębiona usiadła przy stole.
- Dlaczego tata jest taki wściekły? - Minerva zaczęła rozwiązywać sznurowadła swoich martensów.
- Ciotka Emily i Jonathan Larch zatrzymają się u nas na jakiś czas. Ta wiadomość poruszyła nawet Minervę.
- Ciotka Emily jest urocza. - Zdjęła jeden but. - Ale on to kutas.
- Ile razy ci mówiłam...
- Żeby nie używała słowa „kutas”. Przepraszam, zapomniałam. Chociaż gdy się nad tym zastanowić, to tylko słowo jak każde inne.
- Masz coś zadane? - Caro była zbyt zmęczona, by rozpocząć kolejną batalię.

Minerva spojrzała na matkę niepewnie.

- Trochę. Większość lekcji już odrobiłam.
- Więc idź i odrób resztę. Żadnej telewizji, dopóki nie skończysz. I zabierz stąd te buciory.

Minerva wyszła. Caro słyszała, jak z głośnym stukiem ciska buty na podłogę w hallu i wolno wchodzi po schodach na górę.

Spojrzała na zegarek. Było już wpół do piątej.

Zatopiona w marzeniach, zaczęła składać posortowaną uprzednio bieliznę. Myślała o Morganie Steerze. Z biegiem lat jej szkolna namiętność do Morgana osłabła nieco, ale Caro przyłapała się na tym, że ostatnio coraz częściej sobie o nim przypomina, zwłaszcza po kłótniach z Patrickiem. Była świadoma faktu, że jej małżeństwo przechodzi kryzys. Z czasem ona i Patrick mieli ze sobą coraz mniej wspólnego, aż nagle okazało się, że prawie nic ich nie łączy. Pozostały tylko pozory.

To zabawne, snuła rozważania, czekałam i czekałam, aż Morgan poprosi mnie o rękę. Miałam nadzieję, że to zrobi, aż do dnia, w którym poślubiłam Patricka. Gdyby Morgan mi się wtedy oświadczył, od razu wyrzuciłabym Patricka za drzwi.

Lecz Morgan czekał z wyznaniem swoich uczuć do chwili, gdy już wiązały ją z Patrickiem węzły małżeńskie. Zresztą i tak było już na wszystko za późno, bo okazało się, że jest w ciąży.

Oto ona. Na pół etatu - żona, na pół etatu - matka, na pół etatu - nauczycielka, wreszcie - nie usatysfakcjonowana, znużona życiem kobieta, mieszkająca pod jednym dachem z człowiekiem, którego nie szanuje. A Morgan nigdy się nie ożenił... Przewrotność losu wciąż nie przestawała jej zdumiewać.

Z ciężkim sercem odsunęła na bok kosz z bielizną i sięgnęła po książkę kucharską. Jonathan Larch był wegetarianinem.

Gdy siedzieli wieczorem przy kolacji, Caro przyglądała się Larchowi. Zastanawiała się, co takiego jej siostra w nim widzi. Larch - zawzięty, uparty - potrafił nawet w towarzystwie zachowywać się wobec swojej partnerki impertynencko. W opinii Caro był po prostu odrażającym prostakiem. A Emily, atrakcyjna, subtelna kobieta, umiejąca tak wiele ofiarować mężczyźnie, ulegała mu i pozwalała się wykorzystywać. To było zupełnie niepojęte! Wzrok Caro spoczął na siostrze z miłością. Emily wyglądała jak z obrazu któregoś z prerafa-elitów. Kasztanowe włosy zakrywały odziedziczone po matce wysokie czoło i opadały nieporządnie poskręcanyimi lokami na plecy. Tego wieczora Emily miała na sobie krótką, luźną sukienkę. Doprawdy, pomyślała Caro, wcale nie jesteśmy do siebie podobne. To zabawne, że te same geny mogą ukształtować dwie tak różne osoby.

- Winię rząd! - mówił Larch. Oczywiście, należał do ludzi,

którzy zawsze za wszystko winią rząd. Był okropnie zasadniczy, a to nie mogło wróżyć nic dobrego dla tych, którym pomagał z racji swego zawodu.

- Za co? - spytała Caro, otrząsając się z zamyślenia i zwalczając pokusę dodania: „tym razem”.

- Za ten straszliwy bałagan, jaki w dzisiejszych czasach panuje w oświacie. Powrót do systemu egzaminacyjnego i podział uczniów według ich zdolności jest bardzo niefortunnym posunięciem. To prowadzi do powstawania elit intelektualnych.

Co za pompatyczny osioł, pomyślała Caro, a na głos powiedziała:

- Przecież są ludzie o większym i mniejszym potencjale intelektualnym. Nie każdy może być wybitną umysłowością. Może jednak pocieszy cię fakt, że wszyscy zostali obdarzeni inteligencją.

- Ale czyż to nie przyczynia się do rozbudzania w ludziach ambicji? Czy nie prowadzi do zrównania ludzi na wyższym, a nie na niższym poziomie? - odezwała się Emily.

- Ty sama uczyłaś się w szkołach prywatnych, więc nie powinnaś zabierać głosu, gdy mowa o systemie państwowym - uciszył ją Jonathan. - Nie masz o tym pojęcia.

- Wydaje mi się, że to, co powiedziała Emily, ma sens - wtrącił się Patrick, stając w obronie zakłopotanej szwagierki. - Dziwi mnie, że nie przemawia to do kogoś o tak radykalnych poglądach jak ty.

Miał wielką ochotę użyć słów „do takiego trockisty”, ale chcąc uniknąć kłótni, postanowił tego nie robić. Chociaż całkiem możliwe, że Larch nie miałby nic przeciwko temu określeniu.

- Jeśli nie nauczymy mas czytać i pisać, najlepsze posady dalej będą dostawały się wyłącznie przedstawicielom wyższej klasy średniej, która jest produktem prywatnego systemu szkolnictwa. Nie pomoże to i twojej sprawie.

- Mam o tym większe pojęcie niż wy wszyscy razem wzięci. Przecież sama chodzę do szkoły... - oświadczyła z wyższością Minerva.

Uczęszczała do szkoły powszechnej, gdzie przyjmowano wszystkich bez względu na predyspozycje intelektualne. - W mojej klasie nauczyciele tyle czasu poświęcają na uczenie matołów, że zapominają o reszcie. Na szczęście - dodała ze wzrokiem utkwionym w matce. - Nienawidzę szkoły.

Caro postanowiła nie odpowiadać na tę jawną zaczepkę. Zaczęła sprzątać naczynia ze stołu. Emily pośpieszyła jej z pomocą. Minerva i obaj mężczyźni ani myśleli ruszyć się z miejsca.

- Chodź, Minervo, pomożesz nam.

- Muszę skończyć odrabianie lekcji.

Dziewczynka posługiwała się tym argumentem zawsze, ilekroć Caro prosiła ją o zrobienie czegoś w domu.

- Skoro tak, idź na górę i bierz się do nauki. Ale już. Caro napuściła do zlewozmywaka gorącej wody i zabrała

się do mycia naczyń, z którymi ich przedpotopowa zmywarka już dawno przestała sobie radzić. Obserwując ją przy tym zajęciu, Jonathan zapytał:

- Chyba opłuczesz je potem dokładnie, prawda? Caro policzyła do dziesięciu.

- Nie, ty to zrobisz. W tym domu osoba, która gotuje, nie zmywa po posiłku.

- Co? Nawet po całym dniu pracy w teatrze zmuszasz jeszcze biednego starego Patricka do zmywania statków?

Tym wystąpieniem obraził oczywiście osobę, którą chciał wziąć w obronę, gdyż Patrickowi nie spodobało się słowo „biedny”; nie był też bynajmniej zachwycony słowem „stary”. Miał wrażenie, że Larch i Caro traktują go tak, jakby był podstarzałym, wysłużonym owczarkiem szkockim, który już się do niczego nie nadaje.

. Protekcyjnalny zarozumialec, pomyślała Caro. Jediną sceną, na której Patrick obecnie występuje, jest nasze własne mieszkanie.

- Owszem. W tym domu wszyscy pracujemy - odpowiedziała. Miała wielką ochotę pociągnąć Jonathana za jego

śmieszny kucyk. - A jeśli już mowa o pracy, mam stertę wypracowań do poprawienia. Więc panowie wybaczą...

Czuła, że zabrzmiało to szorstko, ale wyszła, zostawiając ich samych.

Poranek następnego dnia wstał perłowoszary i niezwykle pogodny.

Nigdzie nie było śladu Emily i Jonathana. W dni powszednie, kiedy Caro odwoziła Minervę do szkoły, wstawiała zwykle około siódmej trzydzieści.

Następne pół godziny poświęcała na przekonywanie swojego niewdzięcznego dziecka, że należy się pośpieszyć.

Minerva wstawiała z łóżka dopiero o ósmej, gdyż wykalkulowała sobie, że o tej porze wszelkie poganianie jej przez matkę nie ma już sensu. Choć obowiązywało ją noszenie szkolnego mundurka, potrafiła uczynić z niego strój dość ekstrawagancki. Skromna, w założeniu sięgająca kolan spódniczka była zawinięta w pasie trzy czy cztery razy, tak że ledwie zasłaniała granatowe figi. Podkoszulek z czarnym nadrukiem „Miłość wyczerpuje” na wysokości biustu wyraźnie prześwitywał przez białą bluzkę. Caro zapytała z irytacją:

- Gdzie twój sweter? Minerva wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Nie wyjdziemy, dopóki go nie znajdziesz. Szukaj.

Pierwsze dwie lekcje miały być poświęcone nauce pływania. Minerva lubiła zajęcia na basenie. Nadąsana spełniła polecenie matki. Gdy wreszcie znalazły się w samochodzie, Caro zwolniła sprzęgło, włączyła radio i znalazła stację nadającą wiadomości.

- Nie możemy posłuchać Radia Stołecznego? Inne matki go słuchają.

- Och, cicho bądź, Minervo. Czy zdajesz sobie sprawę, że od chwili gdy wstałaś dziś rano, nie robisz nic innego, tylko narzekasz?

Nastąpiło krótkie zawieszenie broni. Dziewczynka zaczęła z innej beczki:

- Nie znoszę imienia Minerva. Nienawidzę go. - To także była stara śpiewka. - Nie miałyby to znaczenia, gdybyście mnie posłali do St Paul's albo do innej szkoły, gdzie wszyscy mają takie wyszukane imiona, ale tutaj inne dzieciaki się ze mnie nabijają.

- Kiedy będziesz wystarczająco dorosła i bogata, zmienisz sobie imię na Sharon.

- Bardzo dowcipne, rzeczywiście! - Minerva umilkła. Wiedziała, że zachowuje się niewłaściwie, lecz nie potrafiła wybrnąć z sytuacji.

Pewnie czuje się podle, pomyślała Caro. Zatrzymała samochód przed szkołą. Trzydzieści lat to okropny wiek, a czterdzieści bez wątpienia okaże się jeszcze gorszym. A przecież bywały dni, gdy panowała między nimi zgoda, a córka nie tylko była wobec niej pozytywnie nastawiona, ale nawet starała się być użyteczna. Może nazwanie jej Minervą rzeczywiście było błędem. Caro wybrała to imię, bo kojarzyło jej się z Wałami Hadriana i letnimi spacerami, na które przed laty chodzili z Morganem. Przypominała sobie, że w jednym z muzeów (chyba w Muzeum Chestera) wystawiony był poświęcony bogini ołtarz z inskrypcją: „Quintus architekt składa hołd Minerwie”. Gdy tam stała i patrzyła na ów ołtarz, zapragnęła, aby Morgan także złożył jej kiedyś hołd. Patrickowi, który nie zdawał sobie sprawy z uczuć Caro, również podobało się imię Minerva. Jego zdaniem, brzmiało bardzo elegancko. Patrick wyobrażał sobie, że w przyszłości córka pójdzie w jego ślady i zostanie aktorką teatralną.

Wysiadły z samochodu. Caro otworzyła bagażnik. Minerva wyjęła stamtąd swój tornister, wahała się przez chwilę, po czym powiedziała:

- Przepraszam.

Choć była szczerze skruszona, zabrzmiało to niegrzecznie, niemal wyzywająco. Minerva kochała matkę, ale nie potrafiła zapanować nad agresją, jaką wobec niej odczuwała. Pod-

świadomie obarczała ją winą za brak harmonii w małżeństwie rodziców. Ojciec bywał nie do wytrzymania, ale to matka go do tego doprowadzała. Wyczuwając zakłopotanie córki, Caro objęła Minervę ramieniem i powiedziała:

- Już dobrze, kochanie. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Uścisnęły się.
- Idź do szkoły. Miłego dnia.
- Aha...

Dziewczynka odwróciła się i ruszyła w kierunku szkolnej bramy. Po jej policzku spłynęła łza.

Minerva otarła ją zdecydowanym ruchem. Caro zauważyła, że ma oczko na pończosze. Zawróciła i pojechała z powrotem do domu.

Gdy dwadzieścia minut później wchodziła do mieszkania, uświadomiła sobie, iż jest zła na siebie za to, że tak wspaniałomyślnie zgodziła się przechować Larcha i Emily. Właściwie nie chodziło o siostrę, tylko o Larcha. Dobry Boże, pomyślała Caro, mam nadzieję, że Emily ma dość zdrowego rozsądku, aby nie wychodzić za niego za męża. Poczula do Larcha jeszcze większą niechęć, gdy natknęła się na niego w kuchni. Badał właśnie wnikliwie opakowanie kostek bulionowych.

- Olej roślinny, glutaminian sodu, kapsantyna - mamrotał pod nosem i cmokał z dezaprobatą.

Spostrzegłszy Caro, nie powiedział nawet „dzień dobry”, lecz od razu upomniał ją ostro:

- Wiele produktów w twojej kuchni jest już przeterminowanych.

Choć Caro zdawała sobie sprawę, że nie zasługuje na tytuł gospodyni roku, poczuła irytację na myśl, że Larch miał czelność przeszukiwać jej zapasy żywności. Zignorowała jego słowa.

- Nie masz zamiaru iść dzisiaj do pracy? - zapytała.

- Owszem, mam. - Odłożył bulion w kostkach z powrotem na półkę. -

Zeznaję dziś w sądzie dla nieletnich. Jesteś pewna, że nie chcesz, abym to wyrzucił?

- Jestem pewna - odparła Caro. Już od lat nie używała produktów tej firmy i z pewnością sama by wyrzuciła to opakowanie, gdyby tylko znalazła je wcześniej. Larch pewnie natrafił na nie w głębi szafki.

Wskazując na rząd puszek, powiedział:

- Wystawiłem tutaj te konserwy, żebyś je przejrzała. Wszystkie są bardzo stare. Mogłabyś pomyśleć o ich wyrzuceniu. Aha, i jeszcze jedno - sok pomarańczowy w lodówce niedługo się skończy.

Zignorowawszy również i tę uwagę, Caro zapytała:

- Czy Patrick już się pokazał?

- Nie, jeszcze nie. - Jonathan dojrzał, że jego przyjaciółka zdejmuje w hallu płaszcz z drewnianego wieszaka i natychmiast porzucił przetrząsanie szafki kuchennej.

- Wyglądasz w tym żakiecie jak jakaś mało atrakcyjna sekretarka, Emily. Emily zaczerwieniła się i odpowiedziała mu ze stanowczością, o jaką Caro nigdy dotychczas jej nie posądzała:

- Cóż, jestem sekretarką, choć mam nadzieję, że wcale nie mało atrakcyjną. A po dzisiejszej rozmowie kwalifikacyjnej może przestanę nią być. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanę równie mało atrakcyjną recepcjonistką.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Jonathan, bynajmniej nie speszony, podążył za nią. Mijając Caro, odezwał się żartobliwym tonem:

- Zdaje się, że poczucie humoru opuściło dziś naszą Emily. Gdy drzwi wreszcie zatrzasnęły się za nimi, Caro odetchnęła z ulgą i ruszyła na poszukiwanie Patricka.

Znalazła go leżącego nago na nie poślany łóżku, z rękami założonymi pod głowę. Pogwizdywał cicho jakąś melodię.

- Wyglądasz na bardzo zadowolonego.

-- Bo jestem... Przed chwilą rozmawiałem ze Smolletem. -Smollet był jego agentem. - Dostałem rolę. I to dużo poważniejszą niż ta, o którą się ubiegałem. To może być moja życiowa szansa.

- To wspaniale, kochanie.

Caro poczuła przypływ szczerzej radości z sukcesu męża. Powróciło też pragnienie, którego już dawno nie odczuwała -pragnienie, aby uczcić tę wspaniałą nowinę w łóżku. Usiadła obok Patricka i pocałowała go.

- Gratuluję.

- Może się rozbierzesz i skropisz perfumami.

Bez słowa, powoli uczyniła zadość jego życzeniu. Była szczupła, miała gładką skórę o miodowej karnacji, smukłe ciało, pełne nieuchwytnego piękna. Mogłaby pozować Modiglianemu. Patrząc na nią, Patrick pomyślał z przestachem: Co będzie, jeśli któregoś dnia Caro mnie zostawi?

Oplótł ręce wokół szyi żony, przyciągnął ją do siebie i zaczął całować jej piersi. Gdy ciemne włosy przykryły jego twarz, zanurzył ją w nich z niejasną nadzieją, iż pomoże mu to - niczym małemu dziecku - zapomnieć o wszystkich lękach, niepewnościach i rozczarowaniach^

Leżąc później w jego ramionach, Caro pomyślała, iż małżeństwo jest właśnie tym, czego pragnęła. Gdyby tylko Patrick otrząsnął się ze zniechęcenia, które ogarnęło go po miesiącach przymusowego bezrobocia, może udałoby im się odzyskać twardy grunt pod nogami. Jakby odgadując jej myśli, mąż powiedział:

- Przepraszam. Zachowywałem się jak ostatni drań. Caro zastanawiała się, czy mu wybaczyć. Wreszcie rzekła, starannie dobierając słowa:

- To prawda. Ostatnio trudno było z tobą wytrzymać.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Dobrze wiesz, że to nie w moim stylu. Nie lubię jawnych konfrontacji, zwłaszcza gdy mogę ich uniknąć. Miałam nadzieję, że sam zauważysz, iż dzieje się coś niedobrego, i przestaniesz się tak zachowywać.

- Co właściwie masz na myśli?

Caro wzięła głęboki oddech. Cóż, trzeba było mu odpowiedzieć.

- Och, twoje nienaturalne zachowanie, drażliwość, zaabsorbowanie sobą. Jak większość ludzi, którzy zwykle się nie skarżą, poczuła, że powiedziała za dużo.

- Ach, rozumiem. - Umilkł, zmarszczywszy brwi.

- Przepraszam cię, ale sam o to zapytałeś.

- Naprawdę jest mi przykro, że musisz się tak męczyć. Może powinnaś zostać żoną urzędnika bankowego.

- Patricku, to niesprawiedliwe, co mówisz. Przed chwilą sam przyznałeś, że byłeś niemożliwy. - Kiedy wypowiedziała te słowa, poczuła, że w jej ustach zabrzmiały zupełnie inaczej niż w ustach Patricka. - Och, proszę cię. Nie psuj wszystkiego, kochanie!

Na dole trzasnęły drzwi.

- Jest tu kto? - Był to głos Jonathana Larcha. Pewnie zapomniał czegoś zabrać z domu.

O Boże, pomyślała Caro. Okazja, aby rozwiązać przynajmniej jeden problem dotyczący ich małżeństwa, przepadła. Teraz Patrick przez najbliższe pięć dni będzie chodził naburmuszony i milczący.

- Patrick i ja rozmawiamy o sprawach osobistych! - zawołała ostrzegawczo Caro.

- Czyżby? - Zabrzmiało to niedwuznacznie. Caroline czuła rosnącą irytację. - Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam!

- Nie masz nam w czym przeszkadzać. - Patrick, już w slipkach, wkładał sztruksowe spodnie. - Właśnie skończyliśmy. Moja żona w tej chwili postawiła kropkę nad „i”. - Tu rzucił jej wściekłe spojrzenie.

Caro skapitulowała. Owinęła się prześcieradłem i zamknęła oczy, zachowując w pamięci krótką chwilę bliskości, która niespodziewanie przeobraziła się w nieprzyjemną kłótnię. Czasami zastanawiam się, co ja tu właściwie robię, pomyślała. Nie, nie czasami, ostatnio zastanawiam się nad tym niemal bez przerwy.

Znów trzasnęły drzwi, tym razem te w sypialni. Mąż zostawił ją samą. Przysłuchiwała się jego cichnym krokom na

schodach. Patrick na dole wymieni! z Larchem kilka obojętnych uwag o pogodzie, jakby kłótnia małżeńska w ogóle nie miała miejsca, a potem wyszedł z domu. Jeszcze jedno hałaśliwe trzaśnięcie drzwiami. Caro wiedziała, że wieczorem sytuacja się nie zmieni. Z innymi Patrick będzie rozmawiał tak jakby nigdy nic, do niej odzywając się jedynie w razie absolutnej konieczności, oschłym, lakonicznym i oziębłym tonem. Potrafił prowadzić taką grę przez tydzień.

Chcąc zapomnieć o przykrej rzeczywistości, wróciła myślą do chwili, gdy Morgan wyznał jej, że ją kocha, a ona jemu, że jest w ciąży.

- Dlaczego, do licha, nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? - szlochała. - Zaoszczędziłoby nam to tylu kłopotów. Teraz jestem zameżna i noszę w sobie dziecko Patricka. Nie mogę od niego odejść.

W tym czasie Patrick statystował w londyńskim przedstawieniu „Koriolana”. Oni stali na szczycie Wałów Hadriana, pośród świszczącego wiatru. Morgan nie mógł się powstrzymać, całował ją namiętnie. Być może Caro musiała być całkowicie niedostępna, aby on odważył się przyznać przed samym sobą do swej miłości. W początkach października po okolicy kręciło się niewielu turystów. Tym, którzy zawitali w te strony, Caro i Morgan wydawali się jeszcze jedną parą zakochanych.

- Pozwól mi się z tobą kochać - powtarzał Morgan natarczywie. - Jeśli to zrobimy, więcej już do niego nie wrócisz.

Nigdy się nie dowiedział, jak mało brakowało, aby się zgodziła. Morgan miał rację. Gdyby zdradziła Patricka, powrót do niego byłby niemożliwy. Surowe wychowanie jednak zwyciężyło i Caro odmówiła, choć potem wielokrotnie tego żałowała.

To wszystko wydarzyło się aż czternaście lat temu, myślała. A przecież w moim małżeństwie nie zawsze działo się tak źle. Bywały długie okresy, gdy prawie wcale nie myślałam o Morganie. Ale przecież cały czas żyła ze świadomością, że on istnieje i - choć ostatnio widywali się rzadko - pamiętała o jego oddaniu.

Z dołu doszedł ją wyraźny odgłos przekręcanego w zamku klucza. Obudziła się w niej nadzieja, że może to Patrick wraca z przeprosinami. Wstała z łóżka, owinęła się prześcieradłem i wyszła na podest. Drzwi zamknęły się cicho, więc nie mógł to być jej mąż. Pewnie Emily wróciła ze swojej rozmowy. Caro usiadła na najwyższym stopniu. Podciągnęła kolana i objęła je ramionami. Poczowała się tak, jakby nagle znalazła się na Priest's Seat - punkcie widokowym na szczycie wzgórza w pobliżu Hexham, gdzie siadywała jako mała dziewczynka. Czekwała, aż siostra wejdzie do niej na górę.

Lecz Emily nie zrobiła tego. Caro usłyszała, że napełnia wodą czajnik. Czynności tej towarzyszył głośny szloch. Szloch, na jaki człowiek pozwala sobie tylko wtedy, gdy jest pewien, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Pełne wzburzenia łkanie, po którym następuje gwałtowna skarga i przeszywający serce okrzyk rozdzierającego bólu. Do uszu Caro dobiegł głośny szloch naczyń. Najwyraźniej Emily postanowiła zrobić sobie filiżankę herbaty.

Caroline wstała, zeszła na dół i bezszelestnie wślizgnęła się do kuchni.

- Em? - odezwała się cicho. - Em, co się stało? Emily nerwowo chodziła po kuchni.

- Co? A to - wykrzyknęła Emily, przewracając filiżankę z herbatą - że związałam się ze skończonym draniem!

Caro objęła siostrę ramieniem i przez chwilę obie zalewały się łzami.

Wreszcie jednak Emily spróbowała się opanować. Spojrzawszy na Caro, zdała sobie sprawę, że nie tylko ona ma zmartwienia.

- Caro, co się stało? - zapytała. - I dlaczego jesteś owinięta w prześcieradło?

- Chodzi o to - powiedziała Caro przez łzy - że ja też jestem związana ze skończonym draniem, a w dodatku jestem jego żoną.

Tego wieczora atmosfera przy stole była bardzo napięta. Patrick nie odzywał się do Caro, Emily nie rozmawiała z Jonathanem. Jonathan usiłował kilka razy zagadnąć przyjaciół-

kę, lecz ona nie reagowała. Wszyscy zwracali się do Minervy, zażenowanej rolą towarzyskiego katalizatora. Dziewczynka zaczęła niedawno prowadzić dziennik i tylko czekała na okazję, aby jak najszybciej do niego powrócić. W końcu wstała od stołu, oświadczając z całą powagą:

- Opuszczam was. Muszę jeszcze odrobić lekcje.

Po jej wyjściu pozostali w milczeniu i zabrali się do zmywania naczyń.

MARZEC

5

Morgan poznał Chloe Post na przyjęciu wydanym przez współnika Toma Marchanta - Michaela Hardwick-Smitha. Odbywało się ono w jego mieszkaniu w Chelsea. Zaproszono na nie głównie bankierów i ich żony.

- Chyba możemy dać sobie z nimi spokój, nie sądzisz? - powiedział Tom, obserwując wyelegantowany tłum gości. - Michael musiał długo przeglądać stare notesy z adresami, skoro udało mu się zebrać tu tak przerażająco nudne towarzystwo. - Zjadł kanapkę. - A może polecił zrobić listę gości swojej sekretarce. Co robimy? Idziemy do kina czy wybierzemy się gdzieś na kolację?

Obaj byli zdania, że wieczór bez towarzystwa kobiet nie zapowiada się interesująco. Morgan ożywił się nagle:

- Kto to? Tam.

Tom spojrział we wskazanym kierunku. Przy drzwiach stały dwie kobiety: wysoka blondynka w wieku około trzydziestu lat oraz drobna, smukła czarnulka o krótko ostrzyżonych włosach. Obie były wytwornie ubrane. Wyglądało na to, że chwilowo nie są z nikim związane. Może, podobnie jak on i Morgan, chciały dziś kogoś upolować.

-Ico?

-Tak.

Po tej krótkiej wymianie zdań swobodnym krokiem ruszyli przez pokój.

Podczas kolacji Joanna i Tom oraz Morgan i Chloe przyglądali się sobie nawzajem.

Ależ ten Tom Marchant jest przystojny, myślała Joanna. I jak niezwykle pewny siebie! To niebezpieczne. Mogłabym się w nim zakochać.

Ciekawe, czy jest żonaty.

Tom rozważał zalety Joanny Blackstock. Może nie jest pięknością, zawyrokował, ale ma w sobie coś. No i niezłe nogi. Założę się, że jeśli dobrze rozegram tę partię, dziś wieczorem będę ją miał w łóżku.

Chciałbym wiedzieć, czy jest przy forsie.

Obserwując Morgana zza menu, Chloe uznała, że jest przystojny, a jego rzadko obecnie używane imię bardzo do niego pasuje. Na pewno będzie chciał dziś wieczorem zaciągnąć mnie do łóżka, myślała. Wszyscy mężczyźni dążą do tego samego. Pragnęłabym, żeby seks sprawiał mi więcej przyjemności, a nie był tylko obowiązkowym do zaliczenia etapem znajomości. Z drugiej strony, mam już dosyć samotnego włóczenia się po Londynie i jakiś stały partner byłby nie do pogardzenia. Ciekawe, czy facet jest żonaty.

Morgan doszedł do wniosku, że Chloe Post przypomina mu trochę Caro; może z ciemnych, gładko przyczesanych włosów.

Ponieważ nic o sobie nie wiedzieli, rozmowa była sztywna i konwencjonalna. Podobnie jak Morgan i Tom, Joanna i Chloe także były koleżankami ze szkoły. Tomowi bardziej podobała się Joanna, choć daleko mu było do zachwytu. W Chloe wyczuwał jakąś osobliwą pustkę, która sprawiała, że nie sposób było naprawdę się zorientować, co się za nią kryje. Może dlatego Morgan z taką łatwością przeniósł na Chloe Post wizerunek Caroline Barstow.

Kiedy wyszli z przyjęcia, okazało się, że mają do dyspozycji dwa samochody: jednym przyjechali Tom i Morgan, drugim Joanna i Chloe. Zdecydowano więc, że Tom odwiezie Joannę do domu, po czym uda się do hotelu, na który skazała go uroczą małżonka, a Chloe podrzuci po drodze Morgana na Prince's Gate, do mieszkania Steerów. Jednakże gdy skręcili w Prince's Gate, Morgan zaproponował:

- Może dasz się namówić na jeszcze jednego drinka? Albo na filiżankę kawy?

- Dlaczego nie. - Chloe zdecydowała, że lepiej mieć już to wszystko za sobą. Seks nie jest może moim żywiołem, pomyślała, ale ostatnio niewiele się dzieje bez niego.

Za frontowymi drzwiami budynku ujrzała wyłożoną czarno-białymi płytkami podłogę. Chloe uderzył znajomy duszny zapach, typowy dla klatek schodowych w dużych domach mieszkalnych. Ustawiono tu ogromną kompozycję kwiatową, zupełnie zbędną w takim miejscu jak to. Rośliny wyglądały na sztuczne, choć w rzeczywistości (Chloe ostrożnie dotknęła jednego kwiatka) były żywe.

Weszli do mieszkania na drugim piętrze. Morgan zapalił światło. Wnętrze robiło wrażenie trochę zaniedbanego. Na ścianach zawieszono mnóstwo portretów przedstawiających wyłącznie mężczyzn - najprawdopodobniej przodków rodziny Steerów. Salon wyglądał podobnie, lecz dominował tu wspaniały, majestatyczny portret (bodaj pędzla Sargenta) stojącej kobiety w kremowej atlasowej sukni i perłach. Jej tycjanowskie, szesane do tyłu włosy odsłaniały gładkie czoło; spod uniesionych brwi rzucała patrzącemu władcze, wyzywające spojrzenie wąskich, jasnopiwnych oczu. Emanowała z nich duma i niezwykła siła woli. Nie jest to z pewnością portret osoby bojaźliwej, przemknęło Chloe przez głowę.

- Moja babka - wyjaśnił krótko Morgan. - Czego chciałabyś się napić? Whisky? Ginu? Brandy?

- Poproszę o brandy.

Chloe podeszła do na wpół otwartego okna. Przed sobą ujrzała taras, który z jednej strony wychodził na Exhibition Road. Okna od frontu spoglądały na Kensington Gore, skąd widać było wyraźnie migotliwe światła ruchu ulicznego Kni-ghtsbridge, którego głośny szum dobiegał aż tutaj. Dalej rozciągał się park. Kiedy Chloe znów odwróciła się w stronę pokoju, zobaczyła, iż gospodarz stoi tuż przy niej, z drinkiem w ręku.

- Dziękuję ci, Morganie - powiedziała, biorąc od niego kieliszek. Po raz pierwszy użyła jego imienia. Morgana natychmiast ponownie uderzyło jej nieuchwytnie podobieństwo do Caro -ale nie zewnętrzne; przypominała ją raczej owym szczególnym wewnętrznym wyciszeniem, któremu nie potrafił się oprzeć.

- Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałem. - Mógł powiedzieć: „Kogoś, kogo znam i bardzo kocham”, ale nie zrobił tego.

- Naprawdę? - Chloe nie okazała specjalnego zainteresowania.

Orientowała się w konwersacyjnych niuansach na tyle, aby się domyślić, że chodzi o jakąś nie odwzajemnioną miłość. - Szczerze mówiąc, wolałabym, abyś nie porównywał mnie do swoich dawnych kochanek. A propos, czy jesteś żonaty?

- Czy miałoby to dla ciebie znaczenie, gdybym był?

- Nie, niespecjalne. Ale oczywiście lepiej, gdybyś nie był.

- Miewasz romanse z żonatymi mężczyznami? - zapytał.

- Nie, jeśli mogę tego uniknąć. - Chloe celowo nie udzieliła jasnej odpowiedzi. - Chociaż w Ameryce partnerzy nudzą się sobą tak szybko, że to doprawdy trudna sprawa.

Spojrzała na Morgana, który rozluźnił krawat, zdjął marynarkę i stał teraz w różowej koszuli, oparty o obramowanie kominka. Był bardzo podobny do swojej babki, a jego swobodna elegancja przywołała Chloe na myśl czasy regencji. Zastanawiała się, jak też Joannie idzie z Tomem Marchantem. Jutro obie wszystko sobie opowiedzą.

- Spędziłaś całe dzieciństwo w Stanach? - zainteresował się Morgan. - Pytam, bo nie masz amerykańskiego akcentu.

- Nie mam. Chodziłam do szkoły w Anglii, moja matka jest Angielką. Teraz mieszka na stałe w Bostonie. W kilka lat po rozwodzie wyjechała do Nowego Jorku i zabrała mnie ze sobą. Ale miałam już wówczas piętnaście lat.

Chloe umilkła, myśląc o swojej neurotycznej, powierzchownej rodzicielce. Matka przez cały czas nie robiła nic in-

nego, tylko stroiła się, chodziła do fryzjera i odwiedzała salony piękności. W paszporcie w rubryce „zawód” wpisała: „arystokratka”. Gdy odeszła, ojciec poślubił swoją ostatnią kochankę - kobietę młodszą o kilka lat od Chloe. Chloe przez długi czas upatrywała przyczynę swojej oziębłości w fakcie, iż przyszła na świat w zamożnej, uprzywilejowanej rodzinie, która wprawdzie zapewniła jej okazały majątek, lecz nie zaspokoiła potrzeb emocjonalnych.

- Nalać ci jeszcze trochę brandy? Morgan wyciągnął rękę po pusty kieliszek.

Kiedy wrócił, usiadł na sofie obok Chloe. Odstawił swojego drinka, objął ją ramieniem i pocałował. Jego płyn po goleniu miał zapach piżma. Chloe poczuła, że jej ciało przebiega drżenie. Może to dreszcz pożądania? Morgan położył dłoń na drobnym, jedwabistym kolanie dziewczyny, a potem przesunął wolno rękę wzdłuż jej uda. Serce tłukło się Chloe w piersi, lecz nie powstrzymała tej dłoni. Niczym małe dziecko zamknęła oczy, a on znów ją pocałował. Potem patrzył przez chwilę na jej subtelnie umalowaną twarz i powiedział:

- Jesteś bardzo piękna, Chloe.

- Naprawdę? -Tak.

- Och!

Morgan odsunął się od niej, wziął swój kieliszek i wypił wino.

- Chciałabyś obejrzeć resztę mieszkania?

No cóż, sztuka uwodzenia nie jest specjalnie urozmaicona, stwierdziła w duchu Chloe, pewna, że przez „resztę mieszkania” Morgan rozumie sypialnię.

- Owszem - powiedziała.

Wstała i ruszyła za nim. W sypialni stało największe łóżko, jakie kiedykolwiek w życiu widziała. Pokój był przytulny, umeblowany eleganckimi mahoniowymi meblami. W kącie stała wielka szafa z lustrem. Na jednej z komód ustawiono kolekcję starych sepiowych fotografii, oprawionych w srebr-

ne ramki. Chloe, zaciekawiona, wzięła jedną z nich do ręki. Zdjęcie przedstawiało Leonorę Steer na koniu. Widać było, że amazonka doskonale sobie radzi z pełnokrwistym wierzchowcem; przypominała raczej kobietę-herszta zbójeckiej bandy niż szlachecką córkę, która odebrała staranne wychowanie.

- To także babcia. - Morgan odstawił zdjęcie z powrotem na komodę. Odwrócił się w stronę Chloe i zaczął odpinać guziki jej kostiumu od Armaniego.

- Chodźmy do łóżka.

- Dobrze. Dobrze?

Nie brzmiało to zbyt namiętnie; ba, w jej głosie nie wyczuł nawet zwykłego zainteresowania. Morgana rozczarowała bierność Chloe, ale postanowił nie zwracać na to uwagi. Zsunął żakiet z ramion dziewczyny, odsłaniając małe, spiczaste piersi. Obsypał je pocałunkami, a potem zdjął z Chloe resztę garderoby.

Gdy w końcu wszedł w nią z impetem, ona, wpatrzona w swoje pomalowane paznokcie u nóg, doświadczyła pierwszego i, jak się miało okazać, ostatniego w życiu orgazmu.

Joanna Blackstock mieszkała w południowo-zachodnim Londynie, w ładnym domu o ścianach wykładanych otoczakami i oknach, które miały podsuwane do góry okiennice.

Tom zajechał przed dom, zgasił silnik, a potem przyciągnął do siebie swą towarzyszkę i pocałował ją. Joanna entuzjastycznie odwzajemniła pocałunek. W świetle tego, co nastąpiło później, było to doprawdy zaskakujące¹.

Tom wysiadł z MG i otworzył drzwi Joannie.

- Dziękuję - powiedziała dziewczyna.

Na schodkach, szukając w torebce kluczy, dodała: -1 bardzo dziękuję za kolację. To był niezwykle miły wieczór.

Zabrzmiało to jak pożegnanie. Tom, który założył się sam ze sobą, że uda mu się zaciągnąć Joannę do łóżka, usiłował ją nakłonić do zmiany decyzji:

- Więc może go przedłużymy. Chyba nie odeślesz mnie teraz w ciemną noc, nie poczęstowawszy nawet filiżanką kawy? - Oczyma duszy ujrzał swój nieprzytulny pokój hotelowy.

Była już w środku, a on wciąż stał na schodach.

- Cóż, obawiam się, że tak.

Joanna wiedziała, że gdyby pozwoliła takiemu mężczyźnie jak Tom Marchant, aby ją uwiódł już pierwszej nocy, nic by przez to nie zyskała. Jeśli ma go znów zobaczyć, będzie musiała prowadzić z nim grę nieco dłużej.

Tom, który uważał spędzenie nocy z Joanną za rzecz oczywistą, był niezmiernie rozczarowany. Przewyciężył chęć zablokowania drzwi stopą - gdyby to zrobił, dziewczyna podniosłaby krzyk i natychmiast znaleźliby się jacyś stróże moralności, chętni do udzielenia pomocy.

- No cóż, skoro jesteś tego pewna... - rzekł urażony.

- Całkowicie pewna. Ale nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się jeszcze spotkać.

Ach tak, pomyślał Tom. O to chodzi!

- Rzeczywiście, masz rację. A zatem... dobranoc.

Jego małą, choć nie przynoszącą zbyt wiele satysfakcji zemstą będzie to, że odejdzie, nie poprosiwszy jej nawet o numer telefonu.

- Dobranoc, Tom - odpowiedziała, po czym dodała: - Jeśli chcesz, możesz mnie jeszcze raz pocałować.

Była więc jakaś nadzieja. Należało się spodziewać, że Joanna zmieni zdanie. Wziął ją w ramiona, a ona z zapamiętaniem odwzajemniła pocałunek. Nie było wątpliwości, że jest gorącą kobietą, i Tom już z góry rozkoszował się myślą o uczcie miłosnej, która go czeka. Lecz ku jego zdumieniu Joanna wysunęła się z uścisku i cofnęła jeszcze dalej za próg mieszkania.

Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Dokąd się wybierasz?

- Do łóżka. A myślałeś, że dokąd?

Oczywiście! Ależ z niego idiota. Zaszarżował naprzód, lecz Joanna energicznie zamknęła mu drzwi przed nosem:

- *Au revoir*, Tom.

Następnego dnia Tom i Morgan spotkali się na lunchu.

Tom postanowił nic nie wspominać przyjacielowi o tym, jak fatalnie mu poszło z Joanną poprzedniego wieczora. Morgan nie miał podobnych zahamowań. Wkrótce wyszło na jaw, że przeżył z Chloe wiele zmysłowych uniesień. Tom starał się myśleć racjonalnie, przekonując samego siebie, że w życiu bywa się raz na wozie, raz pod wozem, i że Joanna Blackstock to nie takie znów objawienie, gdy nagle Morgan powiedział:

- Naprawdę masz spory fart.

- Nie wiem, o czym mówisz?

- Nie powiedziała ci? Jest jedyną córką Harry'ego Blackstocka, właściciela nieruchomości wartych miliony funtów.

- Czyją córką? - Tom przypomniał sobie, że nie wziął nawet jej numeru telefonu.

- Czyżbyś istotnie spieprzył sprawę? - zdziwił się Morgan, obserwując wyraz jego twarzy. - To do ciebie niepodobne.

Umilkli na chwilę, zajęci jedzeniem, po czym Morgan zapytał:

- Powiedz mi, czy Chloe Post nie przypomina ci trochę Caroline?

- Niespecjalnie. - Tom nie zagłębiał się zbytnio w tę kwestię; jego myśli krążyły wokół majątku Blackstocków. Joanna wydała mu się nagle dużo bardziej interesująca.

- Chloe wywodzi się z tych Postów, którzy są właścicielami koncernu prasowego w Ameryce - dodał Morgan - więc też nie brakuje jej forsy.

- Jeśli przypomina ci twoją utraconą miłość, a do tego jeszcze jest bogata, to znaczy, że i ty masz niezły fart.

- Może... - powiedział Morgan w zamyśleniu. Uczuł przy-

pływ pożądania na wspomnienie nagiego, smukłego ciała Chloe. -
Może...

Joanna i Chloe także jadły razem lunch. Joanna zauważyła, że Chloe wygląda na wyciszoną i zaspokojoną. Ponieważ kobiety rzadko rozmawiają szczerze o tych sprawach, Joanna nie zadawała przyjaciółce żadnych pytań, lecz poprzestała na wyciągnięciu własnych wniosków.

- Masz zamiar znów się z nim zobaczyć? - zapytała.

- Tak. A ty? Zamierzasz się umówić z Tomem?

- Oczywiście, mam zamiar go poślubić.

6

Chloe nigdy więcej nie miała orgazmu. Raz czy dwa wydawało jej się, że jest już bardzo blisko, lecz Morganowi nie udało się sprawić, aby przeżyła go ponownie. Wróciła więc do wypróbowanej metody, czyli udawania; podczas gdy Morgan przeżywał miłosne uniesienia, ona przerzucała w myśli najnowszy numer „Vogue”. Czasami wspominała dzień, w którym utraciła dziewictwo. Seks wydał jej się wtedy czymś nieeleganckim, wręcz graniczącym ze śmiesznością. W wieku lat siedemnastu, za przykładem swej zblazowanej i powierzchownej matki, Chloe doszła do wniosku, że seks stanowi raczej środek do celu niż źródło przyjemności. Oczywiście nie wspomniała o tym Morganowi i mimo że spędzane z nim noce nie przynosiły jej spełnienia, lubiła jego towarzystwo.

Któregoś ranka, gdy Morgan ujrzał ją z filiżanką czarnej kawy w ręce i nieodgadnioną twarzą egipskiej statuetki, siedzącą nago na łóżku Leonory, poczuł, że jest w niej zakochany. Z drugiej strony, nie potrafił zapomnieć o Caro. Jej dręczące, nieuchwytnie piękno wciąż zajmowało jego myśli. Gdybyśmy się kochali tamtego dnia na Wałach Hadriana, nie cierpiałbym tak straszliwie, myślał, bo albo teraz bylibyśmy razem, albo nie, ale cokolwiek by się stało, sprawa zostałaby doprowadzona do końca. Może powinien jeszcze raz zobaczyć się z Caro, a jeśli pozostanie nieubłagana, zaangażować się w związek z Chloe?

Chloe odstawiła filiżankę na talerzyk i powiedziała:

- Powinniśmy wybrać się na weekend do Irlandii.
- Zaskoczony tą niespodziewaną propozycją, Morgan odpowiedział:
- Chyba nie znam nikogo w Irlandii.

- Ja znam. Brazylijskiego magnata miedziowego. Multimilionera.

No jasne, pomyślał Morgan z ironią, uznawszy za rzecz nieprawdopodobną, by Brazylijczyk osiedlił się w Irlandii. Do Chloe zaś powiedział:

- Naprawdę? To brzmi obiecująco. Gdzie mieszka? I dlaczego miałbyście chcieć nas gościć?

- Mieszka w Dublinie. Zostałam już przez niego zaproszona i gotowa jestem wyłudzić zaproszenie także dla ciebie, jeśli oczywiście będziecie mieli ochotę pojechać. Roberto organizuje pokaz koni. Jest właścicielem stadniny. - Chloe ziewnęła znudzona.

Zapowiadało się coraz ciekawiej.

- Nie wiedziałem, że...

- ...lubię konie - skończyła zdanie za niego. - Niespecjalnie. Ale to coś innego. Oprócz pokazu będzie wystawne przyjęcie i huczna zabawa.

- A jak...

- ...go poznałam? Moja matka była jego kochanką. Zabrzmiało to tak, jakby powiedziała: „Moja matka była jego partnerką do brydża”. Morgana znów zaskoczyło obojętne podejście Chloe do spraw seksu.

- Ich związek rozpadł się, gdy Roberto po raz czwarty się ożenił - ciągnęła dalej dziewczyna.

- Nie chciał ożenić się z twoją matką? - zdziwił się Morgan. - Dlaczego, skoro w tym czasie mieli romans?

- Nie chciał, ale gdybyś poznał moją matkę, zrozumiałbyś, że podjął słuszną decyzję. Mama nie jest stworzona do prowadzenia domu. A już z pewnością nie domu w Irlandii. Chociaż oczywiście Roberto ma domy także w innych miejscach.

Oczywiście.

Chloe westchnęła z żalem, myśląc, że gdyby matka była łagodną, pełną ciepła kobietą, a nie apodyktyczną jędzą, może jej życie ułożyłoby się inaczej. Wstała, zwinna jak kot, po czym szybko wciągnęła na siebie czarne legginsy. Ciemne, połyskujące włosy rozsypały się jej na ramionach. Morgan obserwował ją z mieszaniną ciekawości i pożądania. Położył rękę na jej udzie. Chloe na chwilę przerwała ubieranie i odsunęła jego dłoń.

- Przykro mi, kochanie, ale na dziesiątą jestem umówiona.

- Z kim? - Morgan poczuł ukłucie zazdrości.

- Mam przymiarzkę sukni.

- Wciągnęła przez głowę luźny kremowy sweter.

- Możesz zadzwonić i powiedzieć, że się trochę spóźnisz. Albo jeszcze lepiej w ogóle odwołaj dzisiejszą miarę!

Najwyraźniej nie rozumiał, jak ważną rolę w życiu człowieka odgrywa ubranie.

- Nie mogę tego zrobić. Gdy krawiec raz się na ciebie wścieknie, potem całymi miesiącami nic nie leży jak trzeba. - Zaczęła nakładać makijaż.

- W takim razie może spotkamy się na lunchu? Moglibyśmy zjeść tutaj.

Przyniosę coś z restauracji.

- Nie, obawiam się, że dzisiaj nic z tego. Umówiłam się na lunch z Joanną.

Morgan zaciekawiał się.

- Czy Tom już się z nią skontaktował?

- Nie, to ona do niego zadzwoniła. Joanna jest bardzo wyemancypowana.

Wiedząc, że kobiety wyzwolone nie są raczej w typie Toma Marchanta, Morgan poczuł się jeszcze bardziej zaskoczony, gdy Chloe oświadczyła:

- Chyba chce za niego wyjść.

Zabrzmiało to tak, jakby Tom nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Mając w pamięci dotychczasowe doświadczenia miłosne przyjaciela,

Morgan powiedział z powątpiewaniem:

- Doprawdy, nie wydaje mi się, aby to był dobry pomysł. Tom jest niestały i nie potrafi żyć z jedną kobietą.

- Nie szkodzi, idę o zakład, że okaże się bardzo stały, jeśli w grę wejdą pieniądze, a Joanna jest nieźle nadziana. *Au revoir*.

Przesłała mu w powietrzu pocałunek i już jej nie było. Małżeństwo!

Po wyjściu Chloe wytrącony lekko z równowagi Morgan zaczął spacerować po mieszkaniu. Był już po trzydziestce, więc jeśliby chciał się z kimś związać węzłem małżeńskim, powinien to zrobić jak najszybciej. Związek z rozkoszną Chloe pozwoliłby mu się wyrwać spod tyrańskich rządów babki. Jednakże od oświadczyń powstrzymywało go namiętne pragnienie posiadania Caroline Barstow. Pod wpływem impulsu podniósł słuchawkę i wykreślił jej numer telefonu.

Podczas lunchu Chloe zagadnęła Joannę:

- Jak ci idzie z Tomem Marchantem?

- Na razie nic się nie dzieje. Umówiliśmy się na kolację, ale niestety musiałam odwołać spotkanie. Nie był tym specjalnie zachwycony. Mam wrażenie, iż dotąd niezbyt często spotykał się z odmową. Nie jest do tego przyzwyczajony.

- Więc kiedy się w końcu spotkacie?

- Dziś wieczorem. Ale kolacja to na razie wszystko, co mam w planie. Sądzę, że tym też nie będzie specjalnie zachwycony.

- Z pewnością nie... - Chloe wpatrywała się w przyjaciółkę. - Wygląda na to, że zamierzasz trzymać go krótko.

- Bardzo krótko.

Joanna podniosła do ust kieliszek z winem, upiła łyk i spytała:

- A co z Morganem? Jest chyba dobrą partią. Chloe westchnęła lekko.

- Tak, gdybym zamierzała się związać z jakimkolwiek

mężczyzną, na pewno byłby to on. Ale w łóżku wciąż nam nie wychodzi. To znaczy, jeśli chodzi o mnie. Morgan jest zupełnie zadowolony z naszego wspólnego seksu.

Joanna, która od dawna wiedziała, że jej przyjaciółka nie potrafi nawiązywać interesujących przygód, często się zastanawiała, jak Chloe spędza czas. Ślizga się tylko po powierzchni życia, najwyraźniej nie dostrzegając w nim żadnej głębi, myślała. I sama jest jak piękny obraz: dekoracyjna, lecz dwuwymiarowa.

Ich znajomość trwała już bardzo długo. Zaczęła się w staroświeckiej, bezsensownej instytucji, jaką była prywatna szkoła żeńska. Uczęszczały do niej wszystkie dziewczęta z rodziny Postów. Joanna natomiast była w swojej rodzinie pierwszą młodą osobką, którą posłano do tej szkoły. Wybrał ją dla niej ojciec - inteligentny, lecz przypominający nie oszlifowany diament mężczyzna, którego ambicją było, aby jego jedyne dziecko nabrało dobrych manier i ogłady, gdyż jemu samemu zawsze ich brakowało. Joannę pociągała w Chloe przede wszystkim jej wytworna elegancja. Nie zwróciła jakoś wcześniej uwagi na jej bierność i brak zdecydowania. Może przyćmił je fakt, iż sama była spontaniczną, tryskającą energią osobą. Później, gdy wszystkie ich koleżanki założyły już rodziny, Chloe i Joanna w Londynie dalej trzymały się razem.

- Więc co zamierzasz w związku z Morganem? Chloe milczała chwilę, po czym odpowiedziała:

- Nie jestem pewna. A co, twoim zdaniem, powinnam zrobić?

Joanna poczuła przyływ nagłego, niewytłumaczalnego niepokoju.

- Cóż, na litość boską, nie wychodź za niego, jeśli nie jesteś w nim zakochana!

- Naprawdę myślisz, że mogłabym to zrobić? - uciekła się do uniku Chloe, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu książeczki czekowej. Ukryła twarz za kaskadą opadających włosów.

Joanna wyczuła, że przyjaciółka nie jest z nią szczerą. W ciągu następnych lat wielokrotnie zastanawiała się, czy to nie ona aby podsunęła Chloe pomysł małżeństwa, zasiewając w ten sposób ziarno przyszłych wydarzeń.

Morgan dodzwonił się do Caroline dopiero za trzecim razem. Wydawała się poruszona jego telefonem.

- Czy mógłbym wpaść do ciebie na chwilę? Dzisiaj, jeśli to możliwe.
- Naprawdę mam okropnie dużo pracy... - Urwała. Dźwięk jego głosu sprawił, że poczuła przyspieszone bicie serca.
- To bardzo ważne.

Caro utkwiała wzrok w nie rozpakowanych jeszcze plastikowych torbach z zakupami. Rano, gdy w dzielnicowym supermarkecie zmagiała się z krnąbrnym wózkiem, który wciąż wymykał jej się z rąk, rozmyślała o swoim małżeństwie. Ono także zaczęło jej się wymykać. A teraz nagle objawia się Morgan, chcąc jeszcze bardziej skomplikować sytuację. Zresztą nigdy nic nie wiadomo. Może rzeczywiście ma jej coś ważnego do powiedzenia.

- Caro? Caro? Jesteś tam?

- Och, przepraszam. Tak, jestem. Możesz przyjechać teraz?

To najlepszy moment, pomyślała. Czy też raczej - jedyny moment.

Zarówno Larch, jak i Patrick prowadzili bardzo nieregularny tryb życia - wstawali i kładli się spać o najdziwniejszych porach - toteż prowadzenie domu stawało się ostatnio coraz bardziej uciążliwe. Chociaż trzeba przyznać, że od czasu gdy Patrick znów zaczął pracować, ich pożycie zaczęło układać się trochę lepiej.

- Będę u ciebie za pół godziny. Przynajmniej stanowiło to dla niej jakiś bodziec. Zaczęła rozkładać zakupy. W jakim momencie, zastanawiała się, człowiek nagle zdaje sobie sprawę, że zawierając

małżeństwo, popełnił błąd nie do naprawienia? W końcu już sama przysięga małżeńska - „w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli” - może stanowić ostrzeżenie, że nie należy się spodziewać, iż życie we dwoje będzie usłane różami. Ale nawet zakładając, że czekają nas zarówno wzloty, jak i upadki, pozostaje pytanie: w którym momencie staje się to nie do wytrzymania? Problem w tym, że tak naprawdę wcale nie wiedziała, czego powinna oczekiwać od swojego związku. Na pewno jednak nie powinna czuć się taka znudzona i apatyczna.

Ustawiając puszki w jednej z szafek, natknęła się na słoiczek ketchupu z nadrukiem: „Spożyć przed końcem lipca 1985”. Larch musiał go przeoczyć. Caro postawiła ketchup z powrotem na półce.

Morgan zaparkował samochód przed domem Hollandów. Pod drzwiami wciąż stała butelka mleka. Podniósł ją i nacisnął dzwonek. Nastąpiła długa cisza. W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich Caro.

Mój Boże, wygląda na zmęczoną, pomyślał. A właściwie na kompletnie wyczerpaną. Ruszył za nią w kierunku kuchni.

- Przyniosłem ci to. - Wręczył jej mleko. - I to. - W rękę trzymał butelkę mocno schłodzonego szampana. - Myślę, że powinniśmy go od razu wypić. Co ty na to?

- Morganie, jest dopiero jedenasta. - I co z tego?

Uśmiech odmienił twarz Caro, przenosząc Morgana z powrotem w czasy ich dzieciństwa w Northumberland, a dokładniej do tamtego dnia, gdy na Wałach Hadriana starał się ją nakłonić, aby z nim uciekła. Otworzył butelkę. Patrzył na Caro z miłością i troską, ale postanowił oprzeć się pokusie wzięcia ukochanej w ramiona.

- Lepiej się nie śpieszyć.

Nalał jej kieliszek szampana. Na ułamek sekundy stanął mu przed oczyma obraz nagiej Chloe Post, takiej, jaką zapamiętał - siedzącej na jego łóżku poprzedniej nocy, kiedy już nasycili się miłością.

Lecz ja byłem samotny, pijany dawnej namiętności czarą,

Gdym się obudził, świt ujrzałem szary.

W głębi serca wciąż jestem ci wierny, Cynaro!

- Może przejdziemy do pokoju?

Głos Caro przywołał Morgana do rzeczywistości. Weszli do przestronnego, choć trochę zaniedbanego salonu. Wszędzie było tu pełno książek. Morgan zdjął ich okazały stos z kanapy i usiadł. Na jednej ze ścian wisiało mnóstwo fotografii, przedstawiających głównie Patricka. Był tam Patrick w roli wędrownego drozda w przedstawieniu przedszkolnym, Patrick w Oksfordzie, Patrick w Królewskiej Akademii Sztuki Dramatycznej, Patrick statystujący w różnych spektaklach oraz Patrick i Caro w dniu ślubu. Morgan odwrócił wzrok, gdyż widok ten przywodził mu na myśl bolesne wspomnienia. Zdjęcie przypomniało mu o celu jego wizyty.

- Przyszedłem - powiedział, decydując się od razu wyłożyć karty na stół - aby zapytać cię po raz ostatni, czy za mnie wyjdiesz, ponieważ poznałem kogoś innego.

- Dlaczego mnie o to pytasz, skoro poznałeś kogoś innego? - Caro była zdziwiona i poruszona.

- Bo wolałbym ożenić się z tobą. Od lat jestem w tobie zakochany. Wiesz o tym.

- Ależ Morganie, jeśli jesteś zakochany we mnie - powtarzam, jeżeli to prawda - nie powinieneś myśleć o poślubieniu kogoś innego. To nie w porządku. Oczywiście wobec tej osoby.

- Więc co mam zrobić? Jeśli nie porzucisz Patricka, nie możesz wymagać ode mnie, żebym resztę życia spędził jak mnich.

Wstał i gorączkowo zaczął przemierzać pokój. Choć już dawno wyrósł z wieku młodzieńczego, pozostało w nim wiele z chłopca, co bardzo ujmowało kobiety. Wygląd Morgana niewiele się zmienił od czasu, gdy był jeszcze uczniem Eton. Pozostał mu nawyk odrzucania do tyłu miedzianorudych wło-

sów, niesfornie opadających na czoło. Miał prosty nos i mocno zarysowany podbródek oraz uderzająco błękitne oczy - po ojcu, majorze Fredzie. Był bardzo przystojny.

Caro pragnęła, aby wziął ją w ramiona, a jednocześnie obawiała się tego.

- Nikt od ciebie nie wymaga, żebyś żył jak mnich. - Poczwała, że jest niebezpiecznie bliska łez. - Ale nie musisz bynajmniej rujnować życia komuś innemu.

- Czy wyjdiesz za mnie?

W głosie Morgana zabrzmiały desperackie nuty.

Caro chciała zawołać: „Tak, wyjdę!”, lecz spojrzała na szkolne zdjęcie Minery stojące na kominku w oryginalnej tekturowej ramce. Jej dziecko wpatrywało się z wrogą miną w obiektyw, jakby za wszelką cenę chciało mu utrudnić uchwycenie wszelkiego podobieństwa.

- Nie wyjdę - odpowiedziała Caro. - Nie mogę tego zrobić.

Idąc za jej pełnym rozpaczy wzrokiem, Morgan także zatrzymał spojrzenie na zdjęciu Minery. Nieszczęsny dzieciak, pomyślał.

- Owszem, możesz. Zabierzemy również twoją córkę.

Przyciągnąwszy Caroline do siebie, Morgan zaczął ją całować, a kiedy wsunął rękę pod jej bluzkę i dotknął piersi, poczuła na skórze chłód jego rodowego sygnetu.

Nie będę się dłużej opierać, pomyślała i odwzajemniła pocałunek.

Niepomni na wszystko z wyjątkiem siebie nawzajem, nie usłyszeli otwierających się drzwi.

- No, no! - powiedział tylko Jonathan Larch.

Wieczorem Larch zwrócił się obojętnym tonem do Emily, która siedziała przy toalecie w białej, bawelianej nocnej koszuli, zajęta zmywaniem makijażu przed lustrem:

- Wiedziałaś o tym, że twoja siostra zdradza swojego męża?

Zaskoczona Emily utkwiała wzrok w jego odbiciu w lustrze.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała. - I wcale mi się to nie podoba.

- Przyłapałem ich. - Wyglądało na to, że Jonathan jest bardzo z siebie zadowolony.

- Kogo? Na czym?

- Ją i jakiegoś faceta, którego nigdy przedtem nie widziałem. Wysoki, szczupły, z okropnie arystokratycznym akcentem. - Zaczął go naśladować. - Nazywa się chyba Morgan.

Morgan!

Emily odłożyła szczotkę, którą przed chwilą wzięła do ręki. Oczywiście cała rodzina wiedziała, że Morgan kochał się w jej siostrze bez wzajemności, ale ona, Emily, sądziła, że wiedząc, iż małżeństwo Caro jest udane, Morgan stłumił w sobie to uczucie.

- To był Morgan Steer. Opacznie zrozumiałeś sytuację. Są przyjaciółmi z dzieciństwa.

Znów sięgnęła po szczotkę, ale Jonathan nie miał zamiaru porzucić smakowitego tematu.

- Och, doprawdy? Czy przyjaciele z dzieciństwa zawsze całują się namiętnie i zdzierają z siebie ubranie?

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Co, u licha, Caro zrobiła najlepszego? Emily zamaszystymi, nerwowymi ruchami zaczęła szczotkować lśniące kasztanowe włosy.

- Jak sądzisz - podjął na nowo wątek Jonathan - co z Patrickiem?

- O co ci chodzi? Jak to „co z Patrickiem”?

- Nie sądzisz, że mam obowiązek powiedzieć mu o tym? Rozzłoszczona Emily odłożyła szczotkę i odwróciła się do kochanka.

- Jeśli wspomnisz Patrickowi choć słówko o tym, co mi przed chwilą powiedziałaś, nigdy się już do ciebie nie odezwę! Słyszysz? Nigdy! Nie było wątpliwości, że mówi całkiem serio.

- Tylko żartowałem. - Larch cofnął się o krok, zaskoczony gwałtownością jej wybuchu. - Dokąd idziesz?

- Wychodzę!

Usłyszał, jak zamyka się w łazience, gdyż dobiegł go cichy szczełęk przekręcanego w zamku klucza. Uznawszy, że ostatnio Emily zaczyna tracić nad sobą kontrolę i że koniecznie powinien z nią o tym porozmawiać, Larch poszedł spać sam.

W jakiś czas później Emily bezszelestnie opuściła łazienkę. Pod drzwiami sypialni nie było widać smugi światła, co znaczyło, że Jonathan musiał się już położyć. Okryta płaszczem falujących, długich włosów, w nie dopiętej nocnej koszuli, przemknęła koło drzwi, a potem cicho zbiegła na dół do kuchni, gdzie ktoś zostawił zapalone światło.

Caro siedziała przy wyszorowanym sosnowym stole, patrząc nieruchomo przed siebie. Była tak zatopiona we własnych myślach, że nie usłyszała nawet wejścia Emily.

- Caro?

-Em? Wystraszyłaś mnie! Dlaczego jeszcze nie śpisz? Gdzie Jonathan?

- Śpi. A Patrick?

- Też śpi. Ci wspaniali mężczyźni, co?

- Dobrze, że Jonathana tu nie ma. - Głos Emily był pełen podniecenia.

- Spodziewam się, że powiedział ci, co się wydarzyło.

- Częściowo. Nie wiedziałam, że ty i Morgan jesteście...

- Nie jesteśmy. Ale sądzę, że mogło zajść tego rodzaju nieporozumienie - powiedziała oschłym tonem Caro.

- Więc co się właściwie stało?

- Morgan chce się ze mną ożenić, a ja, gdyby nie Minerva, prawdopodobnie bym się zgodziła.

- Ale co z Patrickiem? - Siostra Caro zawsze miała słabość do szwagra.

- Już od dawna nam się nie układa.

Emily milczała chwilę, po czym powiedziała:

- To znaczy, że Morgan przez te wszystkie lata nadal był tobą zainteresowany?

- Tak. Co powiesz na odrobinę mocnego ginu? Czuję, że tego właśnie mi potrzeba.

- To takie romantyczne. - Reakcja Emily była bardzo powierzchowna. - Chyba nie zamierzasz z nim uciec? - Jaka szkoda, pomyślała w duchu. Gdyby mnie ktoś poprosił, żebym z nim uciekła, nie wahałabym się ani chwili. - Więc co masz zamiar zrobić?

- Sądzę, że jeśli Jonathan powie Patrickowi, co widział, decyzja nie będzie należała do mnie. Lodu?

- Zabroniłam mu tego jak najsurowiej. Ale może byłoby lepiej, gdyby powiedział. Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą, Caro.

- Bo nie jestem. - Wypowiedzenie tych słów na głos przyniosło jej ulgę. - Chociaż w chwilach gdy myślę rozsądnie, wydaje mi się, że pozabawienie Minervy domu rodzinnego i ucieczka z Morganem, który nawet nie ma stałej pracy, nie jest najlepszym rozwiązaniem.

- Patrick przeważnie też nie ma pracy.

- To prawda, ale rozumiesz, co mam na myśli. -Tak.

Caro jednym haustem wypijała połowę swojego ginu.

0 pierwszej w nocy smakował jak boski nektar.

- Więc co się właściwie stało i gdzie jest Morgan?

- Stało się to, że Morgan zjawił się tu z butelką szampana, bredząc coś o tym, że mnie kocha, zawsze mnie kochał i chce się ze mną ożenić, a jeśli nie będzie mógł tego uczynić, ożeni się z kimś innym.

- Ooo! - wykrzyknęła Emily, w zachwycie chłonąc każde słowo siostry. - A co było potem?

- Potem objął mnie i pocałował.

- Zupełnie jak w wiktoriańskiej powieści!

- Cóż, na tym podobieństwo się kończy, bo następnie zaczął mnie rozbierać, a ja zaczęłam ściągać ubranie z niego,

1 wtedy właśnie wkroczył Jonathan. Powinnaś zobaczyć jego minę.

Napijmy się jeszcze!

- Chętnie. Ale, ale, kogóż to zamierza poślubić, jeśli nie ożeni się z tobą?

- Nie mam pojęcia.
 - Słuchaj, jeśli ty nie chcesz Morgana, może ja go wezmę?
 - Nie wiem, czy go chcę, czy nie. Ale pewnie i tak jest za późno... przecież kazałam mu odejść. - Caro uczuła przejmujący żal, że straciła szansę i że życie przecieka jej przez palce. - Powiedziałam, żeby odszedł - i odszedł.
 - A Jonathan? Co zrobił?
 - Morgan kazał mu się odchrzanić i Jonathan się odchrzanił.
- Emily ogarnęła prawdziwa wesołość.
- Dlaczego mówisz, że wzięłabyś Morgana, skoro masz... -Caro nie wymieniła imienia, tylko wskazała palcem sufit.
 - Wydaje mi się, że w jakiś dziwny sposób prześcignęłam Jonathana - wyjaśniła Emily. - Ale biorąc pod uwagę wspólną hipotekę, polisę ubezpieczeniową i spustoszoną przez ogień kuchnię, zerwanie mogłoby wywołać trochę komplikacji.
 - Niech Jonathan wraca na pogorzelnisko, ty możesz zostać tutaj. Co właściwie cię w nim pociąga? - Caro często się nad tym zastanawiała.
 - W dużej mierze fakt, że jest ode mnie o dziesięć lat starszy. Gdy go poznałam, potrzebowałam kogoś, kto by się mną zaopiekował.
 - A teraz nie potrzebujesz?
 - Nie, w każdym razie nie tak bardzo. To było pięć lat temu. Strasznie trudno jest żyć, gdy człowiek nie potrafi zrobić kroku bez zasięgnięcia czyjejś rady.
- Chyba raczej bez ścisłej instrukcji, pomyślała Caro, słuchając wynurzeń siostry.
- Oczywiście jest bardzo inteligentny - ciągnęła Emily -no i naprawdę podziwiam bezinteresowność, z jaką wybrał pracę w opiece społecznej... bo czuł, że chce zrobić coś dla ludzi, chociaż będąc tak uzdolnionym i bystrym, z łatwością mógłby znaleźć dużo bardziej opłacalne zajęcie. Obserwując siostrę, która tymi słowami przekonywała samą siebie, że powinna wrócić do łóżka Larcha, Caro zdecyd-

dowała, że najlepiej będzie nic nie mówić. Jej własna opinia o możliwościach intelektualnych Larcha bardzo daleko odbiegała od sądu Emily. Zdaniem Caro, Larch działał na najbardziej odpowiedniej dla siebie niwie, choć być może niektóre rodziny, zmuszone korzystać z jego pomocy, mogłyby polemizować z tym przekonaniem. Jej ukochana siostra także nie jest specjalnie błyskotliwa, więc Larch nie musi się obawiać, że któregoś dnia przerośnie go inteligencją. Emily wzięła ze stołu butelkę ginu.

- Prawie nic nie zostało. Dokończymy?

- Jasne.

Caroline spojrzała na zegarek. O nieba! Była już druga w nocy.

Wrzuciwszy do szklanki trochę lodu, siostra wręczyła Caro drinka. Przez następne pięć minut obie siostry w milczeniu sączyły alkohol.

Emily, czując, że robi się coraz bardziej pijana, otworzyła usta, aby powiedzieć: „Spokojnie tu, nieprawdaż?” - gdy nagle zobaczyła, że klamka drzwi kuchennych zaczyna się powoli poruszać.

- Caro, zamknęłaś dom na klucz, tak czy nie? - wyszeptała niespokojnie.

Caro podążyła wzrokiem za przerażonym spojrzeniem Emily. Obie wpatrywały się jak zahipnotyzowane w bezszelestnie otwierające się drzwi.

Ku ich niewypowiedzianej uldze, wszedł przez nie nie włamywacz, lecz Larch - w samej bieliźnie. Długie rozpuszczone włosy opadały mu swobodnie na ramiona. Wyglądał niczym kompletnie pozbawiony poczucia humoru prorok ze Starego Testamentu.

Emily wskazała palcem dziwaczną zjawę i wybuchnęła głośnym śmiechem.

Jej kochanek bynajmniej nie był rozbawiony. Spojrzenie jego szarych oczu spoczęło na pustej butelce ginu.

- Co się tu dzieje?

- Nic zdrożnego - Caro nie spodobał się ten ton. - Nie ma potrzeby, abyś wzywał straż obywatelską.

Udając, że nie usłyszai tej uwagi, Larch powiedział surowo:

- Emily, jesteś pijana.

Emily, śmiejąc się do łez, wybełkotała:

- Ależ skąd, nie jestem pijana, jestem bardzo pijana. -Następnie^ po nieudanej próbie odzyskania równowagi, dodała: - Wybacz, kochanie.

I znowu wybuch zaraźliwej wesołości. Caro uśmiechnęła się mimo woli. Nie chciała rozdrażniać Larcha jeszcze bardziej, w obawie że jej siostra mogłaby na tym ucierpieć.

- A w dodatku zachowujesz się jak histeryczka - stwierdził Jonathan.

Co za obrzydliwy purytanin, zgorszyła się Caro. Głośno zaś powiedziała:

- Emily, chyba już czas iść do łóżka.

Larch zignorował zaofiarowane przez Caroline wsparcie.

- Emily, chodź ze mną! Porozmawiamy o tym jutro rano. -I wyszedł, odwróciwszy się na pięcie.

Niezadowolenie Jonathana otrzeźwiło trochę Emily. Pokazała język jego oddalającym się plecom, potem jednak posłusznie spełniła polecenie.

Caro usłyszała, że siostra, wchodząc za nim po schodach, wciąż śmieje się sama do siebie.

Zmęczona, opłukała szklanki, wytarła je i odstawiła na miejsce, a po chwili także poszła się położyć.

KWIECIEŃ

Morgan pojechał z Chloe do Irlandii. W samochodzie, podczas gdy ona kartkowała najnowszy numer „Tatlera”, rozmyślał o swoim ostatnim spotkaniu z Caro. Sprawa znowu pozostała nie rozstrzygnięta i Morgan powoli utwierdzał się w przekonaniu, że prawdopodobnie nigdy rozstrzygnięta nie zostanie.

Z powodu jego wahania decyzję o wyjeździe podjęli w ostatniej chwili. W rezultacie nie udało im się dostać biletów na samolot do Dublina i zmuszeni byli podróżować przez Cork. Przystudiowawszy mapę, Morgan obliczył, że dojazd zajmie im co najmniej trzy godziny.

- Chyba zrobilibyśmy rozsądniej, gdybyśmy polecili do Belfastu - zauważył.

- Naprawdę? Obawiam się, że geografia nigdy nie była moją mocną stroną - padła obojętna odpowiedź Chloe. -Chcesz, żebym ci przeczytała twój horoskop?

Nie chciał.

Przemierzając Irlandię drogami, którymi nigdy przedtem nie podróżował, Morgan, syn Irlandczyka, niespodziewanie uczuł pokrewieństwo z tą zieloną krainą. Może to sprawa korzeni, pomyślał.

W powietrzu unosiła się drobniutka, szarawa mżawka, która w połączeniu z gasnącym światłem dnia czyniła jazdę coraz bardziej uciążliwą. Chloe nie potrafiła czytać mapy i Morgan miał wrażenie, że spodziewała się, iż będzie prowadził

samochód i jednocześnie pilotował. Musieli robić częste przystanki, żeby ustalić trasę. W końcu zatrzymali się przed jednym z rozsianych wzdłuż szosy barów, skąd zatelefonowali do swego gospodarza, aby go powiadomić, że przybędą z opóźnieniem.

Przez kilka dni po wizycie Morgana Caro starannie unikała Larcha, a atmosfera w czasie posiłków zrobiła się jeszcze sztywniej niż zazwyczaj. Za to Patrick, któremu najwyraźniej odpowiadała nowa praca, był dużo łatwiejszy w pożyciu. Zdawał się nie dostrzegać panującego w domu napięcia i częstował wszystkich anegdotami teatralnymi. Minerva wysłuchiwała ich w posepnym milczeniu.

W końcu odezwała się:

- Tato, zrobili mnie w przedstawienie szkolne wyłącznie dlatego, że jesteś aktorem, i ostatnio muszę wciąż wysłuchiwać pogadanek o teatrze nie tylko w szkole, ale i w domu. Nie możemy rozmawiać o czym innym? Patrick okazał zainteresowanie sprawą.

- Co chcecie wystawić?

- „Sen nocy letniej”.

- Wspaniale. Jaką rolę dostałaś?

- Elfa - odparła Minerva oschle. Larch parsknął śmiechem:

- Nie jesteś aby trochę za gruba na elfa?

Caro zapragnęła, aby Minerva rąbnęła go pięścią w twarz.

- Kiedy wasza kuchnia będzie gotowa? Mam nadzieję, że już niedługo - powiedziała ostro.

Zazwyczaj nie pochwalała takiego braku opanowania, ale tym razem postanowiła sobie pofolgować. W końcu Larch sam się o to prosił.

Zarumieniona ze wstydu Emily wtrąciła:

- Pod koniec miesiąca powinna być wyremontowana. Jestem pewna, że z radością się nas pozbędziecie.

- Ależ skąd! - wykrzyknęli Holladowie nieszczercze.

- A tak, tak! - odezwał się Larch z oczyma utkwionymi w Caro. - Co do mnie, sądzę, że nasza obecność uniemożliwia niektórym zajęcie się o wiele bardziej interesującymi sprawami.

- Jakimi sprawami? - Patrick był zaskoczony. - Nic mi o tym nie wspominałaś, Caro. Czyżby poproszono cię o wzięcie dodatkowych lekcji w szkole?

- Nie - odparła przez zaciśnięte zęby jego żona. - Jonathan tylko żartuje.

- Ach, tak - powiedział Patrick, tracąc zainteresowanie dla sprawy. - Muszę przyznać, że nie zrozumiałem jego dowcipu.

- To dlatego, że wcale nie był zabawny. - Emily rzuciła Jonathanowi wściekłe spojrzenie.

Minerva znudzona wstała od stołu.

- Skoro to nie moja kolej na zmywanie - powiedziała - idę odrabiać lekcje.

- Po czym, psując wrażenie, jakie wywarła na obecnych swoim godnym pochwałą oświadczeniem, dodała: - Przy telewizorze.

Odniosło to pożądany skutek, bo gdy opuszczała jadalnię, usłyszała, jak Larch zwraca się z dezaprobatą do matki:

- Chyba jej na to nie pozwalasz, prawda?

Magnat miedziowy był właścicielem pięknej, starej posiadłości. W przeciwieństwie do wielu innych angielskich rezydencji, gdzie centralnego ogrzewania nie włączano, jeśli temperatura nie spadała poniżej zera, jego dom był zarówno niezwykle ciepły, jak i wygodny. Sypialnia Morgana i Chloe mieściła się w jasnym, przestronnym pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Na polu za nim pasło się sennie bydło, skryte po brzuchy w soczystej trawie, pełnej dzikiego kwiecia. Morgan w przyjemnością patrzył na tę sielską scenę, myśląc jednocześnie, że chciałby, aby tak właśnie płynęło i jego życie.

Był ranek następnego dnia po ich przyjeździe. Na wczorajszą kolację przygotowano szwedzki stół dla czterdziestu osób. Goście stanowili mieszaninę ludzi z różnych środowisk: były tu gwiazdy show biznesu, bywalcy wyścigów konnych, grube ryby przemysłu miedziowego oraz garstka Brazylijczyków. Ujrzawszy pewnego gwiazdora filmowego, Morgan zastanawiał się, jak to jest, że ktoś, kto robi tak niezwykle wrażenie na ekranie, prywatnie okazuje się dużo niższy i mniej przystojny. Może on, Morgan, też powinien zostać gwiazdorem filmowym? Roberto Vargas, ich gospodarz, był niskim, tęgim mężczyzną, ubranym w dwurzędowy garnitur. Miał bardzo ciemne i błyszczące włosy; Morgan, przyjrzawszy mu się uważnie pełnym nagany wzrokiem, uznał, że są chyba farbowane. Chloe jednak najwyraźniej zupełnie zawojowała Var-gasa.

- A jak się miewa twoja urocza matka? - Zapytał gospodarz.

Kolacja już się skończyła, Roberto i Chloe siedzieli obok siebie na wielkiej białej kanapie.

- Wciąż równie urocza, choć nadal nieznośna. - Odpowiedzi Chloe towarzyszyło coś w rodzaju westchnienia. - Od czasu gdy przeniosła się do Bostonu, nie widuję jej zbyt często.

Okazało się, że Roberto widywał Veronicę Post częściej niż jej własna córka. Morgan chyba nie byłby zaskoczony, gdyby się dowiedział, że Vargas i matka Chloe wciąż ze sobą romansują, nie zważając na fakt, iż Roberto ostatnio się ożenił. Prowadząc nieciekawą rozmowę z gwiazdorem filmowym i trenerem koni wyścigowych, musiał przyglądać się dłoni Roberta, spoczywającej bezkarnie na jedwabistym kolanie Chloe. Vargas miał ogromne spinki do mankietów ze szczerego złota. Chloe nie reagowała na jego dotyk. Kontynuowała rozmowę, jakby jej kolano i przesuwająca się po nim ręka nie miały z nią nic wspólnego. Morgan dojrzał czwartą żonę Roberta - wysoką, drapieźną blondynkę; z dezaprobatą obserwowała ona tę scenę z ramienia producen-

ta filmowego, z którym rozmawiała. Napotkawszy bazylijski wzrok żony, Vargas z ociąganiem zabrał dłoń z kolana Chloe, pozwoliwszy sobie na jeszcze jeden ukradkowy uścisk.

Chloe wstała, zamierzając wyjść z pokoju. Morgan usłyszał, jak jej towarzysz zwraca się do niej ze słowami: „Musisz się zgodzić, abym następnym razem, gdy przyjadę do Londynu, zabrał cię na kolację. Na przykład do Gavroche'a”. Zaniepokoiła go odpowiedź przyjaciółki: „Dziękuję ci, Roberto, będzie mi bardzo miło”.

Zazdrość nie była dla Morgana niczym nowym. Odczuwał ją przez wszystkie lata małżeństwa Caro z Patrickiem Hollandem, a teraz odkrył, że jest zazdrosny także o to, iż ktoś inny mógłby zaprosić Chloe na kolację.

Toteż gdy nazajutrz rano stanął w oknie z oczami utkwionymi w smutny, kołysany deszczem ogród, postanowił zapomnieć o swojej nie odwzajemnionej miłości do Caroline Barstow i skoncentrować się na Chloe Post.

Odwrócił się od okna. Chloe siedziała na łóżku, podparta stertą poduszek. Przypominała syrenę; jej nagie ciało rysowało się wyraźnie pod cienkim prześcieradłem.

Bez makijażu wyglądała na delikatną, bezbronną istotę; jej widok chwycił Morgana za serce. Przeszedł przez pokój, zrzucił z siebie szlafrok i wsunął się do łóżka. Przesuwając jedną ręką wzdłuż uda dziewczyny, całował jej różowe sutki i blade, nie umalowane usta.

- Chloe, kochanie, wyjdiesz za mnie? - zapytał.

Na chwilę powróciło gorzkie, bolesne wspomnienie ostatniego pocałunku z Caro...

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak, wyjdę - powiedziała Chloe.

- Och, najdroższa! Kochajmy się, żeby to uczcić!

Chloe zamknęła oczy i pomyślawszy przelotnie, że wolałaby uczcić to w jakiś inny sposób, odpowiedziała:

- Dobrze.

Gdy wracali do Cork po pokazie koni, Morgan rozważał, czy postąpił słusznie. Czy oświadczyłby się Chloe, gdyby nie była bogata? Szczera odpowiedź brzmiała, że prawdopodobnie by tego nie zrobił. Mimo iż uważał Chloe za atrakcyjną i godną pożądaną kobietę, nie był w niej jednak zakochany. Wiedział, że gdyby Caroline Barstow zgodziła się porzucić męża, na pewno nie poprosiłby Chloe o rękę.

A może, myślał, rozważając po raz setny wszystkie „za” i „przeciw”, zakocham się w niej, gdy już będziemy małżeństwem? W końcu takie rzeczy się zdarzają. Niemniej nie zmieniało to faktu, iż właśnie majątek Chloe był czynnikiem, który przesądził o decyzji Morgana. Będzie to małżeństwo dla pieniędzy, a nie małżeństwo z miłości. Morgan, z gruntu człowiek uczciwy, poczuł się zawstydzony. Nie ogłosili jeszcze zaręczyn i wciąż nie było za późno, aby się wycofać, lecz wiedział, że jeśli to zrobi, utraci dziewczynę na zawsze. Cała sprawa była okropnie skomplikowana. Zerkając z ukosa na profil Chloe, Morgan doszedł do wniosku, że nie chce jej utracić. Gdyby tak się stało, zostałby zupełnie sam.

- Pewnie będziesz chciała poinformować o naszym ślubie swoją rodzinę, zanim umieścimy zawiadomienie w „Timesie”? - Zwrócił się do Chloe. - Ja niezwłocznie dam znać babci. Gdybyśmy tego nie zrobili, byłaby to obraza majestatu. Potem trzeba będzie pojechać do Northumberland, aby zobaczyć się z nią i z ciotkami.

Morgan przemógł kolejny dreszcz niepokoju. Życie w Londynie to jedno, ale osiedlenie się na północy to coś zupełnie innego. Nie potrafił sobie wyobrazić, by taka cieplarniana roślina jak Chloe mogła się rozwijać pośród niewygód Armitage Lodge. Chociaż na stałe zamieszkają prawdopodobnie w Londynie, tyle że będą musieli regularnie odwiedzać rodzinną siedzibę na północy. Z pewnością wszystko się jakoś ułoży. Wieczorem napisał do Leonory.

W dniu, w którym przyszedł jego list, Leonora miała zamówioną wizytę u dentysty. Toteż, choć zazwyczaj jadała śniadanie w łóżku, tym razem zeszła do jadalni. Obserwując, jak przecina kopertę kuchennym nożem, jej córki zastanawiały się, co też Morgan mógł napisać w tak długim liście.

Leonora nie raczyła od razu im tego wyjawić.

- Ciekawe - powiedziała, badawczo oglądając list przez pincenez. -
Bardzo ciekawe.

- Co takiego, mamó? - Cassandra z trudem opanowywała podniecenie.

- To, co jest w liście. - Zwodzenie innych było jej sposobem na życie.

Kiedyś rezerwowała tę umiejętność na użytek adorujących ją mężczyzn, teraz posługiwała się nią, by wprawić w zakłopotanie najbliższą rodzinę.

Przeczytała list jeszcze raz, po czym zwróciła się do Julii:

- Twój syn pisze, że postanowił się ożenić.

Julia poczuła się dotknięta. Pisze do niej, a nie do mnie, pomyślała. Jest moim synem, a nawet mnie nie zawiadomił. Jestem w tym domu pozbawiona wszelkich praw.

Clara wpatrywała się w Leonorę ze zdumieniem. Cassandra spoglądała na herbaciane fusy na dnie filiżanki. Każda z nich jednocześnie zadawała sobie pytanie: Jaki to będzie miało wpływ na testament?

- Pisze, że przyszła panna młoda ma odziedziczyć wielki koncern prasowy - oświadczyła Leonora. Uznała to za dobrą partię, choć zaniepokoiło ją, że dzięki małżeństwu Morgan może stać się niezależny finansowo. - Nazywa się Chloe Post.

- Słyszałam o Postach - wtrąciła Julia.

- Ja też - zbyła ją Leonora, która w rzeczywistości nigdy nie zetknęła się z tym nazwiskiem, lecz nie chciała dopuścić córki do głosu. - Ma zamiar wkrótce przywieźć tutaj tę dziewczynę, abyśmy mogły ją poznać.

Będziemy musiały przygotować na tę okazję coś specjalnego.

Ponieważ dla Leonory „coś specjalnego” oznaczało podanie do herbaty kanapek z szynką zamiast z ogórkiem, nikt nie był specjalnie podniecony tą perspektywą.

- Ile ona ma lat? - dopytywała się Clara. - Gdzie się poznali?

- O tym Morgan nie wspomina. - Leonora złożyła list, który był bardzo długi i na pewno zawierał więcej szczegółów, niż im wyjawiała, po czym schowała go do torebki. - Dowiemy się tego podczas ich wizyty. A teraz, która z was zawiezie mnie do dentysty?

- Skoro tylko ja umiem prowadzić, spodziewam się, że wypadnie na mnie - stwierdziła opryskliwie Julia. Czuła narastającą złość. Gdy znalazły się w samochodzie - starym, zdezelowanym fordzie - zwolniła sprzęgło tak gwałtownie, że wóz, rozpryskując żwir, poderwał się do przodu, a potem dopiero potoczył się spokojnie w stronę miasteczka.

Joanna wymogła na Tomie Marchancie, aby zabrał ją do opery na „Kserksesa”. Ponieważ lubiła muzykę z tego okresu, obejrzała kilkugodzinny spektakl z przyjemnością, Tom zaś, który nie znosił dzieł operowych, uznał, go w duchu za „nieprzyzwoicie dużą dawkę Haendla”. Potem poszli na kolację do Café Pelikan przy St Martin's Lane. Tom uświadomił sobie, że im lepiej poznaje Joannę Blackstock, tym bardziej mu się ona podoba. Doprawdy ta dziewczyna ma wiele uroku. To jednak, jaka jest w łóżku, wciąż pozostawało dla niego tajemnicą, gdyż choć spędzili wspólnie już trzy wieczory, wciąż nie udało mu się uczynić z niej swojej kochanki. Po przykrych doświadczeniach z Camillą Vane Tom wiedział już, że lepiej się nie śpieszyć, i postanowił wyczekiwać stosownego momentu, w którym będzie mógł przypuścić atak. Jak dotąd, nie miał jeszcze ku temu okazji.

Pomny na to, co Morgan powiedział mu o majątku Blackstocków, Tom bardzo się pilnował, aby nie rozmawiać z Joanną o pieniądzach. Już kilka razy w ciągu tego wieczora zasta-

nawiał się, czy byłby w stanie wysiedzieć na nie kończącym się Haendlu, gdyby nie wiedział, że Joanna jest bogata. Nie potrafił udzielić sobie zdecydowanej odpowiedzi na to pytanie, gdyż dziewczyna pociągała go coraz bardziej. Joanna odłożyła nóż i widelec.

- Czy widziałeś się ostatnio z Morganem? - zapytała.

- Tak, tydzień temu. Wybierali się z Chloe do Irlandii. Na pokaz koni.

- Naprawdę? Nie wiedziałam, że Chloe pasjonuje się końmi.

- Nie pasjonuje się końmi, lecz najwyraźniej przepada za wytwornymi przyjęciami, jakie wydaje Robert Vargas.

Tom czuł się odrobinę zazdrosny. Nie, nie o związek Morgana z Chloe, którą uważał za piękną, lecz pustą istotę; zazdrościł przyjacielowi intensywnego życia towarzyskiego, które ten ostatnio prowadził.

- Zanim ją poznał, proponował mi przeprowadzkę do mieszkania przy Prince's Gate. Przypuszczalnie nie ponowi tej propozycji, bo moja obecność kolidowałaby z jego obecnym trybem życia.

- Nie rozumiem dlaczego - odparła Joanna. - Chloe ma przecież ogromne mieszkanie. Z pewnością nie chodzi o brak przestrzeni.

- Więc pewnie dlatego, że lubi pozostawić sobie możliwość wyboru.

- A ty? Czy ty też lubisz pozostawić sobie możliwość wyboru?

Tym pytaniem przyparła Toma do muru. Kobiety na ogół nie pytały go o to - pewnie dlatego, że bały się usłyszeć odpowiedź.

- Mieszkanie w hotelu nie pozostawia mi w ogóle żadnego wyboru - odparł bez przekonania.

- Jeśli chcesz, możesz wprowadzić się do mnie. Mam wolny pokój gościnny. Jeśli nie będzie nam się układało, po prostu się wyprowadzisz. Możemy sobie wyznaczyć miesięczny okres próbny. Zamówimy kawę? - powiedziała Joanna.

Jej nieoczekiwana oferta zaparła mu dech w piersi.

- Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej.

- Załóżmy, że się zgodzę. Kiedy miałbym się wprowadzić?

- Cóż, nie od razu. Dajmy sobie jeszcze miesiąc czasu na bliższe poznanie się, a potem ocenimy sytuację. Mam wrażenie, że może nam się udać, oczywiście pod warunkiem, że będziemy przestrzegać kilku podstawowych zasad.

Tom nigdy jeszcze nie spotkał osoby o równie praktycznym podejściu do życia. Joanna musiała mieć w rodzinie jakiegoś Francuza. Był ciekaw, o jakich to zasadach mówi. Uprzytomnił sobie też, że nie sprecyzowała, czy ma na myśli romans, czy chce, aby po prostu dzielili mieszkanie. Z drugiej strony, jakie to ma znaczenie, skoro dzięki temu uda mu się może wyrwać ze swojego obecnego więzienia.

Obdarzyła go miłym uśmiechem, w którego szczerość nie mógł wątpić.

- Pomyśl o tym. Idziemy?

Gdy wracali samochodem do domu, Joanna zapytała:

- Co myślisz o związku Morgana z Chloe? Uważasz, że stanowią dobraną parę?

- Chyba tak, chociaż Morgan przez całe lata kochał się w niejkiej Caroline Barstow.

- Naprawdę? - Joanna zrobiła się czujna. - A teraz? Wciąż jest w niej zakochany?

- Z pewnością był, gdy się z nim ostatnio widziałem.

- Dlaczego, u licha, się z nią nie ożenił, skoro to taka wielka namiętność?

- Nie mam pojęcia. Chyba wyszła za kogoś innego - jakiegoś aktora...

- Rozumiem. Joanna umilkła.

- Kiedyś, gdy będziesz już mógł o tym mówić, chciałabym poznać szczegóły dotyczące twojego małżeństwa.

Tom, zaskoczony, usłyszał własny głos:

- To była absolutna katastrofa. Poślubiłem Primrose z zu-

pełnie niewłaściwych pobudek. - Uderzyło go, że po raz Pierwszy w życiu uświadomił sobie nagle, choć niezbyt jasno jakie powinny być właściwe pobudki.

- To znaczy?

- Wolałbym o tym nie mówić, bo mógłbym sam siebie pograć. - Skreślił w ulicę, przy której mieszkała, i zatrzymał się przed jej domem. - Właściwie na pewno bym się pograć.

- Najważniejsze jest, aby zawierać małżeństwo z miłości a nie dla pieniędzy. Chociaż pieniądze są bardzo pożytecznym dodatkiem. Tom nie miał ochoty zagłębiać się w dyskusję na ten temat.

- Co powiesz na kolację jutro wieczorem? Może wtedy wszystko ci opowiem.

Na pewno tego nie zrobi. Może coś niecoś jej wyzna, ale z pewnością nie wszystko. Joanna postanowiła, że poprosi Chloe, aby wyciągnęła z Morgana szczegóły tej sprawy.

Próbując przejąć inicjatywę, Tom odprowadził dziewczynę do drzwi, ale tym razem jej nie pocałował.

- Powiedzmy, o ósmej? Wpadnę po ciebie. Z tym się rozstali.

Joanna weszła do domu, zrzuciła pantofle, a potem nacisnęła przycisk automatycznej sekretarki.

- Cześć, Joanno, kochanie - odezwał się Harry Blackstock - Tu mówi twój tata. Dzwonię tylko po to, żeby sprawdzić, jak się ma moja mała dziewczynka. Chcę cię ostrzec, żebyś trzymała się z dala od Toma Marchanta. Będę w czwartek w City więc umówmy się na lunch. Zadzwoń do mojego biura.

Skąd, u licha, dowiedział się o Tomie? Najwyraźniej ojcu nie podobało się to, co o nim usłyszał. Joanna wysłuchiwała kolejnych wiadomości.

Ostatnia była od Chloe.

- Morgan poprosił mnie o rękę... - Po tych słowach nastąpiła znacząca pauza. - W Irlandii... - dodała przyjaciółka bez związku. - Przyjęłam jego oświadczenia... - Kolejna pauza. - Jestem bardzo szczęśliwa.

Nie wyczuła w słowach przyjaciółki szczególnego podniecenia, ale może to dlatego, że Chloe nie przekazała jej szczęśliwej wieści osobiście, lecz za pośrednictwem bezdusznej automatycznej sekretarki. Joanna ponownie przeszłuchała taśmę i tym razem odniosła wrażenie, że w głosie Chloe słychać skrywaną ironię. Przypomniawszy sobie, co mówił Tom o miłości Morgana Steera do (zaraz, jak ona się nazywa? Caroline? Tak, właśnie, Caroline Barstow), Joanna poczuła niepokój.

W tydzień po nadejściu listu od Morgana Julia, Cassandra i Clara siedziały w kuchni, pijąc poranną herbatę. Leonora jeszcze nie wstała. Jadła w łóżku śniadanie, które Clara dla niej przygotowała. Cassandra przerwała ciszę słowami:

- Jak sądzicie, w jaki sposób małżeństwo Morgana wpłynie na testament mamy?

- Nie musi wcale wpłynąć na testament. Postowie są bardzo bogaci, więc Morgan zapisane przez nią pieniądze będzie miał wyłącznie dla siebie. Zmianę testamentu może spowodować jedynie kolejny kaprys matki. A jak wiemy, jest zdolna do wszystkiego. Biada temu, kto jej się czymś narazi -wtrącała się do rozmowy Julia.

Nienawidzę swojego uzależnienia od matki i tego domu, pomyślała.

Nienawidzę! Dotąd jej nie wybaczyłam, że nie pozwoliła mi studiować, i pewnie nigdy jej tego nie wybaczę. Meredith poszła na uniwersytet, a ja zostałam w tyle i od tamtej pory zawsze zostaję w tyle. Przypomniała sobie, z jakim zachwytem czytała listy przyjaciółki. Ona sama prowadziła wtedy życie pustelnicy.

- Dziewczyny nie potrzebują dyplomów uniwersyteckich -oświadczyła wzgardliwie Leonora. - W moich czasach wystarczyły lekcje tańca i trochę francuskiego. No i oczywiście, gra na fortepianie. To było najważniejsze!

Nie miało sensu tłumaczyć głuchej na wszelkie argumenty rodzicielce, że czasy się zmieniły.

- Ale ja chciałabym pracować! - upierała się Julia. Leonora pozostała niewzruszona. Tak więc nie douczona i nie przygotowana do wykonywania żadnego zawodu, Julia pozostała tam, gdzie się urodziła. Dni na wsi płynęły jej wolno, każdy następny był zupełnie podobny do poprzedniego; monotonia takiej egzystencji przywodziła ją niemal do utraty zmysłów. Odmianę przynosiły wakacje, gdy Meredith wracała do domu, przywożąc ze sobą wielu młodych ludzi, Rol-lów, Bunnyc i Ralphów. Rozgrywano wtedy liczne partie tenisa i organizowano pikniki. Gdy goście wyjeżdżali pod koniec lata, Julia na nowo pogrążała się w letargu i depresji.

- Jeśli musisz wciąż się wyklócać, Julio, proszę cię, rób to gdzie indziej. - Leonora nie okazywała ani odrobiny zrozumienia dla dramatu córki. To właśnie po którychś z wakacji Julia poznała majora Farrella. Na tańcach. Już wtedy coś jej się w nim nie podobało. Jego oczy były osadzone trochę za blisko siebie, a głos brzmiał odrobinę zbyt donośnie. Ale darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, a ona w tym czasie rozpaczliwie łaknęła towarzystwa. Nawet teraz nie powiedziałyby mu „nie”. A poza tym dobrze jeździł konno i był dowcipnym gawędziarzem. Bawił ją.

Przez pierwszy miesiąc znajomość z Farrellem Julia przezornie trzymała w tajemnicy przed matką, nieświadoma, że Leonora i tak o wszystkim wie, gdyż w takich miejscowościach jak Hexham plotki rozchodzą się szybko.

Major Fred dyskretnie rozpytał sąsiadów o majątek Ste-erów, a upewniwszy się, że Julia powinna odziedziczyć pokaźną sumkę, oświadczył się. Powstała zatem konieczność przedstawienia go Leonorze. Julia dotąd wspominała te chwile z drżeniem. Na jej oczach matka bezwstydnie flirtowała przy herbatce ze swoim przyszłym zięciem. A on odwzajemniał się Leonorze tym samym! Powinnam była już wtedy zorientować się, jakie z niego zero, pomyślała Julia. Ale tak mało wiedziałam wówczas o świecie. I tak bardzo pragnęłam się stąd wyrwać.

Gdy w końcu wizyta dobiegła końca i Farrell wyszedł ukłoniwszy się szarmancko, Leonora oświadczyła lodowatym tonem:

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie, Julio. To ordynarny prostak. Musisz mu powiedzieć, żeby nawet nie myślał o zaręczynach.

- O nie! -Nie?

- Nie i koniec! Nie zrobię tego, mam!

- Więc będę musiała to zrobić za ciebie.

- Nie zrobisz tego!

- Jeśli będziesz się upierała przy tym nedorzecznym związku, me dostaniesz ode mnie ani pensa. Czy wyrażam się dostatecznie jasno? -

Gdy Farrell usłyszy tę nowinę pomyślała szybko, weźmie nogi za pas i problem sam się rozwiąże.

Mimo to Julia nie przekazała Farrellowi ostrzeżenia Leonory. Może dlatego, że w głębi serca nie była pewna jego reakcji. W tydzień później uciekła z majorem. Ukrywała przed nim prawdę jeszcze przez kilka miesięcy po ślubie.

Małżeństwo nie było niezmaconym pasmem przyjemności, jak tego oczekiwała, a seks, o którym wiedziała bardzo niewiele, wydał jej się czymś dziwnym. Nie pojmowała doprawdy, jak Leonora mogła kiedykolwiek znajdować upodobanie w tego rodzaju praktykach. Nagle okazało się że Frederick jest zupełnie splukany, a na dodatek nie ma gdzie mieszkać. Po trwającym tydzień „miesiącu miodowym” w nędznym hotelu wprowadzili się do domu jego siostry Lettice i jej męża. Lettice okazała swojej szwagierce wiele wyrozumiałości. Nauczyła Julię gotować i podsunęła jej myśl, że powinna się nauczyć prowadzić samochód.

Julia wkrótce zaczęła sobie uświadamiać, że poślubiła człowieka, o którym właściwie nic nie wie.

Któregoś wieczoru podzieliła się swymi wątpliwościami z Lettice.

- Kiedy Frederick zamierza wrócić do swojego pułku?

- Wrócić do swojego pułku? - zdziwiła się Lettice. - Ależ kochanie, czyżby ci nie powiedział?...

- O czym miał mi powiedzieć? Gdy próbuję z nim rozmawiać, natychmiast wpada we wściekłość i nie chce odpowiadać na moje pytania.

Lettice musiała jej zatem powiedzieć:

- Frederick już nie jest w armii. Został zwolniony ze służby.

Ponieważ mąż przez cały czas utrzymywał Julię w przekonaniu, że po prostu przebywa na urlopie, szok był dla niej ogromny.

- Więc Fred nie ma żadnych dochodów?

- Nie, dopóki nie znajdzie pracy, będzie bez grosza.

Nic nie wskazywało na to, że Frederick w ogóle szuka jakiegokolwiek zajęcia.

Bojąc się usłyszeć odpowiedź, Julia zapytała szwagierkę:

- Za co go właściwie zwolniono z wojska?

- Nie płacił długów honorowych. - Lettice rozpaczliwie pragnęła, aby ta rozmowa wreszcie się skończyła. - Głównie karcianych, ale także i tych, które zaciągnął, grając na wyścigach.

I w ten sposób, rozpamiętywała Julia, dowiedziałam się, że jestem żoną nałogowego hazardzisty.

Wieczorem, gdy mąż wrócił do domu, oświadczyła:

- Wiem wszystko. To znaczy, że zostałeś zwolniony ze służby. Od Lettice. Dlaczego sam mi o tym nie powiedziałeś, Fredericku? I co my teraz zrobimy?

Farrell odparł szorstko:

- Wolałbym, żeby Lettice zajmowała się własnymi sprawami. - Widząc wzburzenie Julii, dodał uspokajająco: - Nie martw się, staruszeko.

Poprosimy twoją mamuszkę, żeby nie kazała ci czekać na spadek. Jesteś jej córką, więc ci nie odmówi.

No cóż, skoro tak uważał, to doprawdy wcale nie znał Leonory. Julia odparła:

- Wydziedziczyła mnie. Nie dostanę od niej żadnych pieniędzy.

Wyraz twarzy męża powiedział jej wszystko. Frederick zawsze sądził, że Leonora będzie ich wspierała finansowo. Krótko mówiąc, ożenił się dla pieniędzy, a teraz okazywało się że nie dostanie nic.

Wstał gwałtownie i bez słowa wyszedł z pokoju. Nazajutrz udał się z wizytą do Leonory. Co zaszło podczas ich rozmowy, tego Julia nigdy się nie dowiedziała, ale więcej już nie zobaczyła Fredericka. Po prostu odszedł w siną dal, nie powiedziawszy nikomu, nawet Lettice, ani słowa, dokąd się wybiera.

Ilekcio Julia, która formalnie wciąż była żoną Farrella wracała myślą do tamtych wydarzeń, zdumiewała się własną naiwnością. Musiała przyznać ze smutkiem, że zmarnowała w tym domu prawie całe życie. Ale, myślała, chociaż jest późno, nie jest jeszcze za późno. Gdy tylko matka umrze, zacznę podróżować, zobaczę świat, nadrobię stracony czas. Może zabiorę ze sobą Meredith. Chociaż Meredith musi opiekować się swoim starym ojcem.

Z pokoju Leonory rozległ się dzwonek.

Żadna z siostrzycy nie ruszyła.

- Twoja kolej - odezwały się chórem.

- Och, idź ty, Claro - powiedziała Cassandra, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty. - Pewnie zapomniałaś o soli

Nawyki posłuszeństwa były w córkach Leonory głęboko zakorzenione.

Clara wstała i skierowała się ku drzwiom. Z góry rozległo się stukanie.

- Lepiej się pośpiesz. Już wali laską w podłogę.

- Ciekawe, czy rzeczywiście chodzi o sól - powiedziała gniewnie Clara.

- Może na wszelki wypadek weź ze sobą solniczkę.

- Świetny pomysł!

Zacząła wchodzić po schodach na górę.

- Im matka jest starsza, tym bardziej robi się nie do wytrzymania. - Julia nastawiła czajnik.

- To prawda, matka jest po prostu potworem. - Cassandra wsypała do filiżanki trzy łyżeczki cukru.

- Tak, pochodzi chyba w prostej linii od Messaliny - zgodziła się Julia. -
Co zrobisz, kiedy umrze? - Często prowadziły podobne rozmowy,
zazwyczaj wtedy, gdy Leonora zachowywała się jeszcze nieznośniej niż
zwykle.

- Chyba kupię mały domek, może będę go z kimś dzieliła - powiedziała
Cassandra niejasno. Przypuszczalnie miała na myśli Deirdre Ricketts.
Zawsze były bliskimi przyjaciółkami.

- Myślałaś kiedyś, aby zrobić to, zanim matka umrze?

- Raczej nie. Przede wszystkim nie stać mnie na to. Oczywiście, tak jak
ty, chciałabym się wyrwać z tego domu, ale w przeciwieństwie do ciebie,
podoba mi się życie na wsi. Wszystko, czego pragnę, mam tutaj.
Naturalnie z wyjątkiem niezależności finansowej, ale moja część spadku
w końcu zapewni mi i to.

Prawdziwa zabawa w czekanie.

- Myślisz, że będzie tego wystarczająco dużo?

- Nie mam pojęcia. Matka jest taka skryta. Gdy chodzi o pieniądze,
zachowuje się jak wiewiórka chowająca swoje orzeszki. Ale mam
nadzieję, że coś nam zostawi.

- Nie rozumiem, dlaczego nie da nam teraz przynajmniej części
pieniędzy.

- Marne szanse - orzekła Cassandra. - Matka uwielbia szantaż. To
jednoosobowa mafia. Gdybyśmy miały pieniądze, straciłaby nad nami
kontrolę. A w istniejącej sytuacji jesteśmy skazane na kaprysy Leonory.

- Cóż, tyrania pieniądza.

Wróciła Clara, niosąc tacę z resztkami śniadania.

- Chodziło o masło. Miałam nie podawać masła. Strasznie się wściekła.
Wszystko jest zimne. Muszę zacząć do początku.

Julia zapytała chyba po raz setny:

- Claro, dlaczego nie zrobisz sobie listy? Mogłabyś sobie na niej
odfajkowały poszczególne pozycje przed zaniemienieniem tacy na górę.

- Tak, powinnam... - odparła Clara ze skrucą. - Nie wybierasz się
przypadkiem dzisiaj do Hexham?

- Owszem, wybieram się, ale dopiero po południu. Dlaczego pytasz? Chcesz, żebym cię gdzieś podrzuciła?

Clara zarumieniła się.

- Zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mnie zawieźć na farmę Murgatroyda... To wszystko.

Romans Clary i Seta był jeszcze jedną sprawą, o której -w tym domu pełnym sekretów - mówiono tylko ukradkiem Julia była pewna, że gdyby Leonora się o wszystkim dowiedziała, miałyby - kosztem Clary - prawdziwe używanie. Zadręczyłyby ją swoimi złośliwościami. Seth, w przeciwieństwie do farmerów, których niegdyś spotykały na tańcach, był człowiekiem naprawdę znającym się na gospodarstwie. Wszystkiego doglądał osobiście, zatrudniał do pomocy tylko jednego mężczyznę i chłopca. Nie przywiązywał wielkiej wagi do swojego otoczenia więc - prawdopodobnie dlatego, że był kawalerem i nie miał nikogo, kto by się o niego troszczył - w jego domu nie panował przesadny porządek. Choć, jak głosiła plotka, zatrudnił ostatnio, w charakterze służącej, dziewczynę z pobliskiej wioski.

- Nie ma sprawy - powiedziała Julia. - Ale jak dostaniesz się z powrotem? Clara za nic w świecie nie chciała, aby siostra zobaczyła wnętrze domostwa Murgatroyda.

- Będziesz mogła wstąpić po mnie w drodze do domu? Zaczekaj przy ścieżce.

- Dobrze, jeśli uważasz, że tyle czasu ci wystarczy... - Chociaż, pomyślała, na pewno wystarczy. Seth z pewnością nie jest obdarzonym wybujałą fantazją kochankiem, a to znaczy że na seks potrzeba mu kilku minut, a nie kilku godzin.

Clara skończyła przygotowywać po raz drugi śniadanie dla Leonory. Z sypialni znów dał się słyszeć dźwięk dzwonka. Spoglądając w ślad za siostrą, Julia powiedziała:

- Miejmy nadzieję, że tym razem o niczym nie zapomniła. Matka mogłaby znów ją odesłać na dół. Bardzo to lubi.

- Wiem o tym - przytaknęła Cassandra.

- A co z tobą? Masz jakieś plany na popołudnie? - Julia od dawna przywykła do roli rodzinnego szofera.

Cassandra zastanawiała się przez chwilę. Wyobraziła sobie pannę Ricketts układającą swoimi długimi, smukłymi palcami Virginii Woolf kwiaty w wazonach, które ona, Cassandra, z oddaniem napełnia wodą.

- Cóż, miałyśmy iść do kościoła jutro, ale skoro i tak będziesz tamtędy przejeżdżać... Właściwie to dobry pomysł. Zaraz zadzwonię do Deirdre.

Morgan postanowił spalić za sobą mosty, zatelefonować do Caroline i powiadomić ją o swojej decyzji poślubienia Chloe. Za pierwszym razem podniósł słuchawkę Patrick, a może Larch. Morgan rozłączył się.

Nazajutrz spróbował zadzwonić znowu i tym razem odebrała telefon Caro.

- Postanowiłem się ożenić - oznajmił sucho Morgan. Caroline była zaskoczona własną reakcją na tę nowinę.

Uświadomiła sobie, jak bardzo dotąd polegała na niezawodnej obecności Morgana. Z upływem lat zaczęła wierzyć, że on zawsze będzie obok niej. W duchu piastowała nierozsądną nadzieję, iż pewnego pięknego dnia ucieknie razem z Morganem, zostawiając za sobą swoje nieudane małżeństwo. Teraz poczuła się nagle pozbawiona wszelkiego oparcia.

Powiedziała jednak spokojnie:

- Moje gratulacje. - Cóż, gdyby jeszcze raz poprosił ją, aby z nim uciekła, naprawdę by to zrobiła.

Ale Morgan nie poprosił.

- Kim jest twoja wybranka?

- Nazywa się Chloe Post. Jej rodzina zarządza wielkim-koncernem prasowym w Ameryce.

Rzeczywiście, wyglądało to obiecująco. Morganowi przyda się trochę pieniędzy. Ale w końcu kto ich nie potrzebuje?

- Powiedziałeś już o tym swojej babce? - Nigdy nie przyszłoby Caro do głowy, aby zapytać, czy powiedział o tym swo-

jej matce. Nie ulegało wątpliwości, że jedyną osobą, która się hczy w Armitage Lodge, jest Leonora Steer.

- Napisałem do niej. Mam zamiar wkrótce zabrać Chloe do Northumberland i przedstawić ją rodzinie.

Zapadła pełna napięcia cisza. Przerwał ją Morgan

- Coz, to właściwie wszystko. Chciałem, abys była iedna z pierwszych osób, które się o tym dowiedzą. Mam nadzieję ze ty i Patrick przyjdziecie na ślub.

- Oczywiście że przyjdziemy. - Caro poczuła, że za chwile zemdleje. – Ślub odbędzie sie w Londynie czy w Northumberland? - Usiadła.

- W Londynie... Słuchaj, muszę już kończyć. Bez wątpienia przedtem się jeszcze zobaczymy.

Nie była tego taka pewna.

- Tak, na pewno się zobaczymy... Do widzenia, Morganie

- Do widzenia, Caroline.

Już nie „Caro”, lecz „Caroline”. Oto nowa, oficjalna forma icn przyjaźni. Caro ukryła twarz w poduszce i zaszlochała.

Chloe zadzwoniła najpierw do matki, a potem do ojca Jak zwykle, Veronica Post dokądś się śpieszyła. Matka Chloe nie zajmowała się niczym z wyjątkiem zaspokajania własnych zachcianek, toteż trudno było pojąć przyczynę jej ciągłego zabiegania. Na wiadomość o planowanym ślubie córki zareagowała słowami:

- Naprawdę? A co masz zamiar włożyć na tę okazję? Każda inna osoba zapytałaby najpierw, z kim jestem zaręczona, pomyślała Chloe.

- Nie jesteś ciekawa, za kogo chcę wyjść za mąż? - spytała

- A czy jego nazwisko coś mi powie?

- Nie, chyba nie.

- Więc nie musisz mi mówić.

Jej ostry, świdrujący głos słyhać było tak wyraźnie, jakby znajdowała się w tej chwili w salonie Chloe, a nie setki mil stąd, za Oceanem Atlantyckim.

Na szczęście jest tam, przemknęło przez głowę córki. Veronica zapytała:

- A gdzie weźmiecie ślub?

Wydawało się, że jest ciekawa wszystkiego z wyjątkiem samego Morgana. Zawsze zresztą uważała mężczyznę za środek do celu, a nie za cel sam w sobie.

Zignorowawszy to pytanie, Chloe ciągnęła dalej:

- Czy masz przy sobie pióro, mamó? Nazywa się Morgan Steer. -

Przeliterowała jego imię i nazwisko.

Matka pozwoliła jej dokończyć, po czym powiedziała:

- Nie mam pod ręką pióra.

- Jego rodzina ma dom w Northumberland... - mówiła Chloe.

- W żadnym wypadku nie możecie brać ślubu w Northumberland - przerwała jej stanowczo Veronica. - Nikt nie przyjedzie. Oczywiście, z wyjątkiem tych, którzy mają tego pecha, że już tam mieszkają.

- ...a także mieszkanie w Knightsbridge...

- ...musimy sporządzić listę gości...

To było jak dialog dwóch głuchych osób. Zwróciwszy uwagę na owo groźne „musimy”, Chloe oświadczyła:

- Proszę, nie zwracaj sobie tym głowy, mamó. Sama się wszystkim zajmę.

- Bardzo dobrze, ale nie rozsyłaj zaproszeń, dopóki nie rzucę na nie okiem. Jestem matką panny młodej, więc to, kogo zaprosisz, dotyczy także i mnie. Czy mamy już ustaloną dokładną datę?

Chloe odnosiła wrażenie, że nie chodzi o jej własny ślub, ale o ślub matki.

- Prawdopodobnie ślub odbędzie się w czerwcu - poinformowała.

- Czerwiec to doskonały miesiąc na zawieranie małżeństw. Mój własny ślub także odbył się w czerwcu.

No cóż, zważywszy, że związek jej rodziców okazał się całkowitą katastrofą, trudno było sądzić, by przemawiało to na korzyść czerwca.

- Albo w lipcu.
- Lepiej byłoby w sierpniu. Zawiadomiłaś już swojego ojca? Potrzebuje czasu, aby oswoić się z myślą o tym, ile go to będzie kosztowało. - Veronica powiedziała te słowa z nutą satysfakcji w głosie.
- Nie, jeszcze nie. Mam zamiar do niego zadzwonić, gdy skończymy rozmowę.

Spojrząwszy na zegarek, Veronica wykrzyknęła:

- Dobry Boże, któraż to godzina?! Muszę pędzić. Mam zamówioną wizytę u fryzjera. Jak mówiłaś, że on się nazywa?
- Kto? - Chloe nagle poczuła się kompletnie ogłupiała.
- Twój narzeczony, oczywiście. Odpowiedziała z westchnieniem:
- Ach, on. Masz przy sobie coś do pisania, mam?
- Tak, mam.

Veronica prawdopodobnie przez cały czas trzymała pióro w ręku.

- Nazywa się Morgan Steer. - Chloe jeszcze raz przeliterowała imię i nazwisko: - M-O-R-G-A-N S-T-E-E-R.
- Zapisałam - oznajmiła Veronica, postanawiając przeprowadzić dyskretny wywiad na temat rodowodu Steerów. - Taka jestem przejęta, kochanie. Taka przejęta. No, muszę lecieć. Do zobaczenia!
- Do widzenia, mam.

Trzask słuchawki. Veroniki już nie było.

Po tej wyczerpującej wymianie zdań Chloe poczuła, że zanim wda się w przeprawę z ojcem, musi przyrzadzić sobie drinka. Cóż za ironia losu, myślała, że matka, która jest Angielką do szpiku kości, mieszka w Ameryce! Co, u licha, skłoniło rodziców do małżeństwa, skoro jedynym sposobem, aby osiągnąć jakie takie porozumienie, było zamieszkanie po przeciwnych stronach oceanu? Chloe nawet nie próbowała zgadywać. Wykręciła numer ojca. Ku jej uldze, słuchawkę podniósł on sam, a nie jego młodziutka małżonka.

- Cześć, tato.

- Chloe, kochanie! Co u ciebie słysząc?

W tle słyszała coś jakby dźwięk telewizora. Sądziła, że ojciec go wyłączy, lecz w końcu doszła do wniosku, że nie ma zamiaru tego zrobić. Zdawała sobie sprawę, że zaledwie czwartą część uwagi poświęca temu, co ona mówi, a pozostałe trzy czwarte koncentruje na oglądaniu jakiegoś programu w telewizji. Uznawszy, że żadna suma nie może wynagrodzić jej tego, iż jest bez przerwy ignorowana, Chloe oznajmiła:

- Wychodzę za mąż.

Usłyszała ostry trzask. Brzęczenie telewizora gwałtownie ustało. Nie było wątpliwości - ojciec zdecydował się poświęcić jej teraz całe sto procent uwagi.

- Czy matka już o tym wie?

- Tak. Przed chwilą do niej dzwoniłam.

- Będziemy się musieli postarać, aby twój majątek został odpowiednio zabezpieczony. Jesteś bardzo bogatą kobietą, Chloe.

- „Odpowiednio zabezpieczony”? Przed osobą, z którą zamierzała spędzić resztę życia?

- Tato, nawet nie wiesz, kto to jest!

Chociaż żadne z rodziców nie wykazywało zainteresowania człowiekiem, którego miała poślubić, oboje usiłowali wtrącać się do spraw drugorzędnych, które z powodzeniem potrafiła załatwić sama.

- Dobrze, nic więcej nie powiem. Więc kto to taki?

- Nazywa się Morgan Steer. Sądziłam, że może zechcesz go poznać.

Usłyszała kolejny trzask. W tle znów pojawił się szum telewizora.

- Dobrze. Powiedz Morganowi, że chciałbym go poznać. Zadzwoń jutro rano do mojej sekretarki, Chloe, i ustal z nią, kiedy moglibyśmy zjeść razem lunch.

Chloe obiecała, że to zrobi, myśląc jednocześnie, że nie zna drugiej osoby, która musiałaby korzystać z pośrednictwa sekretarki, aby zobaczyć się z ojcem.

W zaciszu swej sypialni Leonora jeszcze raz przeczytała list Morgana. Ślub stwarzał perspektywę posiadania wnuków, toteż Leonora była rozradowana i pełna animuszu. Będzie musiała zmienić testament. Oczywiście nie pozwoli, aby córki dowiedziały się, jakie zmiany zamierza wprowadzić do swej ostatniej woli. Sam fakt, że ich dokonuje, wywoła wśród nich panikę. Będzie zupełnie tak, jakby wpuściła kota do gołębnika.

Podeszła do biurka i z górnej szuflady wyjęła pokaźnej grubości zawiniątko, przewiązane ciemnozieloną wstążką. Rozpakowała je i rozłożyła przed sobą jego zawartość: stanowiło ją osiem testamentów. W jednym z nich wydziedziczała całą tę bandę, w drugim - tylko Julię (ten spisała, gdy na horyzoncie pojawił się Fred), w dwóch innych - zmieniała dyspozycje dotyczące podziału biżuterii (jeden sporządziła w dniu, gdy Clara upuściła butelkę ginu, drugi po zajadłej kłótni z Cassandra). Pozostałe testamenty zostały spisane z nudów lub pod wpływem brzydkiej pogody; złośliwie odbierała w nich córkom to i owo, głównie dla zabicia czasu. A teraz zabawi się, sporządzając jeszcze jedną zrećźnie sformułowaną ostatnią wolę. Ale co powinna zrobić z dotychczasowymi ośmioma?

Postanowiła je spalić. Ustawiła papiery na ruszcie kominka tak, że tworzyły coś w rodzaju indiańskiego tipi, po czym zapaliła zapałkę i przytknęła ją do nich. Jasny, żółty płomień zaczął nieubłaganie pięć się w górę i lizać brzegi grubych kart papieru. Potem, jakby nabierając śmiałości, ogarnął całą konstrukcję, która ku błógiemu zadowoleniu Leonory, głośno zatrzeszczała. Gdy Leonora pochyliła się, niczym kapłanka, nad tym siarkowożółtym ogniem, światło padające na jej władczą, wąską twarz podkreśliło głębokie zmarszczki, świadczące o sędziwym wieku.

Owo udane całopalenie podsunęło Leonorze pewien pomysł. Podeszła do biurka i z przegródki na listy wyjęła około pięćdziesięciu nie otwartych jeszcze zawiadomień z banku. Wrzuciła je wszystkie do kominka. Natychmiast strzeliły płomieniem, po czym w okamgnieniu zamieniły się w garść popiołu.

Obrzydliwa tandeta - mruknęła Leonora z niechęcią. Ujęła w rękę pogrzebacz. Przez chwilę rozżarzony popiół melancholijnie unosił się w powietrzu, po czym wolno opadł na podłogę.

Na biurku pozostał jeden testament, dziewiąty, najnowszy, który również zamierzała zniszczyć, gdy tylko sformułuje następny i spíše go w obecności świadków.

Leonora zerknęła na zegarek. Zbliżała się pora obiadu. Zeszła na dół. Znalazła córki w salonie.

- Gin z tonikiem, Claro - rozkazała. - Z cytryną, ale bez lodu. Lód rozrzedza gin. Może ktoś chciałby się dowiedzieć, co robiłam?

- Palilaś swoje stare testamenty - odezwała się Cassandra. Leonora była dotkliwie urażona, że Cassandra ubiegła ją swoją odpowiedzią. Postanowiła w duchu, że odbierze jej perły i zapisze je Julii.

- Skąd o tym wiesz? - Clara aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- To całkiem proste. Poszłam do pokoju matki, aby powiedzieć, że za chwilę podamy obiad. Nie było jej u siebie, a nie mogłam nie zauważyć zapalek, zielonej wstążki na podłodze obok kominka i popiołu w palenisku.

- Wolałabym, aby żadna z was nie wchodziła do mojego pokoju, gdy mnie tam nie ma - rzekła lodowato Leonora.

- Więc kiedy mamy go sprzątać i ścielić twoje łóżko?

Zirytowana szorstką uwagą Julii, Leonora postanowiła zapisać perły Clarze, choć na jej grubej szyi i tak nie będą się dobrze prezentowały.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli, Julio, więc proszę, nie używaj wobec mnie takiego tonu. Jutro poproszę cię, abyś zawiozła mnie do Hexham, do mojego adwokata. W związku z listem Morgana mam zamiar zmienić swoją ostatnią wolę.

Zapadła cisza. Wszystkie trzy wpatrywały się w matkę wyczekująco.

Leonora jednak, kierując się w stronę jadalni, powiedziała tylko:

- Może zjemy wreszcie obiad?

Clara siedziała w kuchni, w domu Murgatroyda. Naprzeciw niej siedział gospodarz, ubrany w koszulę bez kołnierzyka, kamizelkę oraz spodnie na szelkach, należących niegdyś do jego ojca. Seth był niewysokim, krępy męczyzną, nawykłym do ciężkiej fizycznej pracy, o pięć lat młodszym od Clary. Miał jasne, lisie oczy i strzechę kręconych włosów. Jego smagła cera i wzorzysta chusta na szyi nadawały mu wygląd Cygana. Był całkiem przystojny.

Dzisiaj w kuchni panował nieco większy porządek niż zwykle. Na przykład garnek na mleko, którego Seth nigdy nie mył, stał na suszarce. Wyłożona kamiennymi płytkami podłoga wyglądała na zamiecioną. Na sznurku przed domem wisiała wyprana ścierka do kurzu. Choć Clara nie cierpiała zajmować się gospodarstwem, poczuła ukłucie zazdrości.

- Czy ktoś pomaga ci w prowadzeniu domu? - spytała obojętnie.

- Tak - odparł Seth, który był raczej małomówny. Dalej nabijał swoją fajkę.

- O! Kto?

- Martha.

- Ach, tak... - powiedziała Clara drżącym głosem. Nie musiała pytać, kim jest Martha. Martha była niechlujną dziewczyną z sąsiedniej wioski i Clary bynajmniej nie zachwycało, że rządzi się w domu Murgatroyda jak u siebie. Niech pierze swoje ścierki gdzie indziej, pomyślała ze złością.

- Dlaczego nie poprosiłeś mnie, abym ci trochę pomogła? Nie miałabym nic przeciwko temu - powiedziała.

- Nie ma potrzeby. Teraz ona się tym zajmuje - padła odpowiedź. -
Przychodzi we wtorki i czwartki.

- Ach, tak? Aż dwa razy w tygodniu?

Clara pamiętała, że Seth przez długie lata w ogóle nie zwracał sobie głowy sprzątaniami. Ta radykalna zmiana przyzwyczajzeń świadczyła o tym, że kryje się za nią coś więcej, niż na pierwszy rzut oka się zdaje.

- Mam wrażenie, że gdyby sprzątnęła raz w tygodniu, wystarczyłoby to w zupełności. - Zaczęła nerwowo mieszać herbatę.

- Ja będę o tym decydował - oświadczył Seth.

Clara poczuła mściwą satysfakcję na myśl, że Martha będzie musiała szorować stopy brudnych naczyń, których Seth nie raczy nawet opłukać. Oczyma duszy widziała już pochyloną nad kamiennym zlewem głowę dziewczyny i jej opadające na twarz, rozjaśnione włosy, gdy będzie usiłowała domyc przypalone rondelki po owsiance. Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że Martha ma dwadzieścia sześć lat i jędrne, zgrabne ciało, jak to zwykle bywa w tym wieku. Clara zastanawiała się, czy aby nie dojdzie kiedyś do sytuacji, w której będzie zmuszona walczyć o swojego mężczyznę.

Spojrzała na kochanka, który wciąż siedział na krześle, flegmatycznie pykając fajkę. Najwyraźniej zapomniiał o tym, że dziś jeszcze się nie kochali (co było głównym celem wizyty Gary) i że Julia wkrótce przyjedzie, żeby ją zabrać do domu. Problem polega na tym, że Seth to dla mnie jedyna nadzieja na normalne życie po śmierci matki, pomyślała.

Chcąc za wszelką cenę zwrócić na siebie jego uwagę, wstała od stołu.

- Naprawdę muszę już iść. Julia zaraz tu będzie, żeby odwieźć mnie do domu.

Seth wyjął z kieszonki kamizelki zegarek swego ojca, rzucił okiem, która godzina, i wytrząsnął popiół z fajki.

- Jeszcze nie tak zaraz, głuptasie. Chodź ze mną.

Sypialnia miała niski sufit, a jedną ścianę zajmowała ogromna mahoniowa szafa. Tapeta w czerwone róże pamiętała jeszcze czasy matki Setha. Ale przynajmniej było tu elektryczne oświetlenie. W pokoju na pierwszym piętrze nie było światła i goście Setha zmuszeni byli kłaść się spać przy świetle świecy. W sypialni stało dwuosobowe mosiężne łóżko. Clara stwierdziła z niepokojem, że pościel została uprana. Nie było jednak czasu, aby się nad tym teraz zastanawiać. Seth zdjął ubranie, jakby rozbierał się po dniu ciężkiej pracy. Miał potężną erekcję.

Clara, której staroświecka bielizna przypominała grubością raczej materiał obciowy, również zaczęła się rozbierać. Zabrało jej to o wiele więcej czasu niż Sethowi, zwłaszcza gdy przyszło do zdejmowania pasa wyszczuplającego. W końcu podeszła naga do łóżka, na którym leżał Seth. Zaskoczył ją tylko jeden jedyny raz - gdy kochali się po raz pierwszy. Później nigdy już nie było żadnych odstępstw od pierwotnego rytuału.

Clara położyła się obok niego. Seth pocałował ją, a potem, bez próby jakichkolwiek dalszych pieszczot, zwałił się na kochankę i wszedł w nią silnym pchnięciem. Jego rytmiczne ruchy podnieciły ją i rozczarowały jednocześnie. Gdy skończył, po prostu się z niej zsunął i momentalnie zapadł w sen. Clara leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Jak zwykle, nie była pewna, czy seks sprawił jej przyjemność, czy nie.

Ponieważ nie chciała, aby Seth - jeśli się za chwilę obudzi - widział, jak wciska się w gumowany pas, wstała i z ubraniem w rękę przekradła się pełnym przeciągów korytarzem do łazienki. Ubrała się i podreptała znużona do wylotu ścieżki, gdzie Julia siedziała w samochodzie, czytając książkę.

Seth poczekał, aż dobiegnie go trzask zamykających się za Clarą drzwi, po czym otworzył oczy. Miał ochotę na drinka, więc wstał i przyniósł sobie z kuchni Newcastle Brown Ale, po czym znów położył się do łóżka. Leżał na wznak i sączył pi-

wo. Nie myślał wcale o Clarze, lecz o Marcie. Może dlatego, że była w jego życiu kimś nowym, pożądał Marthy w sposób, w jaki nie pożądał Clary. Z drugiej jednak strony to Clara, a nie Martha, miała odziedziczyć ogromny majątek, a Seth myślał o powiększeniu farmy. Przezornie podjął decyzję, aby nie oświadczać się Clarze, dopóki nie będzie miała pieniędzy w ręku. Co chyba nastąpi już wkrótce, zważywszy, że stara pani Steer jest bardzo wiekowa.

Lecz skośnooka Martha wciąż stanowiła dla niego pokusę. Coraz częściej, gdy obserwował, jak paląc papierosa, krząta się cicho po domu, zaczynał się zastanawiać, czym mógłby być seks z takim stworzeniem. Martha nosiła krótkie spódniczki i bluzki, które miały odpięty o jeden guziczek za dużo. Choć była szczupła, miała duże, pełne piersi, które niemal rozsadzały ubranie. Nie odważył się jeszcze tknąć jej choćby palcem. Pewien chłód dziewczyny i jej małomówność, a właściwie milkliwość, charakterystyczna dla osoby wychowanej na wsi, tak przypominająca jego własne usposobienie, uczyniła ją w dziwny sposób nieosiągalną, w przeciwieństwie do Clary, której płocha gadanina i pragnienie przypodobania się sprawiały, że była stosunkowo łatwą zdobyczą.

Nazajutrz wypadał wtorek, jeden z dni, w które przychodziła Martha. Seth zawsze płacił jej gotówką, więc sprawdził, czy w puszcze po herbacie, gdzie trzymał pieniądze, jest ich dość. Może jutro po raz pierwszy dotknie dziewczyny.

Julia odwiozła Clarę do Armitage Lodge, a potem pojechała odwiedzić Meredith Barstow. Chociaż oznaczało to powtórny jazdę do Hexham, była nawet zadowolona. Ostatnio coraz częściej dusiła się we własnym domu.

Meredith mieszkała z ojcem w małym, przytulnym domku w pobliżu Tyne Green. Dom, który zajmowała za życia męża, już dawno został sprzedany. Meredith utrzymywała, że był dla niej zbyt duży, choć w rzeczywistości nie miała dość pieniędzy na jego utrzymanie.

Wszystko wokół zieleniło się. Przyroda zwracała złagodniałą twarz w kierunku słońca, zapomniawszy już o surowości śnieżnych northumberlandzkich zim. Julia pamiętała, że któregoś mroźnego grudnia było tak zimno, iż kamienna butla Leonory na gorącą wodę pękła i roztrzaskała się w drobny mak. Julia wjechała do miasta. Po chwili znalazła się na placu targowym. Gdy mijała opactwo, zegar na wieży wybijał piątą. Pod wpływem impulsu zatrzymała się przed bramą trawiastego terenu do gry w kręgle i otworzyła okno. Dzień był bezwietrzny. Wdychała woń mchu i starych kamieni. Takiego zapachu nie można było spotkać nigdzie indziej. Chcę się stąd wydostać, pomyślała. Muszę się stąd wydostać, zanim moje życie dobiegnie kresu.

Ponownie włączyła silnik i, rozpryskując kamyki na drodze, ruszyła w kierunku Tyne Green.

Znalazła Meredith w salonie. Generała nie było widać.

- Ojciec właśnie ucina sobie drzemkę - oświadczyła Meredith - i, mówiąc między nami, to dla mnie prawdziwa ulga.

Naprawdę trudno z nim ostatnio wytrzymać. Zaczyna coś robić, potem o tym zapomina, a gdy zwracam mu uwagę, gdera, zrzedzi i twierdzi, że to wszystko to tylko wytwór mojej wyobraźni.

- Leonora nigdy o niczym nie zapomina - odparła Julia. -Chciałabym, żeby jej się to czasem zdarzało. Ma doskonałą pamięć, zwłaszcza do szczegółów.

- Nie martw się - Meredith czuła, że jej słowa zabrzmiały brutalnie - ale to nie może już długo potrwać.

- Czasem mam wrażenie, że ona mnie przeżyje.

- Ojciec zawsze mówił ciepło o twojej mamie.

- Matka nie wie, co to znaczy „mówić o kimś ciepło”. Takich słów nie ma w jej słowniku. Ale, na litość boską, nie rozmawiajmy o niej. Przyszłam ci powiedzieć, że Morgan się żeni.

- Wiem - odparła Meredith. - Caro mi o tym pisała.

- Skoro tak, to pewnie wiesz więcej niż ja. Matka jak zwykle szczegóły zachowała dla siebie, a nas poinformowała tyl-

ko o samym fakcie. No i masz, znowu zaczynamy mówić o niej. Julii wydawało się czasem, że każdy, najbliższy nawet aspekt jej życia wiąże się z osobą potężnej rodzicielki.

- Jak Caro to przyjęła?

- Trudno powiedzieć - odrzekła Meredith ostrożnie. W rzeczywistości Caroline była przygnębiona i bliska łez. Meredith miała osobiste powody, aby życzyć sobie małżeństwa Morgana. - Napisała tylko, że przyszła panna młoda jest dziedziczką koncernu prasowego.

- Tak, to jedyny okruch informacji, którym matka była łaskawa się podzielić. Jest chyba z rodziny Postów.

- Kiedy przyjeżdżają do Northumberland?

- Nie znam dokładnej daty, ale chyba wkrótce. To znaczy, że na podwieczorek będzie serwowany „przysmak dżentelmena” zamiast pasty mięsnej Shippama.

Wyglądało na to, że przyjazd Morgana i jego narzeczonej zbiegnie się w czasie z wizytą Caro i Minervy w Tyne Green. Meredith postanowiła, że spróbuje przesunąć wizytę córki na przyszły tydzień. Chociaż nie wiadomo, czy będzie to możliwe, gdyż zbliża się koniec ferii zimowych. Fatalnie się składa! Meredith zdawała sobie sprawę, jak silnie Caro pociąga Morgana, i wiedziała, że jeśli Morgan spotka się z nią w Northumberland, niewykluczone, że odstąpi od zamiaru poślubienia Chloe. Do pokoju wszedł generał.

- Julia! Co za niespodzianka. Meredith nie powiedziała mi, że się ciebie spodziewa.

- Owszem, mówiłam ci, ojcze. Była to ostatnia rzecz, jaką zrobiłam, zanim poszedłeś na górę odpocząć. - Meredith wydawała się niezwykle rozdrażniona. Julia rzuciła jej przenikliwe spojrzenie. Rzeczywiście generał musi działać jej na nerwy.

- Nie, nie mówiłaś mi, Meredith! Pamiętałbym o tym. Chyba sama zaczynasz tracić pamięć. Pewnie się starzejesz. Może powinnaś odwiedzić lekarza? Ale nie mówmy już o tym.

Zwrócił się od Julii:

- Jak się miewa twoja matka? To wspaniała kobieta, zawsze to powtarzam. Wspaniała kobieta.

Julia, w obawie, że generał za chwilę pograży się we wspomnieniach, wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Och, jak zwykle w doskonałej formie, zna pan przecież matkę. - Gdy wypowiedziała tę kwestię, przyszło jej do głowy, że słowa „pełna jadu” byłyby lepszym określeniem. -Niestety, muszę już iść. Powinnam jeszcze podjechać po Cassandrę do kościoła w wiosce.

Pożegnała się i ruszyła w drogę powrotną: Co za ironia losu, że Meredith, chociaż skończyła uniwersytet, a potem zajmowała szereg odpowiedzialnych stanowisk, skończyła tak samo jak ja - w domu, gotowa na każde zawołanie wymagającego rodzica, rozważała. Trzeba jednak przyznać, że Meredith więcej wzięła z życia. Kiedy Julia się nad tym zastanawiała, nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jej własna egzystencja jest pusta i jałowa.

Gdy przyjechała na miejsce, światła w małym kościółku były już zapalone. Cassandra i Deirdre Ricketts podziwiała swoją kompozycję kwiatową. Czy tylko jej się zdawało, czy szybko odsunęły się od siebie, gdy weszła? Julia nigdy nie potrafiła nazwać tego, co je właściwie łączy. Może nieznacznie rozmazana szminka Deirdre stanowiła pewną wskazówkę? Cóż, cokolwiek to jest, życzę im szczęścia, pomyślała Julia. Miała nadzieję, że Leonora nigdy się o tym nie dowie.

Leonora wiedziała oczywiście o związku Cassandry z panną Ricketts. Wiedziała też o Clarze i Secie, lecz uważała, że na razie nie ma potrzeby się tym chwalić. Dzięki temu miała w ręku potężną broń, której w razie konieczności mogła użyć.

Gdyby była młodsza, z pewnością szybciej zrobiłaby niszczycielski użytek z tych informacji. Ostatnimi czasy jednak widziała przeszłość z większą jasnością niż teraźniejszość. Pa-

miętała dawne wendety, bale, na których bywała, suknie, które nosiła, i kochanków, których niegdyś miała, zupełnie jakby to było wczoraj. Jestem ostatnio taka znudzona, myślała. Znudzona, znudzona, znudzona. Oto co znaczy żywy umysł w ciele starej kobiety. Wciąż czuję się jak dwudziestopięciolatka, nie jak dzie-więćdziesięciolatka, ach, nie, osiemdziesięciopięciolatka, poprawiła się z przyzwyczajenia. Najlepszym rokiem jej życia był rok 1930. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Poznała wówczas księcia Walii i uczestniczyła w wielu nieprzyzwoitych przyjęciach. Bawiła się wspaniale, chociaż kochanka księcia zachowywała się porywczo, a Maxwell był najbardziej zadowolony, gdy mógł przycząić się gdzieś z tyłu i tak doczekać końca przyjęcia. Sam książę również nie wywołał jej specjalnego zachwyty. Okazał się wyjątkowo paskudnym, drażliwym i nadętym indywiduum. Ale przecież liczyła się jego pozycja, a nie osoba. Leonora wiedziała o tym i starała się jak najlepiej to wykorzystać. A potem pojawiła się Wallis Simpson w towarzystwie zadufanego w sobie małżonka. Wallis niezwykle pasowała do całej tej kompanii. Leonora prychnęła pogardliwie na to wspomnienie. Amerykańska parweniuszka! Chociaż - parweniuszka czy nie - zwyciężyła, jeśli oczywiście można to nazwać zwycięstwem - pomyślała Leonora z odcieniem satysfakcji. Wstała i podeszła do okna. Czasami miała wrażenie, że jej życie trwa odrobinę za długo. Była bardzo podatna na zmiany pór roku. Wiosna sprawiała, że stawała się kokieterijna i agresywna, latem - ociężała i skłonna do intryg, jesienią -energiczna i wojownicza, klaustrofobiczna, surowa, northum-berlandzka zima zaś czyniła z niej istotę krwiożerczą i nietolerancyjną. Może spodziewany przyjazd panny Chloe Post przyniesie pożądaną odmianę. Leonora potrzebowała czegoś nowego, jakiejś podniety, która ożywiłaby atmosferę. Miejmy nadzieję, że narzeczona Morgana jest jedną z tych niebezpiecznych współczesnych kobiet. To wywoła niepokój w gołębniku, cieszyła się w duchu.

Clara myła podłogę sznurkową szczotką na długim kiju. Spełniała wszystkie swoje obowiązki sumiennie, ale była przygaszona, na co Leonora nie omieszkła zwrócić uwagi.

- Zachowujesz się jak ktoś, kto właśnie przeżył zawód miłosny - stwierdziła bezlitośnie.

Prawda była taka, że Clara nie była pewna, czy przeżyła zawód, czy też nie, a z podejrzeniami bardzo trudno jest żyć. Seth odwołał ich czwartkową schadzkę pod jakimś błahym pretekstem. Prosił, aby zamiast tego przyszła w piątek. Clara jednak czuła pokusę, aby do niego zajrzeć, gdyż nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dzieje się coś niedobrego. Zjawiała się w piątek, zgodnie z umową. Na pozór wszystko wyglądało tak jak zwykle. Tyle że kuchnia była nie zamieciona i naczynia nie pozmywane.

- Czy Martha wczoraj była? - zapytała Clara obojętnie.

- Owszem, była.

- Pytam, bo nie wydaje mi się, żeby działała zbyt wiele.

- Och, działała bardzo wiele - powiedział, nie rozwijając szerzej tego tematu.

Ciekawe, co takiego zrobiła?

Gdy już znaleźli się w sypialni, dwie rzeczy wzbudziły podejrzenia Clary: jedną był unoszący się w powietrzu zapach tanich konwaliowych perfum, a drugą - zachowanie Setha, zachowanie, w którym nie było śladu zwykłej brutalności. Po raz pierwszy Clara krzyczała z nie udawanej rozkoszy. Była jednak świadoma, że tę nagłą zmianę można wyjaśnić jedynie faktem, iż jej kochanek pobierał lekcje u kogoś innego.

- Chcesz o tym porozmawiać, Claro? Leonory i Cassandry nie było w pokoju. Clara kiwnęła głową.

Pamiętając, że Clara nie lubi rozmów na temat swojego kochanka, Julia zawahała się, zanim odważyła zapytać:

- Czy chodzi o Setha? - Była najstarszą z sióstr, i to one same zwierzały jej się zwykle ze swoich problemów, nawet jeszcze jako małe dziewczynki.

Usta Clary zadrżały, a oczy napełniły się łzami.

- Tak. No cóż, chodzi o Setha i Marthę. - Sięgnęła do kieszeni wełnianej kamizelki po chusteczkę.

Clara jest jeszcze jedną ofiarą matki, pomyślała Julia, patrząc na siostrę ze współczuciem. Była kiedyś śliczną dziewczyną i z pewnością zasługiwała na kogoś lepszego niż Seth, a teraz wygląda na to, że nawet on ją zawiódł.

- Przepraszam, Julio. Jestem okropnie głupia. - Clara wytarła nos. -

Chodzi o to, że kiedy matka umrze, pragnę zacząć wreszcie żyć na własną rękę, mieć swój dom i mężczyznę, który mógłby się mną opiekować. Nie chcę być sama.

Znowu zalała się łzami.

Julia natomiast chciałaby być sama, gdyż dość miała na całe życie towarzystwa zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

- Jesteś pewna, że Seth sypia z Marthą? - zapytała.

- Prawie pewna. I nie wiem, co mam teraz zrobić!

- Jeśli to prawda, nie możesz nic zrobić. Możesz tylko trwać przy nim i mieć nadzieję, że się nią znudzi. I nie rób żadnych scen.

Julia przyswoiła sobie tę bezcenną zasadę, gdy była jeszcze żoną majora Freda. Frederick bez przerwy wywoływał kłótnie i bezceremonialnie wychodził z pokoju, ilekroć chciała dojść z nim do porozumienia.

- Spodziewam się, że mu przejdzie. - Zabrzmiało to, jakby mówiła o wietrznej ospie. - W końcu ty i Seth jesteście ze sobą bardzo długo.

Clara odparła z pełną smutku przenikliwością:

- Wiesz, myślę, że gdybym dostała swoją część spadku, poprosiłby mnie o rękę.

I dalej pieprzył Marthę, to pewne, pomyślała Julia. Cóż za przygnębiający scenariusz!

Do pokoju właśnie weszła Cassandra.

- Och, przepraszam, przeszkodziłam w czymś? Obróciła się na pięcie.

- Nie, nie wychodź. Powiedziałam Julii wszystko, co chciałam jej powiedzieć. Która to godzina? Wpół do siódmej. Czas

na transfuzję mamy. Tak określano w rodzinie Steerów porę, kiedy to Leonora zwykła raczyć się swoim ulubionym ginem z tonikiem. Clara podeszła do barku i drżącymi rękami nalała do szklanki mocnego trunku. Omal nie upuściła przy tym butelki.

Na ten widok Cassandra wykrzyknęła:

- Na litość boską, nie słucz jej. Matka cię wydziedziczy! Gdy Clara wyszła, Cassandra zwróciła się do Julii:

- Problemy z Sethem?

- Gorzej - problemy z Sethem i Marthą.

- Matka jest za to odpowiedzialna - orzekła Cassandra po chwili milczenia.

- Masz rację - zgodziła się Julia.

MAJ

10

Zarówno Chloe, jak i Morgan mieli wątpliwości, czy małżeństwo jest rozsądnym posunięciem. Chloe - ponieważ zdawała sobie sprawę ze swej oziębłości, Morgan - ponieważ nie potrafił zapomnieć o Caro. Śnił o niej po nocach i myślał po przebudzeniu. Nawiedzała go nawet w chwilach, kiedy kochał się z Chloe. Czasem w ciągu dnia, gdy - bez wyraźnej przyczyny - ogarniało go przygnębienie, dochodził do wniosku, że ona też musi o nim myśleć. Wiedział, że powinien to wszystko przezwyciężyć. Caro nie mogła czy raczej nie chciała za niego wyjść i musiał się jakoś z tym pogodzić. Zdawał sobie też sprawę, że jeśli nie chce uchodzić w oczach rodziny Chloe za beczynnego trutnia, powinien przynajmniej ponowić swe chaotyczne wysiłki, mające na celu znalezienie jakiegoś zajęcia. Z drugiej strony, rodziło się pytanie, czy Chloe odpowiadałoby życie z kimś, kto byłby ograniczony godzinami pracy w biurze, wymagała bowiem dużo uwagi.

W istocie to Chloe miała wrażenie, że po raz pierwszy w życiu ktoś poświęca jej zbyt wiele uwagi, przynajmniej w sensie fizycznym. Czowała się tak, jakby Morgan próbował zdjąć z niej klątwę oziębłości.

Przyglądając się szafirowi, który jej ofiarował, myślała o tym, co w małżeństwie przerażało ją najbardziej, to znaczy o urodzeniu dziecka. Morgan chciał mieć dzieci. Chloe wiedziała o tym, bo nieraz jej o tym wspominał. Oboje zdecydowali się pobrać w stosunkowo późnym wieku, a to oznaczało,

że dzieci powinny przyjść na świat już wkrótce. Rozumiała, że taka jest naturalna kolej rzeczy, ale nie potrafiła się z tego cieszyć. Pamiętała aż nazbyt dobrze zasłyszana od matki makabryczną historię własnego urodzenia: „To była męka, prawdziwa męka. Nigdy nie odczuwałam bólu, który trwałby tak długo! Nikt nie może ode mnie wymagać, abym znów przez to przechodziła!” Słuchając tego wszystkiego, mała Chloe zaczęła odczuwać strach, a ponieważ żadne z rodziców nie zwracało na nią specjalnej uwagi, miała dużo czasu na niezdrowe rozmyślania o doświadczeniach matki. A teraz to, czego się najbardziej bała, miało stać się jej udziałem.

Ani Morgan, ani Chloe nie wspominali o tym, co ich nurtuje. Gdyby to zrobili, może ich małżeństwo nigdy nie doszłoby do skutku. Jednakże przygotowania do ślubu, który miał być wielkim wydarzeniem towarzyskim, powoli nabierały rozpędu, aż w końcu oboje doszli do wniosku, że odwołanie go byłoby prawdziwym skandalem.

Veronica Post przybyła z Bostonu przygotowana na rozczarowanie. Gdy spotkali się przy filiżance chińskiej herbaty, wydała się Morganowi bardzo krucha, niemal filigranowa. Nie dostrzegł w niej najmniejszych choćby przejawów instynktu macierzyńskiego. Miała gęste, falujące włosy, starannie ufarbowane - prawdopodobnie, aby ukryć pojawiającą się tu i ówdzie siwiznę. Jej twarz wyglądała dosyć młodo, chociaż czubek nosa wskazywał, iż poddano go zabiegowi z dziedziny chirurgii plastycznej, a nieznaczne napięcie skóry twarzy sugerowało zręczny lifting. Veronica miała na sobie elegancki, dopasowany kostium i była opalona na ciemny brąz. Powinna uważać, aby jej skóra w końcu nie zaczęła przypominać podeszwy, pomyślał Morgan.

Ale jej ręce zafascynowały go. Były drobne, kościste, o długich, polakierowanych paznokciach. Na pewno rzadko hańbiły się pracą fizyczną. Nigdy jednak nie pozostawały nieruchome: Veronica delikatnie bębniła palcami o brzeg fili-

żanki, szarpała swój naszyjnik, bawiła się włosami lub obracała wokół serdecznego palca pierścionek z wielkim brylantem. Krótko mówiąc, była bardzo nerwowa. Zauważył także, że Chloe i jej matka rozmawiają ze sobą w bardzo dziwny sposób - jakby były zupełnie obcymi osobami, które tylko przypadkowo dzielą w pociągu ten sam przedział.

Przestawszy na chwilę bębnić o filiżankę, Veronica odezwała się do Morgana:

- Domyślam się, że twoja rodzina mieszka w Northumberland. To piękne hrabstwo. Gdzie dokładnie znajduje się wasza posiadłość?

Pytanie zostało zadane tonem, jakim członek rodziny królewskiej mógłby się zwrócić do robotnika podczas oficjalnej wizyty w jakimś zakładzie przemysłowym, kiedy to liczy się sam fakt, iż raczono w ogóle zadać pytanie, nie przywiązuje się zaś żadnej wagi do odpowiedzi. Cokolwiek jej odpowie, pomyślała Chloe, nie będzie to dla niej nic znaczyło, bo - O ile wiem - nigdy nie była na północy dalej niż w Mayfair.

Veronica zmierzyła Morgana Steera badawczym spojrzeniem. Zrobił na niej większe wrażenie, niż się spodziewała. Jej zdaniem, Morgan, który na tę okazję włożył garnitur, roztaczał wokół siebie „aurę dżentelmena”, jak to określała.

i nosił drogie buty. Veronica zawsze zwracała uwagę na buty. Wyobraziła go sobie we fraku w dniu ślubu. Z góry cieszyła się na myśl o przyjemności, z jaką będzie słuchała komplementów przyjaciół, gratulujących jej tak przystojnego zięcia. Będzie dla niej wspaniałą ozdobą. Chloe spisała się doskonale.

Cisza, która zapadła, przywołała Veronicę do rzeczywistości. Morgan właśnie skończył swoją wypowiedź.

- Jakie to zajmujące - powiedziała Veronica. - Szalenie kocham ten kraj.

- Więc z pewnością ucieszy cię wiadomość, że postanowiliśmy wziąć ślub w Hexham - oświadczyła Chloe. Oczywiście nie ustalili tego wcześniej, ale pokusa, by utrzyć nosa nieszczerej matce, była nieodparta.

- Czy tak? - Morgan był zaskoczony.

- Nie wydaje mi się, aby to było rozsądne - rzekła Veronica, a potem, improwizując na poczekaniu, dodała: - Nie spodoba się to twojemu ojcu. Na pewno będzie chciał, abyś zaprosiła na wesele kilku przyjaciół, z którymi robi interesy, a myślę, że oni nie będą mieli ochoty jechać tak daleko.

- Mamo, mówimy o moim ślubie, a nie o zorganizowaniu konferencji handlowej dla taty.

- Tak, kochanie, ale wiesz, jaki jest ojciec. - Zwracając się do Morgana, Veronica wyjaśniła: - Gdy się pobraliśmy, rzadko widywałam Johna. Przeważnie był zbyt zmęczony, aby wybrać się gdzieś wieczorem. Przez ostatni rok żyłam jak pustelnica! Myśl, że Veronica Post mogłaby żyć jak pustelnica, zdawała się nieprawdopodobna. Morgan unikał wzroku Chloe.

- Masz jakąś pracę, Morganie? Jeśli tak, to jaką, można wiedzieć? A więc jednak zadała pytanie, którego miał nadzieję uniknąć, przynajmniej na razie.

- Niestety, pani Post, obecnie jestem bez zajęcia, ale zamierzam...

Przyszła teściowa machnięciem ręki przerwała jego opowieść o dobrych intencjach.

- Proszę, mów mi po imieniu! Będziesz moim zięciem, Morganie. Więc nie pracujesz... Znakomicie! - padła niespodziewana odpowiedź. - Gdybyś pracował, kiedy byście się widywali z Chloe? Miałam w życiu dość czasu, by dojść do wniosku, że nic bardziej nie zagraża małżeństwu niż biuro. A poza tym dzięki ojcu, który odziedziczył prawdziwą fortunę, Chloe jest bardzo bogata, więc nie potrzebujesz pracować. Możesz się zająć swoją żoną.

Zaskoczony Morgan nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Veronica znów zaczęła obracać na palcu rodzinny brylant i przez chwilę wszyscy siedzieli urzeczeni, wpatrując się w rzucane przezeń zimne błyski. Nowocześnie oprawiony szafir Chloe wyglądał przy nim niby ubogi krewny.

- Najpilniejszą sprawą jest sporządzenie listy gości -oświadczyła Veronica, która przestała bawić się pierścionkiem i zaczęła przebierać perły naszyjnika, jakby liczyła paciorki jakiegoś ozdobnego różańca. Obserwując jej palce o pomalowanych na srebro paznokciach, przeczesujące farbowane włosy, Morgan zastanawiał się, w jaki sposób Chloe udało się tak długo wytrzymać ze swoją znerwicowaną matką, nie popadając przy tym w obłąd.

- Trzeba to załatwić jak najszybciej - kontynuowała Veronica. - W przeciwnym razie nikt nie będzie mógł przyjechać i wasz ślub zamieni się w absolutną katastrofę.

Chloe pozostała nieugięta.

- Mamo, Morgan i ja sami zajmiemy się sporządzeniem listy gości - oświadczyła zdecydowanie.

Veronica, jak gdyby to ostatnie zdanie w ogóle nie padło, zaczęła recytować nazwiska, z których większość Morgan znał z kronik towarzyskich. Zakończyła swoją wypowiedź słowami:

- I oczywiście musimy zaprosić Ponsonby-Smithów. Pomińcie ich byłoby szalonym nietaktem towarzyskim! Może -rozważała na głos - powinnam dyskretnie wypytać ich o najbliższe plany, tak abyśmy mogli ustalić datę ślubu na dzień, który będzie im najbardziej odpowiadał.

Morgan nie wierzył własnym uszom.

Podobna nagle do zbuntowanej pięcioletniej dziewczynki, Chloe zacisnęła pięści i oświadczyła podniesionym głosem:

- Matko, nie mam najmniejszego zamiaru dostosowywać daty mojego ślubu do widzimisię Ponsonby-Smithów. Nawet ich nie lubię.

Anachroniczna, od dawna nie używana forma „matko” przywołała Veronicę do porządku. Łaskawie przyjęła do wiadomości, że ktoś może mieć odmienny punkt widzenia, po czym spojrzała na córkę, jakby ta była szalona, i powiedziała:

- Nie bądź niemądra, Chloe, ja też ich nie lubię! Nikt za nimi nie przepada. To jadowita para. Ale nie muszę chyba

tłumaczyć mojej córce, że nie o to tu chodzi. Chodzi o to, że to wielka... - przerwała, szukając właściwego słowa, aż wreszcie je znalazła - zdobycz towarzyska! Prawdziwe trofeum!

Morgan, który także trochę ich znał, wyobraził sobie wiszące na ścianach wypchane głowy Ponsonby-Smithów.

Chloe powtarzała coraz bardziej podniesionym głosem:

- Kategorycznie odmawiam...

- Wybór odpowiedniego kościoła też jest sprawą pierwszorzędnej wagi.

Będę musiała sprawdzić, który jest ostatnio najczęściej wybierany na takie okazje. Bez wątplenia kościoły - jak wszystko inne - także wchodzą i wychodzą z mody.

Uwaga Veroniki zabrzmiała nie tylko władczo, ale i rzeczowo, co sprawiło, że Chloe na chwilę przestała protestować. Ciekawe, czy one zawsze się tak sprzeczą, zastanawiał się Morgan. Czuł, że jego obecność jest najzupełniej zbędna. Pewnie jedyne, czego od niego zażądają, będzie punktualne stawienie się w kościele w oznaczonym przez Veronicę dniu.

Twarz Chloe była blada i zacięta. Veronica najwyraźniej nic sobie nie robiła z pełnego wściekłości milczenia córki.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. Próbując przyjść im z pomocą, Morgan zaproponował:

- Może urządzimy przed ślubem spotkanie obu rodzin? To natychmiast skierowało uwagę Veroniki na inne tory.

- Och, czy twoja rodzina byłaby w stanie odbyć taką długą podróż - z Northumberland aż tutaj?

Zabrzmiało to tak, jakby mówiła o jaskiniowcach. No cóż, gdy w końcu dojdzie do spotkania, jego babka z łatwością poradzi sobie z Veronicą Post. Odpowiedział więc:

- Babcia dwa razy w roku przyjeżdża do Londynu na zakupy. Jedna z jej bytności przypada zwykle na okres przed Bożym Narodzeniem. Bez wątplenia tym razem babcia zmieni swoje plany ze względu na ślub, ale jeśli wolałaby pani spotkać się z nią wcześniej, może zechce pani pojechać z na-

<mi do Hexham. Skoro pani tak kocha Northumberland, z pewnością będzie to najlepsze wyjście. - Morgan ryzyko-

wał rozmyślnie. Wstrzymał oddech, zdając sobie sprawę, że gdyby przyjęła jego propozycję, oznaczałoby to katastrofę.

- Proszę, mów mi po imieniu - powiedziała znów Veronica automatycznie. Po chwili namysłu, postukując obcasami o posadzkę, oznajmiła:

- Biorąc pod uwagę wszystkie aspekty tej sprawy, dochodzę do wniosku, że tyle jest do zrobienia na miejscu, iż powinnam raczej zostać tutaj. Szkoda, ale nic na to nie poradzę. Może - przyobiecała łaskawie - znajdę czas, by się tam wybrać, gdy już będzie po ślubie. - Władczy ton jej głosu podniósł zwykłą podróż koleją do rangi królewskiego objazdu.

- W takim razie poznacie się podczas ceremonii. Nie ma potrzeby podejmowania tak niewdzięcznej wyprawy. - Chloe poczuła, że ma już dosyć nieszczerzej paplaniny swojej matki.

Veronica Post wstała.

Wyczuwając, że wzajemna wrogość za chwilę znów weźmie w kobietach górę, Morgan rzekł pośpiesznie:

- W porządku, zaaranżujemy jakieś małe przyjęcie. Zostawcie to mnie. Ja się tym zajmę.

- Och, zajmiesz się tym, Morganie? Naprawdę? - Veronica obdarzyła go skąpym uśmiechem. Szerszy groziłby zapewne pęknięciem skóry naciągniętej po ostatnim liftingu. - Chloe, podaj mi, proszę, torebkę. Ponieważ córka nie ruszyła się z miejsca, Morgan sam podał torebkę Veronice. Dziękował jednocześnie Bogu, że teściowa mieszka w Bostonie.

Gdy w końcu poszła, zapytał Chloe, która wyglądała na wykończoną:

- A jaki jest twój ojciec?

- Taki sam, ale inny - odpowiedziała. - Mogłabym dostać mocnego drinka?

Morgan zrozumiał, co miała na myśli, gdy poznał ojca Chloe. John Post był wysokim, eleganckim mężczyzną, ubranym w drogi garnitur. Miał nieskazitelnie ułożone włosy, do-

stojnie posiwiące na skroniach. Jego opalenizna po ostatnich wakacjach na Bermudach była równie ciemna i gładka jak u Veroniki. Subtelna opalenizna bogaczy. Razem z nim przyszła jego młoda żona.

- Tato, to jest Morgan Steer.

Chloe zaróżowiła się. Kosmyk lśniących włosów opadł jej na twarz i zakrył rumieniec.

- Miło mi pana poznać, sir - powiedział Morgan, otrzymując w zamian silny uścisk dłoni, który - jak mu się wydało - obliczony był na to, aby zrobić na nim wrażenie swoją rzetelnością.

- Cześć, Morganie. Moja żona, Annabel. - Ujął dziewczynę za łokieć i lekko pchnął do przodu.

- Miło mi pana poznać.

Dłoń Annabel była miękka i pulchna, a jej uścisk - wiotki i słaby.

Ciemnowłosa i jasnowłosa - czyli Chloe i Annabel - ucałowały się bez entuzjazmu.

Morgan z trudem oderwał wzrok od Annabel, która była jakby klonem Veroniki. Wyglądała dokładnie tak jak jej poprzedniczka, z tą różnicą, że była od niej o połowę młodsza. Nawet jej strój był podobny. Na środkowym palcu nosiła inny rodzinny klejnot. Może John Post miał sejf wypełniony po brzegi podobnymi pierścieniami. Jednakże - jak Morgan miał się później przekonać - poza datą urodzenia istniała między obu paniami Post jeszcze jedna znacząca różnica. Podczas gdy pierwsza nigdy nie przestawała mówić, chyba że zapalała akurat jednego z setek papierosów, druga w ogóle się nie odzywała, jeśli nie była do tego zmuszona.

Do stolika podszedł kelner, by zanotować zamówienia. Wszyscy usiedli. John Post przystąpił do zamawiania wyszukanego koktajlu.

Towarzyszyły temu obszerne instrukcje i Morgan doszedł do wniosku, że byłoby dużo szybciej, gdyby Post sam stanął za barem i własnoręcznie przyrządził sobie drinka. Nie konsultując się z żoną, zamówił dla niej inny, równie skomplikowany koktajl.

- Dla pani?... - zapytał kelner, zwracając się w końcu do Chloe.
- Proszę o gin z tonikiem, lodem i cytryną - powiedziała szybko.
- Dla pana?...
- To samo. - Morgan czuł się jeszcze bardziej spięty niż Chloe.

Ulga kelnera była wyraźnie wyczuwalna.

- Musicie wiedzieć, że ten bar słynie ze swoich koktajli - wtrącił z dezaprobatą dla ich prostego zamówienia Post.

Choć nie uznaje naturalnego prawa innych do posiadania określonych gustów, najwyraźniej lubi spędzać czas w rodzinnym gronie, pomyślał Morgan. Spróbował wyobrazić sobie Johna mieszkającego razem z Veronicą i nie potrafił. Przypuszczalnie oboje mówili naraz i w ogóle się nawzajem nie słuchali. Zastanawiał się, jak, u licha, zdołali wspólnie podjąć decyzję o rozwodzie, ba, nawet o zawarciu związku*małżeńskiego.

- Nie chcę koktajlu, tato, mam ochotę na gin z tonikiem.

Zabrzmiało to stanowczo, lecz także trochę zuchwale, jakby łobuzersko.

Chloe mówiła tonem małej dziewczynki, co przypomniało Morganowi sposób, w jaki zwracała się do matki. Rzuciła ojcu kokieteryjne spojrzenie. Reakcja była natychmiastowa. Najwyraźniej bawił się doskonale.

Obserwując, jak jego narzeczona flirtuje ze swoim ojcem, Morgan poczuł, że układy panujące w rodzinie Postów zaczynają go coraz bardziej interesować. Spojrzał przez stół na Annabel, która wpatrywała się w swój brylant z wyrazem smutnego skupienia w oczach. Przed nią stał nietknięty koktajl. Wyglądała, jakby się czuła zbędna. Zupełnie tak jak ja, pomyślał Morgan. Nachylając się w jej kierunku i sięgając po chipsa do miseczki, którą kelner przed nimi postawił, zapytał:

- Czy spędza pani dużo czasu w Stanach? -Nie.

Czekał z nadzieją, że Annabel powie coś jeszcze, ale nie miała na to najmniejszej ochoty. Rzucił więc:

- Ale chyba wszystkie gazety Postów wychodzą w Ameryce?
- Tak, to prawda.

Było to niczym wspinaczka pod górę.

- Cóż, w takiej sytuacji...

Annabel, zmuszona wypowiedzieć zdanie składające się z większej liczby słów, wykrztusiła:

- Pieniądze Johna pochodzą z koncernu prasowego, lecz on sam nie zajmuje się rodzinnym interesem.

Znów umilkła. Wyrażenie „wyciskać krew z kamienia” zostało chyba wymyślone dla Annabel.

Chloe przerwała na chwilę rozmowę z ojcem.

- Tata jest bankierem - wyjaśniła. - I anglofilem. Jego zdaniem, w Stanach żyje się zbyt gorączkowo.

Odchyliwszy głowę do tyłu, Post wypił duszkiem połowę swojego koktajlu, po czym zwrócił się do Morgana ze słowami:

- A ty, Morganie? Czym się zajmujesz?

Znów to pytanie, którego Morgan tak się obawiał. Tym razem nie można mieć nadziei na równie życzliwą reakcję, jak w wypadku Veroniki.

- Cóż, właściwie...

- Morgan jest jednym z kandydatów na bardzo atrakcyjną posadę - skłamała na oczekaniu Chloe. - Tak atrakcyjną, że nie może na razie o tym mówić.

- Och, doprawdy? - W głosie Amerykanina można była wyczuć skrywaną ironię.

Post wypił resztę swojego koktajlu. Morgan, wciąż ogłuszony tym, co powiedziała Chloe, zastanawiał się, jak później wyjaśni to przyszłemu teściowi. Uświadomił sobie, że tam gdzie w grę wchodzi uczucia Chloe, on stanowi dla jej ojca poważną konkurencję.

John Post rzucił żonie niezadowolone spojrzenie.

- To wspaniała wiadomość! Prawda, kochanie?

Przytaknęła ponuro.

- Mimo wszystko, Morganie, powinniśmy porozmawiać o pieniądzach jak mężczyzna z mężczyzną. Najlepiej pod nieobecność dam. Ale zanim przejdziemy do restauracji, powiedz mi, czym się zajmowałeś, zanim...

- Ależ tato! - Chloe, dotykając palcem jego nadgarstka, powiedziała surowo: - Nie będziemy chyba przy lunchu rozmawiać o interesach!

Post z trudem się opanował. Był zdania, że kobiety są istotami pozbawionymi rozumu. Jego pierwsze małżeństwo potwierdziło ten pogląd. Odczuwał przemożne pragnienie, aby zarzucić mężczyźnie, starającemu się o rękę jego córki, że jest łowcą posagów.

- Skoro tak sobie życzysz, złotko. Morganie, umów się ze mną na kolację w przyszłym tygodniu przez moją sekretarkę, zgoda?

Zabrzmiało to raczej jak groźba niż jak zaproszenie. Przeszli do sali restauracyjnej na lunch.

Później, w drodze powrotnej do mieszkania przy Prince's Gate, Morgan zapytał Chloe:

- Dlaczego, u licha, to zrobiłaś? Oboje doskonale wiemy, że taka posada nie istnieje, nie istnieją też żadne widoki na nią. Niedługo twój ojciec także się o tym dowie.

Odpowiedziała niewzruszona:

- Tak, ale zanim tata się o tym dowie, my już będziemy po ślubie, a wtedy nic już się nie da odkręcić.

Morganowi, który był z gruntu uczciwy, niezbyt się podobało takie stawianie sprawy.

- Zrozum - kontynuowała Chloe. - Tata bardzo dba o rodzinne pieniądze. Morgan pomyślał, że nie tylko o to chodzi, ale nie odezwał się.

Zaniepokoiło go, że John Post jest tak chorobliwie zaborczy w stosunku do swojej córki, a Chloe najwyraźniej tego nie zauważa.

- A zatem poznał twoich rodziców, ale ty nie poznałaś jego rodziny - podsumowała sprawę Joanna Blackstock, gdy któregoś wieczora rozmawiały z Chloe w jej mieszkaniu. - I jak poszło?

Ponieważ Chloe po raz pierwszy znalazła się w podobnej sytuacji, nie bardzo umiała ją ocenić.

- Chyba dobrze. Mama i tata chcą osobiście zająć się przygotowaniem do ślubu, więc będą mieli zajęcie, przynajmniej na jakiś czas. Żadne z nich nie wydaje się specjalnie zainteresowane tym, co ja mam do powiedzenia w tej sprawie, wobec tego postanowiłam, że zostawię to im.

Bierna postawa przyjaciółki nie po raz pierwszy zastanowiła Joannę. Wydało jej się nagle, że nad Chloe zawisło jakieś złowróżbne fatum. Oświadczyła z naciskiem:

- Tom twierdzi, że Morgan przez wiele lat był do szaleństwa zakochany w niejkiej Caroline Barstow. Prawdopodobnie wciąż jeszcze ją kocha. Chloe pamiętała rozmowę z Morganem w mieszkaniu Ste-erów tamtego wieczora, kiedy się poznali. To musi być ta kobieta, o której wtedy wspomniał, pomyślała.

A na głos powiedziała:

- Więc dlaczego się z nią nie ożenił?

- Wyszła za kogoś innego. Za jakiegoś aktora. On się chyba nazywa Patrick Holland.

- Nigdy o nim nie słyszałam - powiedziała Chloe, myśląc jednocześnie, że małżeństwo nigdy nie powstrzymało żadnego z jej znajomych od uganiania się za kobietami. - W końcu nie oczekuje się od kobiety w naszym wieku, że będzie dziewicą.

- Nie, oczywiście że nie, ale w tym wypadku sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Jeśli dobrze zrozumiałam, nigdy nie mieli romansu. Można powiedzieć, że to nie spełniona miłość.

- Chcę wyjść za mąż, ale mogę zaakceptować lub odrzucić fizyczną stronę małżeństwa. Jeśli Morgan będzie miał

ochotę na dyskretne skoki w bok, nie będę mu stawiała żadnych przeszkód.

Zabrzmiało to bardzo stanowczo. Joanna, która miała bardziej konserwatywne podejście do tych spraw, była poruszona oświadczeniem przyjaciółki. Gdy wyjdę za Toma Marchan-ta, pomyślała, i dowiem się, że mnie zdradza, zabiję go. Nie. Najpierw będę go torturować, a potem zabiję.

- Wiesz co, zaproponowałam Tomowi, aby się do mnie wprowadził. - Joanna zapragnęła zmienić temat.

- Och, naprawdę? - zainteresowała się Chloe. - A więc?...

- Nie. Mieszka w pokoju gościnnym, a jeśli nasz układ mi się nie sprawdzi, Tom wyprowadzi się.

- Ale chyba się tego nie spodziewasz?

- Nie, nie spodziewam się.

Chloe też miała coś przyjaciółce do powiedzenia.

- Morgan mówi, że kilka lat temu Toma wyrzucono z pracy. Z powodu jakichś machlojek w firmie. Wywołało to prawdziwy skandal w City. Jego rodzina go za to wydziedziczyła.

- Ach - powiedziała Joanna - pewnie to właśnie miał na myśli tata. Zostawił mi wiadomość na sekretarce... Dał do zrozumienia, że nie pochwała tej przyjaźni. Mam zamiar umówić się z nim na kolację i trochę go uspokoić.

- Czy Tom już dostał rozwód?

- Prawie.

- Morgan uważa, że on nie będzie wiernym mężem - dorzuciła Chloe.

- Być może... Ale kiedy go urobę, zmieni się. A propos, na kiedy wyznaczycie datę ślubu?

Chloe wzruszyła ramionami.

- Nie pytaj mnie o to. Zwróć się do mojej matki.

John Post oczekiwał kolacji ze swą byłą żoną z pewnym niepokojem. Mieli wspólnie omówić zbliżający się ślub córki. Zanosilo się na ciężką przeprawę...

Veronica spóźniła się dwadzieścia minut. Post zdążył już wypić dwa koktajle. Zawsze była niepunktualna. Poczł irytację, zanim jeszcze wymienili wstępne uprzejmości.

Mimo to pocałował ją. Wciąż wydawała mu się atrakcyjna. Używała tych samych perfum, co w czasach, gdy byli małżeństwem. Nina Ricci. Ich zapach przywoływał wspomnienia... Post uczuł, że jego rozdrażnienie mija bez śladu.

- John!

- Veronica!

Zajęła miejsce przy stoliku i zapaliła papierosa. Znow ogarnęła go wściekłość.

- Do diabła, Veronico! Nie możesz wytrzymać bez tego trzydziestu sekund?

Zaciągnęła się głęboko.

- Nie, nie mogę, mój drogi. Niedobór nikotyny powoduje, że robię się nerwowa. I proszę cię, nie zaczynaj mi mówić, co mam robić. Nie jesteśmy małżeństwem i nie muszę ci być posłuszna.

To była racja.

Skinieniem ręki przywołała kelnera - jeszcze jeden irytujący zwyczaj. Dlaczego nie pozwoli, aby on sam się wszystkim zajął? Nigdy nie potrafiła czekać. Drażniła go i pociągała jednocześnie. Tryskała witalnością, której brakowało drugiej pani Post. John pochylił się lekko do przodu i ujął jej dłoń uwodzicielskim gestem.

- Veronico, jesteś bardzo piękna. Nic się nie zmieniłaś. Najwyraźniej flirt wciąż był jego specjalnością.

- Wszyscy mi to mówią.

Poczł się rozczarowany; nie powiedziała: „Ty też nic się nie zmieniłeś”.

Puścił jej dłoń i wziął do ręki menu.

- To jedna z najlepszych restauracji w mieście. - Podał Veronice kartę.

- Stek z polędwicy, nie dosmażony, zielona sałata i woda mineralna - podyktowała Veronica kelnerowi, nie zajrzawszy nawet do jadłospisu.

- Ależ...

- *Pour être belle, il faut souffrir**.

Spojrzała na niego zachęcająco. Post przypomniał sobie z przykrością wieczne przygnębienie i opuszczone ramiona Annabel. Ponieważ już nie pamiętał, jak nieudane było jego pierwsze małżeństwo, poczuł nawrót zainteresowania swoją pierwszą żoną. Veronica jednak zaskoczyła go kolejną uwagą.

- Naturalnie będę potrzebowała nowej sukni na ślub Chloe - powiedziała.

- Przyszło mi do głowy, że może miałbyś ochotę wybrać ją razem ze mną.

A może jeszcze za nią zapłacić?

Nie wypowiedział tych słów, ale równie dobrze mogły zostać wypowiedziane. Zupełnie zapomniał, jaka jest zachłanna. Myśl o wskrzeszeniu starej namiętności pierzchła bez śladu, gdy przypomniał sobie wysokość rachunków za stroje Veroniki.

- Chyba wolałbym, aby to była niespodzianka. Jestem pewien, że cokolwiek wybierzesz, będzie bardzo eleganckie.

I bardzo drogie.

Veronica postanowiła ponowić atak później. Gdy w grę wchodziły pieniądze, trudno było znaleźć z Johnem wspólny język. Nie był skąpy, ale rozważny. To była jedna z jego mniej sympatycznych cech.

- Może powinniśmy porozmawiać o Chloe. To w końcu jej ślub - powiedziała z wyrzutem, jakby to on pierwszy zaczął mówić o sprawach ubrania. - Suknia Chloe musi być z Paryża.

Post uświadomił sobie, że czekają go wielkie wydatki.

- Nie możemy zostawić wyboru Chloe? Veronica zignorowała jego słowa.

- ...i pozostaje jeszcze sprawa przyjęcia. Sporządziłam sama własną listę gości, a bez wątplenia Morgan także będzie chciał zaprosić jedną czy dwie osoby.

- Ja również chciałbym mieć wgląd w ten spis - oświad-

***Pour être belle, il faut souffrir (franc.) - Aby być piękną, trzeba cierpieć (przyp. tłum.)**

czył Post. - Mam sporo partnerów w interesach, których wypadaloby zaprosić.

- Ale nie za wielu, John! To w końcu ślub Chloe, a nie jedna z twoich konferencji handlowych.

Śmieszne. Przecież i tak to on ma zapłacić za całą tę ekstrawagancję. Veronica skończyła swój stek i zapaliła kolejnego papierosa. Na chwilę zatrzymała powietrze w płucach, a potem wypuściła z nozdrzy dwa pióropusze dymu, prosto w jego talerz.

- Veronico...

Reprymenda Posta nie doszła jednak do skutku.

- Myślę, że Claridge's będzie najlepszym lokalem na przyjęcie weselne. Wybranie miejsca na miesiąc miodowy możemy chyba zostawić inwencji Morgana.

Miesiąc miodowy. Post zmarkotniał. Wiedział, że jego córka miewała romanse, ale myśl, że ukryje się przed nim w ramionach zaborczego Morgana Steera, zaniepokoiła go.

Zapadła krótka cisza.

- Czy oboje na pewno aprobujemy Morgana? - zapytał w końcu John. Veronica utkwiała w nim zaskoczone spojrzenie.

- Dlaczego mielibyśmy go nie aprobować? Ma doskonałą prezencję, a to wszystko, czego potrzeba dobremu mężowi.

Zgasiła papierosa i szykowała się do zapalenia następnego.

Zrozumiawszy, że nie zamierza poprzeć jego wątpliwości, Post powiedział z rozdrażnieniem:

- Nie możesz wytrzymać przynajmniej pięciu minut bez papierosa? To obrzydliwy i niebezpieczny nałóg.

Tym razem Veronica zareagowała na jego uwagę słowami:

- Jestem prawdopodobnie jedną z nielicznych osób, które wciąż znajdują w nim upodobanie. Statystyki są zastraszające - odpowiedziała, bardzo z siebie zadowolona.

Znow dała znak kelnerowi.

Post westchnął z rozdrażnieniem. Miał zamiar jak najszybciej zakończyć ten wieczór. Smutna bierność drugiej pani Post wydała mu się nagle dużo bardziej pociągająca.

- Chodzi mi o to, że Steer nie ma żadnej pracy.
- Proszę małą kawę - powiedziała Veronica do kelnera, który się właśnie pojawił. Wyjęła z torebki szminkę i lusterko i zaczęła poprawiać usta - jeszcze jeden zwyczaj, którego Post nie mógł ścierpieć. Zastanawiał się, czy celowo stara się go rozzłościć.

- Co z tego? - odparła Veronica, schowawszy wreszcie swoje przybory do makijażu. - Nie musi pracować. Chloe ma mnóstwo pieniędzy. Nasza córka potrzebuje kogoś, kto by jej towarzyszył na przyjęciach, a nie umęczonego pracą niewolnika.

Tym razem Post dał znak kelnerowi. Veronica skorzystała z okazji.

- Chciałabym jeszcze dostać pudding.

- Już zamówiłaś kawę.

- Nie szkodzi.

Choć Post miał zamiar poprosić o rachunek, jeszcze raz zażądał karty. Przyniesiono ją.

Veronica spojrzała na niego prowokująco.

- Wiesz, John, nie zmieniłeś się ani trochę od czasów, gdy byliśmy małżeństwem.

Post rozpaczliwie pragnął znaleźć w jej oczach uznanie, toteż postanowił uznać to dwuznaczne stwierdzenie za komplement. Widząc, że spotkanie jeszcze trochę się przeciągnie, Veronica powiedziała:

- Chyba jednak nie będę już jadła słodczy. Co powiesz na odrobinę brandy, kochanie?

Kochanie?

To go nieco ułagodziło, choć nie zapomniał o finansowej stronie całego przedsięwzięcia.

- Kto opracuje budżet w związku z tymi wszystkimi wydatkami? - zapytał.

Budżet?

- Ja, oczywiście - odpowiedziała Veronica, choć to pojęcie zabrzmiało dla niej obco. - Ale przydałby się mały za-

strzyk gotówki, przynajmniej na początek. Naturalnie, jeśli nie będziesz chciał zająć się wszystkim osobiście. Naturalnie nie chciał.

- Ile?

Wymieniła sumę. Ogromną.

A to dopiero pierwszy ślub Chloe, pomyślał Post, wypisując czek. Jeszcze kilka następnych i zbankrutuję.

Veronica włożyła czek do torebki i powiedziała łaskawie:

- Dziękuję ci, John. To powinno pokryć wstępne wydatki. Wstępne wydatki?!

- Chyba byłoby rozsądniej, gdybyś otworzyła w banku specjalne konto ślubne. To ułatwiłoby wiele rzeczy. Byłoby prościej, rozumiesz. - Ale kiedy wypowiadał te słowa, wiedział, że jest już za późno, że należało otworzyć konto na imię ich obojga, a nie po prostu wręczyć Veronice czek.

- Świetny pomysł, kochanie. Zawsze umiałeś doskonale sobie radzić z podobnymi sprawami.

Zauważył, że nie powiedziała, iż zastosuje się do jego rady.

Veronica spojrzała na zegarek - małe platynowe cacko, które podarował jej po jednej z bardziej spektakularnych kłótni, i oświadczyła:

- Wielkie nieba! Czy naprawdę jest już tak późno? Muszę lecieć!

Zatroszczysz się o rachunek, kochanie?

Post obserwował, jak Veronica mija podnieconych, kłaniających się w pas kelnerów, z jego czekiem wetkniętym w portfel od Gucciego. Nie wiedział, czy to „kochanie” oznaczało awans, czy też zwracała się tak do każdego. Postanowił napić się jeszcze brandy.

Gdy pił, przyszło mu do głowy, że jedynym sposobem na rozwiązanie jego problemów, finansowych i innych, byłoby niedopuszczenie do tego małżeństwa.

Meredith nie udało się przesunąć daty przyjazdu Caro i Minervy na później. Zamiast tego przyjechały wcześniej, co oznaczało, że Minerva musiała opuścić kilka dni szkoły. Dziewczynka, będąc w wieku, w którym kwestionuje się wszystkie zarządzenia rodziców, nie potrafiła się zdecydować, czy powinna szaleć z radości, czy narzekać. Jednakże nawet najlepiej opracowany plan może zawieść. Podróżujący w przeciwnych kierunkach Morgan i Chloe oraz Caro i Minerva spotkali się

przypadkowo na stacji w Newcastle. Serce Morgana na chwilę przestało bić. Chciał za wszelką cenę odciągnąć stamtąd Chloe, lecz Caro, podniósłszy wzrok znad „Spectatora”, którego właśnie zamierzała kupić, ujrzała ich oboje.

Miała na sobie długi ciemnoczerwony płaszcz, a na nogach - zapinane na guziczki, wiktoriańskie botki do kostek. Wyglądała jak przedstawicielka bohemy artystycznej. Już sam jej wzrost wyróżniał ją spośród tłumu.

Zmieszany Morgan znieruchomiał. Ona również zamarła w bezruchu.

Chloe także zauważyła Caro i bezbłędnie odgadła, kim jest stojąca przed nią kobieta. Jej widok zrobił na niej wrażenie. Nie z powodu stroju, który - jak oceniła - nie był zbyt kosztowny, ale z powodu niej samej, kobiety, która go nosiła. Chloe wiedziała, że niektóre osoby mają dar przekształcania każdej części garderoby w doskonałe dzieło sztuki, i czuła, że ma przed sobą właśnie kogoś takiego. Urzeczone

spojrzenie Morgana nie pozostawiało wątpliwości, że - wiedząc o tym czy nie - jest wciąż zakochany w Caroline Bar-stow.

Nieświadoma małego dramatu, rozgrywającego się na jej oczach, Minerva, ubrana w rozciągnięty sweter, wytarte džinsy i nieodłączne martensy o nosach pomalowanych w srebrne paski, powiedziała:

- Możesz mi dać trochę drobnych na „Just Seventeen“?

- Proszę - powiedziała Caro automatycznie, wręczając jej pieniądze.

Minerva oddaliła się.

Wróciła im mowa.

- Nie przedstawiś mnie? - spytała Chloe Morgana. Była to ostatnia rzecz, jaką pragnął zrobić, chociaż oczywiście musiały się kiedyś spotkać.

- To jest Caroline Barstow, nasza northumberlandzka sąsiadka. A to moja narzeczona, Chloe Post.

Chloe, która wiedziała więcej, niż przypuszczał, bardziej ciekawiło to, czego Morgan nie powiedział, niż to, co powiedział.

Obie kobiety obrzuciły się badawczym spojrzeniem.

Gdy podały sobie ręce, Caro doszła do wniosku, że istnieje tylko jedno słowo określające jej rywalkę: „wypielegnowana”. Pośród brudu i sadzy stacji kolejowej Newcastle Chloe wyglądała jak laleczka.

Zjawiała się Minerva ze swoim magazynem.

- Obawiam się, że musimy już iść. Pociąg do King's Cross odjeżdża za piętnaście minut. Czy zabrałaś wszystko, Mine-rvo?

- Nie mam pojęcia - padła obojętna odpowiedź córki.

- Więc może mogłabyś sprawdzić? - Caroline wyglądała na zdenerwowaną. - Do widzenia - zwróciła się do Chloe.

- Do widzenia!

- Do widzenia, Morganie.

Morgan nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Spoglądał za Caro z sercem przepełnionym żalem i żądzą. Przypomniawszy sobie, jak bliscy byli spełnienia swej miłości tamtego

dnia w jej domu. Gdyby tylko ten idiotyczny facet nie wszedł i nie przeszkodził im...

A teraz odwróciła się i odeszła.

Morgan miał ochotę zawyć z bólu i w ten sposób dać wyraz przepełniającym go uczuciom. Obserwował, jak Caro oddala się od niego, dumna i wyprostowana, niczym królowa, w rozwiewanym przez wiatr, purpurowym płaszczu, w towarzystwie niedbale powłóczącej nogami Minery. Widział, że przystanąły na chwilę, jakby wsłuchując się w zapowiedzi płynące z trzeszczących megafonów, po czym znów ruszyły naprzód, aby w końcu zniknąć mu z oczu.

Siedząc w pociągu do Hexham, Morgan i Chloe milczeli. Chloe oglądała przez okno krajobraz, który im dalej na północ, tym bardziej stawał się dziki i niedostępny. Mijali z turkotem małe stacyjki o nazwach takich jak Blaydon, Prudhoe, Riding Mill i Corbridge, obsadzone czerwonymi, białymi i niebieskimi kwiatami. Dzikość hrabstwa Northumberland sprawiała, że Chloe, która nie przepadała specjalnie za wsią, poczuła się tak, jakby znalazła się w jakiejś obcej krainie. Teraz rozumiała, co Joanna miała na myśli, mówiąc o Caroline Barstow. Jej pierwotne postanowienie, że będzie patrzeć przez palce na umizgi Morgana do jakiejś niezbyt atrakcyjnej kochanki, i zgoda na dzielenie się z nią jego usługami seksualnymi, nie miały racji bytu w odniesieniu do osoby, którą właśnie poznała. Dzień, w którym Morgan pójdzie do łóżka z Caroline Barstow, będzie zarazem dniem, w którym porzuci ją, Chloe.

Morgan miał ochotę się rozplakać. Znowu wszystko się skomplikowało. Nie potrafił dłużej przekonywać sam siebie, że droga, którą wybrał, jest słuszna. Caro jest nieosiągalna, myślał, więc żenię się z Chloe. To nie może być właściwa motywacja. Ale co innego mógłbym zrobić? Trudno naciskać na kogoś, kto człowieka nie chce. A Chloe, poza tym, że bardzo atrakcyjna, jest także bardzo... - Morgan zawahał się przed

użyciem słowa „bogata” - ...odpowiednią osobą. Ale czy to wystarczy? Chyba nie. Jeszcze raz zastanowił się, czy rzeczywiście jest za późno na odwołanie ślubu. Prawdopodobnie tak. A nie widział innego sposobu na zdobycie Caro niż staroświeckie porwanie.

Otworzył „Timesa” i zaczął udawać, że czyta. Chloe nie dała się jednak oszukać. Wiedziała, że jeśli chce zatrzymać kochanka przy sobie, będzie musiała o niego walczyć, a pojedynek z czymś tak nieuchwytnym, jak nie odwzajemniona miłość, nie będzie łatwy. Udałoby się go wygrać tylko wtedy, gdyby Morgan sam zdecydował się zapomnieć o swojej dawnej namiętności.

Chloe postanowiła nie podejmować rozmowy na temat Caroline, chociaż oboje o niej myśleli. Zamiast tego zapytała:

- Weźmiemy taksówkę na stacji?

Morgan, już trochę spokojniejszy, odpowiedział:

- Nie. Mama otrzymała polecenie, aby odebrać nas z dworca samochodem. Ona jedna z nich wszystkich potrafi prowadzić.

Chloe nigdy nie słyszała, aby ktoś po ukończeniu siedemnastego roku życia nie potrafił prowadzić samochodu.

- Więc jest rodzinnym szoferem. Jakie to musi być uciążliwe!

- Wydaje mi się, że ona to lubi. Dzięki temu może, przynajmniej na krótko, wynieść się z domu i uciec spod rządów babki.

- Brzmi to tak, jakby twoja babka rządziła prawdziwie żelazną ręką!

- Bo tak jest.

Perspektywa spędzenia kilku dni w Armitage Lodge i myśl o tym, że będzie musiał nieustannie pilnować, aby babka zachowywała się poprawnie, oderwała Morgana od niewesołych rozważań. Zastanawiał się, czy ona i Chloe znajdą ze sobą wspólny język. Bez wątplenia tak, skoro pieniądze i uroda - w tej, a nie innej kolejności - były dla Leonory najistotniejsze.

Pociąg wtoczył się na stację. Wyladowując walizki, Morgan zobaczył stojącą na końcu peronu matkę. Pomachał jej ręką. Uderzyło go, jak bardzo się postarzała. Ale może to tylko kontrast z Chloe sprawił, że tak pomyślał.

Samochód turkoczając sunął po brukowanej kamieniami drodze. Chloe zauważyła, że ford ma kierunkowskazy w formie pomarańczowych chorągiewek, a siedzenia - chociaż pokryte skórą są wytarte i wyświecone. To prawdziwy antyk, a jego prowadzenie musi być naprawdę wyczerpujące, pomyślała. Sama nigdy nie siedziała za kierownicą pojazdu nie posiadającego automatycznej skrzyni biegów. Obserwowała, jak Julia wrzuca najpierw pierwszy, a potem drugi i trzeci bieg, bezustannie wciskając sprzęgło.

Posiadłość Armitage Lodge, odarta ze swej dawnej wspaniałości, prezentowała się podobnie jak stary ford. Kwiaty wczesnego lata złagodziły trochę jej podniszczony wygląd, ale tylko o tyle, o ile frywolny kapelusz może ozdobić starą, pomarszczoną kobietę. Drzew było niewiele. Te, które pozostały, nachylały się w jedną stronę, wskazując kierunek wiatru. Lodge z trudem opierała się wpływowi pogody i Chloe pomyślała, że wewnątrz, zwłaszcza zimą, musi panować przenikliwy chłód. Odetchnęła głęboko, wciągając w płuca zapach starych, posiwiałych kamieni, mchu i ziemi; odtąd miał on pozostać trwałym wspomnieniem jej pierwszego spotkania z domem, w którym Morgan spędził dzieciństwo.

Julia otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka. Rzeczywiście dom, mimo iż był już koniec maja, powitał ich zimnem. Stojąc w hallu, u stóp imponujących schodów, Chloe zadrżała.

- Mama, która w tej chwili zażywa poobiedniej drzemki, zarządziła, abyśmy wszyscy przebrali się do kolacji. Meredith i generał również zostali zaproszeni. - Clara wypowiedziała te słowa nerwowo, podniecona perspektywą przyjęcia. Takie okazje nie zdarzały się tu ostatnio zbyt często.

- Kto dziś gotował? - Morgan posłał w niebo cichą, niemą modlitwę. Niestety, nie została wysłuchana.

- Ja - odpowiedziała Clara. - A twoja matka zajęła się przyrządzaniem puddingu.

Morgan zanotował w pamięci, że powinien ostrzec Chloe. Chociaż ona i tak je jak ptaszek, więc pewnie nie będzie się czuła głodna, co groziło pozostałym.

- To wspaniale! Ja nie mam pojęcia o gotowaniu - odezwała się uprzejmie Chloe.

Clara też nie, stwierdził w duchu Morgan, zaniepokojony wyznaniem narzeczonej. Przebiegł w pamięci cały ich związek i uświadomił sobie, że - z wyjątkiem kilku śniadań - nigdy jeszcze nie przyrządziła żadnego posiłku.

- Gdzie Cassandra? - zapytał.

- Wyprowadza Jardine'a.

- Kto to jest Jardine? - Chloe na razie nie знаła wszystkich członków rodziny.

Gdy zapytała, właśnie otworzyły się drzwi.

- Oto i oni - powiedziała Julia.

Usłyszeli suchy szelest wieszanego w hallu nieprzemakalnego płaszcza, a po chwili do salonu weszła Cassandra prowadząc przy nodze Jardine'a. Choć może należałoby raczej powiedzieć: weszła do salonu, zobaczyła Chloe i natychmiast poczuła, że jej życie nigdy już nie będzie takie samo.

Jardine - jako dobrze wychowany pies - zaczekał na pozwolenie, a dopiero potem skoczył, aby przywitać się ze swoim panem. Gdy Chloe obserwowała tę scenę, stało się dla niej jasne, że Morgan bardzo kocha tego psa, i pomyślała, że tutaj, na wsi, będzie miała okazję poznać swojego przyjaciela od zupełnie innej strony. Może przyczyną były jakieś skrywane uprzedzenia dotyczące ich związku, dość że Chloe uświadomiła sobie, iż Morgan nigdy nie okazywał jej takiej

zwyczajnej, prostej czułości, jaką obdarza teraz Jardine'a. Nie posiadający się z radości pies oparł obie czarne łapy na piersiach Morgana i zaszczał.

- Tsss - uciszyła go Clara. - Nie szczekaj. Jeśli mama usłyszy, nie wpuści cię do domu przez tydzień.

- Siad! - rozkazał Morgan. Jardine usiadł. Uosobienie lojalności - nie spuszczał oczu ze swojego pana, a jego ogon rytmicznie uderzał o podłogę.

- Wygląda świetnie! - pochwalił Cassandrę Morgan. - Dokładnie tak jak należy. Ma dużo tkanki mięśniowej i nie za wiele sadła.

- Będziesz musiał trochę się za niego wziąć - oświadczyła Cassandra, jednocześnie spoglądając przymilnie na Chloe. - Robi się nieposłuszny, gdy spuszczam go ze smyczy. Nie wraca na wezwanie i tak dalej.

- Zajmę się tym. Nie martw się. W którym pokoju babcia kazała nas ulokować?

- Nie „w pokoju”, w pokojach - poprawiła go ciotka. - Wiesz, jaka jest matka - to prawdziwa córka epoki edwardiańskiej, a więc i całej hipokryzji charakterystycznej dla tamtych czasów. Jeśli zechcesz porozmawiać z Chloe, będziesz musiał skradać się w środku nocy przez cały korytarz. Oczywiście pod drzwiami babki. Umieściła was w dwóch przeciwległych kątach domu.

- Ależ my jesteśmy zaręczeni! - Morgan nie mógł uwierzyć w to, co mówi Cassandra.

- Spróbuj jej to wytłumaczyć.

Później, przebierając się do kolacji, Chloe usiłowała się zapoznać z nowym otoczeniem. Szczególnie mocne wrażenie zrobiła na niej sypialnia, mroczna i zimna, chociaż samo łóżko (sprawdziła to) było wygodne. Z sypialni wchodziło się do wyłożonej linoleum, spartańskiej łazienki. Chloe zauważyła, że mydło składa się z resztek dwóch kostek, które ktoś sprytnie skleił. W miejscu, w którym połówki się stykały, widocz-

na była brzydka ciemna linia. Doprawdy królewska oszczędność. No i nie było gorącej wody.

Jak długo tu zostaną? Cztery, pięć dni? Przygnębiona, wyjęła ze swej ogromnej walizki krótką czarną sukienkę. Po chwili jednak zdecydowała, że tego wieczora ubierze się na czerwono. Może to poprawi jej nastrój.

W sąsiedniej sypialni Clara rozmawiała z Cassandrą.

- Którą sukienkę powinnam włożyć? Łososiową czy turkusową?

Cassandra skrzywiła się.

- Żadną z nich, Claro. Może tę? - wyjęła z pełnej krzykliwych kolorów szafy Clary ciemnozieloną jedwabną suknię. Bóg jeden wie, w jaki sposób w ogóle się tam znalazła.

Niechętnie odkładając na bok różową toaletę, Clara zapytała:

- Och, jesteś tego pewna?

- Całkowicie!

Cassandra miała na sobie elegancki dopasowany kostium z brązowego aksamitu. Odwróciła się do drzwi i zanim wyszła, przypomniała siostrze:

- Nie zapomnij o jedzeniu. Co właściwie przygotowałaś?

- Królika. Mnóstwo ich w okolicy. Przyrządziłam go już wcześniej. Jest w piekarniku.

- Dobrze - powiedziała Cassandra niepewnie. A potem dodała: - Wiesz, mam dziwne przeczucie, jeśli chodzi o Chloe Post, i to nie daje mi spokoju. Odnoszę wrażenie, jakby coś gromadziło się wokół niej, coś... jakaś... - zawahała się -...ciemna chmura - dokończyła złowieszczo.

Clara przerwała poszukiwania sznura prawdziwych koralików, który dostała na swoje dwudzieste pierwsze urodziny, i podniosła wzrok na Cassandrę. Przeczucia siostry przeważnie okazywały się trafne.

- Co masz na myśli, mówiąc „ciemna chmura”? - zapytała marszcząc brwi.

- Nie jestem pewna, ale nic dobrego. Nie mówmy już o tym. Obudzisz mamę czy ja mam to zrobić?

Leonora ubrała się do kolacji na biało. Dziwny wybór dla kogoś po dziewięćdziesiątce, zauważyła w myśli Chloe. Choć właściwie jest jej do twarzy w bieli. Suknia z wysokim kołnierzykiem i bufiastymi u góry, a zwięzającymi się od łokcia do nadgarstka rękawami przywodziła na myśl czasy młodości Leonory.

- Witamy, panno Post - zwróciła się Leonora do Chloe, ujrawszy narzeczoną swojego wnuka.

- Och, proszę mi mówić Chloe!

- Chloe!

Leonora w milczeniu mierzyła dziewczynę wzrokiem, a potem powiedziała do wnuka, tak jakby Chloe w ogóle tam nie było:

- Dokonałeś słusznego wyboru, Morganie.

Jej brak taktu był doprawdy jedyny w swoim rodzaju. Za chwilę każe mi otworzyć usta i obejrzy moje zęby, aby sprawdzić, ile mam lat, pomyślała niemile dotknięta Chloe.

Leonora jednak nie zrobiła tego, lecz po prostu spytała:

- Ile masz lat, Chloe?

Urażona bezceremonialnością Leonory, Chloe zaspokoila jej ciekawość.

- W takim razie musisz się pośpieszyć. Powinnaś myśleć przede wszystkim o poczęciu męskiego potomka.

W tej chwili Chloe usłyszała dzwonek u drzwi frontowych. Co za ulga!

- Ach - powiedziała Leonora. - To na pewno Meredith i generał. Claro!

Otwórz!

- Tak, mam - Clara wybiegła z pokoju.

- Odwagi, kochanie - mruknął Morgan pod nosem, wyczuwając skrepowanie Chloe. - To jej zwykły sposób bycia. Nie zdaje sobie sprawy, jakie to robi wrażenie.

Przeciwnie, pomyślała Chloe, zdaje sobie z tego sprawę doskonale.

Clara, która wróciła, miała właśnie zaproponować gościom drinki.

- Co mogę...

Leonora, sama zaopatrzona w wielki gin z tonikiem, przerwała jej:

- Nie ma teraz na to czasu. Musimy siadać do kolacji. Co cię zatrzymało, Meredith?

- Nic mnie nie zatrzymało - odparła Meredith. Wiedziała, że Leonora zrobiłaby wszystko, aby zachować butelkę ginu wyłącznie dla siebie. - Zostaliśmy zaproszeni na ósmą i przybyliśmy dziesięć minut po czasie, jak każą zasady dobrego wychowania.

- Zaszło małe nieporozumienie. Powiedziałam wyraźnie „wpół do ósmej”. Ale to nieważne. Proszę za mną.

Leonora z godnością zajęła miejsce u szczytu stołu.

- Claro! Nie zaplanowałaś, jak mamy usiąść! Gdzie są karneciki z nazwiskami?

Clara zarumieniła się ze wstydu. Na szczęście do akcji wkroczył Morgan i sam zaczął rozmieszczać gości przy stole.

- Nie, nie, nic z tego nie będzie! - Leonora, zdecydowana posadzić mężczyzn u swego boku, zlekceważyła jego wysiłki. - Generale, usiądzie pan po mojej prawej stronie, ty, Morganie, po lewej, Chloe obok generała, a reszta może siadać, gdzie chce.

Ma bzika na punkcie swojej władzy, odnotowała w myślach Chloe, obserwując dyktatorskie zachowanie Leonory. -A może jest naprawdę szalona?

Wreszcie wszyscy zajęli miejsca przy stole. Cassandra wślizgnęła się na krzesło obok Chloe. Przez całą kolację ona i generał zerkali z ukosa na pięknego gościa. Nikt równie niezwykły nie pojawił się na horyzoncie od bardzo długiego czasu.

Konwersacja nie była błyskotliwa. Potrawy przyrządzone przez Clare okazały się zupełnie niejadalne. Chloe miała wrażenie, że kolacja nigdy się nie skończy.

Udręczona, spojrzała przez stół na Morgana, który uśmiechnął się do niej zachęcająco. Wniesiono sery i Leono-

ra zarządziła otwarcie jeszcze jednej butelki wina. Bułgarskie, zauważył generał rozczarowany, po czym ujął w dłoń swój mały kieliszek i opróżnił go jednym haustem.

Wieczorem Morgan - cicho jak kot - skradał się korytarzem w kierunku pokoju Chloe. Raptem spostrzegł z konsternacją, że drzwi do pokoju babki są otwarte, a wewnątrz pali się światło. Zatrzymał się w cieniu i rozważał możliwość przemknięcia tamtędy niepostrzeżenie, gdy nagle usłyszał:

- Wejdz, proszę, Morganie. Nie krąż tak po korytarzu, bo to mi działa na nerwy.

Skąd wiedziała, że tam jest?

Porzuciwszy nadzieję spędzenia tej nocy z Chloe, Morgan wszedł do środka.

- Przyszedłem, żeby ci powiedzieć dobranoc, babciu -skłamał na poczekaniu. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Ależ skąd - uśmiechnęła się figlarnie Leonora. - Nie mam jeszcze zamiaru iść spać. Wy, młodzi, nie macie za grosz kondycji.

Jej łobuzerska przewrotność przeniosła go z powrotem w lata dzieciństwa. Babka chętnie wtedy wdawała się z nim w utarczki słowne i zawsze miał z tego wiele uciechy, bo odznaczała się lotnym umysłem oraz ciętym językiem.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego mężczyźni uważali ją za tak atrakcyjną. Cofnąwszy się myślą w nieco dawniejsze czasy, Morgan doszedł do wniosku, że jej sarkazm i agresja wzrastały, w miarę jak uroda, którą uważała za trwałą walor, stopniowo zanikała.

Odplacając pięknym za nadobne, odpowiedział:

- Wykazałbym doskonałą kondycję, gdyby tylko dano mi pole do popisu.

Rozbawiona Leonora zrozumiała go doskonale.

- Tak, nie wątpię w to. - A potem, w przypiływie niespo-

dziewanej łaskawości, dodała: - Dobrze więc, idź. Idź zobaczyć się ze swoją Chloe, jeśli tego właśnie chcesz, ale najpierw ucałuj swoją starą babkę. Nadstawiła zwiędły policzek.

- Dobrej nocy, Morganie.

- Dobranoc, babciu.

Zamknął drzwi i znów ruszył korytarzem, zastanawiając się przy tym, dlaczego nie mogłaby zawsze okazywać tyle rozsądku.

Clara i Cassandra, każda w swoim pokoju, rozmyślały o Chloe. Clara z prawdziwą zazdrością, gdyż wydawało jej się, że Chloe ma wszystko. Przez „wszystko” rozumiała pieniądze, urodę i mężczyznę. Ona sama z powodu kapryśnego usposobienia matki może nigdy nie dostać do ręki pieniędzy, które przecież słusznie jej się należą, poza tym utraciła już urodę, i - jeśli nie jest w błędzie - wkrótce utraci także swojego mężczyznę.

- To niesprawiedliwe - poskarżyła się głośno i zaczęła obgryzać paznokcie. Był to stary, dziecięcy nawyk, z którego nigdy nie wyrosła. Wzięła do ręki oprawione w srebrną ramkę zdjęcie, przedstawiające ją jako młodą dziewczynę. Może nigdy nie była specjalnie bystra, ale za to zawsze pełna życia. Miała jasne oczy, szczupłą talię i sprężysty krok. Potrafiła doskonale utrzymać się w siodle. A jej puszyste kasztanowe włosy były sławne w całym hrabstwie. Kiedy to wszystko zaczęło się zmieniać?

Podeszła do lustra i przyjrzała się sobie w świetle sześćdziesięciowatowej żarówki, którą Leonora uznała za wystarczające oświetlenie jej pokoju. Rozczarowanie i brak wszelkich bodźców spowodowały, że jej twarz się zapadła, a policzki obwisły. Chociaż, pocieszyła się Clara, to górne światło pogłębia ten efekt. Spozierało na nią blade, zapuchnięte odbicie. Tylko rzednące włosy zachowały nieco dawnego rudego połysku, a to dzięki płukankom, które w sekrecie kupiła w aptecę.

Wszystko zaczęło się zmieniać, gdy Leonora postanowiła odprawić

licznych adoratorów córki, a oni po kolei opuścili ją i pożenili się z innymi kobietami. Tak więc któregoś dnia Clara zdała sobie sprawę z faktu, że ma dwadzieścia osiem lat i jest zupełnie sama. Stłumiła nie sprecyzowane, gorączkowe myśli o ucieczce z domu, widząc wściekłość matki po zniknięciu Julii z Fredem. Gdy Leonora przeczytała zostawioną przez Julię kartkę, była bliska ataku apopleksji. Ogarnięta szaleńczym gniewem, stawała się doprawdy przerażająca.

- Dobrze jej tak - oświadczyła wówczas Cassandra lekceważąco, gdy ona sama i reszta sióstr znalazły się wreszcie poza okiem cyklonu. -

Apodyktyczna stara wariatka. Zobaczycie - teraz pójdzie do siebie i zmieni testament. Życzę im szczęścia.

W pokoju obok Cassandra leżąc na łóżku, także rozmyślała o Chloe Post. Sama nigdy w najmniejszym stopniu nie interesowała się mężczyznami i do tej pory była zupełnie zadowolona ze swego wygodnego, choć niezbyt porywającego związku z Deirdre Ricketts. Chloe uznała za osobę zupełnie innego gatunku. Ona była...

Cassandra poszukała właściwego słowa i znalazła je: „doskonała”. Po prostu doskonała. Ale dziwnie daleka i oderwana od rzeczywistości, a także od Morgana. Cassandra znowu poczuła, że jakaś ciemna i posępna chmura wisi nad głową Chloe. Zadrzała. Może tarot coś wyjaśni... A może nie... Choć Cassandra zdążyła się już przyzwyczaić do swego daru przewidywania przyszłości, używała go jednak ostrożnie. Nie była wcale pewna, czy chce wiedzieć, co przeznaczenie szykuje dla Chloe Post.

Gdy po spotkaniu z Morganem Caro dotarła wreszcie do Londynu, czuła się tak, jakby miała się za chwilę rozchoro-

wać. Dokuczało jej pulsowanie w skroniach i gorąco. Minerva nie zauważyła tego i niechętnie weszła za matką do domu, zagubiona we własnym, smutnym świetle.

Patricka nie było. Zostawił na stoliku w hallu kartkę z wiadomością, że wróci późno, lecz głosy dochodzące z salonu wskazywały na to, że zastały Larcha. Garo znalazła go w pokoju wyciągniętego na kanapie, w towarzystwie dwóch młodych ludzi. Jeden z nich kołysał się na krześle; stopy obute w tenisówki położył swobodnie na oparciu fotela. Caro nie znosiła takich obyczajów. Nikt z obecnych nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Cześć - powiedziała w końcu.

- O, cześć - odpowiedział Larch, tonem dając jej do zrozumienia, że swoim niezapowiedzianym przybyciem przeszkadza mu w pracy.

Caro przeniosła wzrok na jego gości. Żaden z nich nie raczył nawet wstać. Zmuszony ich przedstawić, Larch wyrzekł cierpiętniczym tonem:

- Ach, tak. To jest Nigel, a to Gary.

Czy ona nie widzi, że jestem zajęty, pomyślał przy tym. Zauważyła, że jej nie przedstawił swoim znajomym. Postanowiła zrobić to sama:

- A ja jestem Caroline Barstow, właścicielka tego domu, panowie.

Powiedziała to w taki sposób, że Nigel zdjął nogi z fotela.

- Gary i Nigel to moi podopieczni - wyjaśnił Larch nie spieszony.

„Podopieczni” oznaczało w języku Larcha młodocianych przestępców.

Caro była wściekła. Przecież jasno dała mu do zrozumienia, aby nie przenosił swojej pracy na teren jej domu. Zastanawiała się, jak powinna postąpić w tej sytuacji, gdy do pokoju weszła Minerva.

Zobaczywszy, że Gary mierzy jej córkę bezczelnym spojrzeniem, Caro zapragnęła, aby on i Nigel wynieśli się stąd natychmiast.

Właśnie otwierała usta, aby im to powiedzieć, gdy Larch ubiegł ją słowami:

- Minervo, poznaj moich młodych przyjaciół, Nigela i Gary'ego. Może się okazać, że macie ze sobą wiele wspólnego.

Za jego plecami ci dwaj uśmiechali się do siebie głupkowato.

- Cześć - pozdrowiła ich Minerva, która ceniła wszelkie postawy kontestacyjne.

Caro, wściekła, przerwała te prezentacje:

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym, abyście odbyli wasze zebranie gdzie indziej. Mam tu kilka rzeczy do zrobienia.

- W porządku, Caroline - zgodził się Larch. - Przeniesiemy się do kuchni.

Caro utkwiała w nim nieugięte spojrzenie.

- Mam kilka rzeczy do zrobienia zarówno tu, jak i w kuchni.

- Aha, rozumiem - powiedział Larch ironicznie. Gdy wychodzili, zapytała:

- A gdzie jest Emily?

- Emily znalazła sobie pracę - odparł Larch. - Pracuje jako recepcjonistka w galerii sztuki, która zwie się dosyć trafnie Galerią.

- Naprawdę? To wspaniale! - Caro uczuła, że w związku z dobrą nowiną poprawia jej się nastrój.

- Niestety, mnie się "to niezbyt podoba. Zbiera się tam wytworne towarzystwo, jego rozplotkowani satelici oraz ci, którzy mają więcej pieniędzy niż zdrowego rozsądku. To zajęcie całkowicie nieodpowiednie dla kogoś, kto tak łatwo ulega wpływom jak Emily. Wygląda jednak na to, że postanowiła nie liczyć się z moim zdaniem w tej sprawie.

Och, i bardzo dobrze, pomyślała Caro. Nie może być lepiej.

- Bez wątplenia, skończy się to wszystko płaczem. - Larch zwrócił się do chłopaków: - Chodźcie, idziemy.

Zmierzając za Larchem ku drzwiom, Nigel wyjął grzebień i zaczął przeczesywać swoje proste, jasne włosy. Caro

zauważyła, że na dłoni ma sporych rozmiarów tatuaż, przedstawiający dwa związane serca, opatrzone podpisem: „Nigel i Mandy”. Bóg jeden wie, co dał sobie wytatuować na piersi. Ile on może mieć lat? Pewnie ze czternaście. Gdy byli już w drzwiach wejściowych, usłyszała, jak Larch pyta:

- O której masz się jutro stawić w sądzie, Gary? Krótkie „nie wiem” stanowiło całą odpowiedź. Gdy wyszli, Minerva powiedziała surowo:

- Mamo, nie powinnaś była tego robić.

- Czego?

- Traktować ich w ten sposób. Pewnie pochodzą z rozbitych rodzin. To nie ich wina, że zeszli na złą drogę. Prawdopodobnie odczuwali brak wielu rzeczy - zakończyła swą tyradę.

Wielu rzeczy? Na pewno nie brak środków do życia, skoro mogli sobie pozwolić na kupno drogich tenisówek, markowych džinsów i skórzanych kurtek, które leżały na kanapie, gdy Caro weszła do pokoju.

- Nie traktowałam ich w żaden szczególny sposób. To Larch zachował się nieodpowiedzialnie. A skoro już o tym mowa, jest mnóstwo osób, które pochodzą z rozbitych rodzin albo mają za sobą jeszcze gorszą przeszłość, a nie trafiają do sądu dla nieletnich.

Jej córka wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam tylko, że powinnaś wiedzieć, jak to zabrzmiało.

Zachowałaś się jak skończona konserwatystka. Myślisz, że tata pozwoliłby mi zrobić tatuaż?

Caro odrzekła zgryźliwie:

- Jeśli tylko zastaniesz go w odpowiednim nastroju, z pewnością pozwoli ci nawet założyć sobie kolczyk w nosie.

Niepotrzebnie to powiedziała.

- Naprawdę tak myślisz? Może go o to poproszę.

- Na razie proponuję, abyś poszła się rozpakować. Jutro idziesz do szkoły.

- Ohyda! - skrzywiła się Minerva, wychodząc z pokoju.

Caro położyła się wcześniej, ale nie mogła zasnąć. Zażyła tabletkę nurofenu, ale ból głowy wciąż jej dokuczał i nie mogła się skupić na czytaniu. Cierpienie, które odczuwała przez lata na myśl o Morganie, nagle wezbrało w niej na nowo. Nie potrafiła dłużej udawać, że wszystko jest w porządku. Chloe Post („Caroline, oto moja narzeczona...”) na stacji kolejowej w Newcastle znów stanęła jej przed oczami. Caro poczuła się tak, jakby ktoś zadał jej cios nożem w samo serce.

Nie mogła uleżeć w łóżku. Była wzburzona, chciało jej się krzyczeć. Odrzuciła prześcieradło, wciągnęła dzinsy i trykotową koszulkę i zeszła do kuchni, po której zaczęła chodzić tam i z powrotem, szlochając głośno. Potem żal uleciał i ogarnęła ją wściekłość. Szybko wyjęła z kredensu kieliszek, napełniła go po brzegi czerwonym winem, wypić ją jednym haustem, a potem cisnęła naczynkiem o przeciwległą ścianę. Roztraskało się w drobny mak, zostawiając na miejscu swego lądowania małą, purpurową plamkę.

- To niesprawiedliwe! - krzyknęła Caro. - To po prostu cholernie niesprawiedliwe!

Z okna sypialni Minerva dojrzała wracającą do domu Emily i zagroziła jej drogę w drzwiach wejściowych.

- Ciociu Emily, wydaje mi się, że mama nie czuje się najlepiej - wyszeptwała konspiracyjnie. - Krzyczała w kuchni i chyba przed chwilą coś rozbiła.

Emily spojrzała badawczo na siostrzenicę.

- Gdzie byłaś, kiedy to wszystko się działo? Nie zdenerwowałaś jej niczym?

- Ale skąd. Przygotowywałam się do jutrzejszych lekcji. Wyglądało na to, że Minerva mówi prawdę.

- Wracaj do swoich zajęć i zostaw to mnie. Pewnie ma po prostu zły dzień, nic więcej.

Emily przeszła przez hall i lekko zapukała w drzwi kuchni.

- Kto tam?

Cokolwiek Caro przeżywała przed chwilą, teraz zachowywała się zupełnie spokojnie.

- To ja, Emily. Mogę wejść?

- Tak, oczywiście.

- Caro, czy wszystko w porządku? Minerva mówi, że krzyczałaś i tłukłaś naczynia.

- Dziwi mnie, że Minerva w ogóle słyszy cokolwiek z tymi swoimi słuchawkami na uszach - odparła Caro automatycznie. - A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak, wszystko jest w porządku. I zawsze już tak będzie.

Niepewna, jak należy interpretować słowa siostry, Emily zapytała:

- Ale co się stało? Czy chodzi o Morgana?

- Owszem, ale rozmowa na ten temat niczego nie zmieni. Morgan zamierza poślubić pannę Post, to wszystko.

To wszystko.

Nagle ogarnęło Caro dziwne zubożenie. Jej wzrok spoczął na chwilę na małym szklanym wazonie z kwiatami, który ktoś - zapewne Emily - postawił na kredensie. Zachwycający widok jaskrawoczerwonych, pomarańczowych i żółtych aksamitnych kwiatów miał przez lata pozostać w pamięci Caro; ta martwa natura zawsze kojarzyć jej się będzie z końcem romansu, który właściwie nigdy się nawet nie rozpoczął.

CZERWIEC

Po wyjeździe Morgana i Chloe do Londynu Cassandrze wydawało się, że chmury całkowicie przesłoniły słońce. Monotonne, podobne jeden do drugiego dni w Armitage Lodge stały się jeszcze dłuższe i bardziej ponure niż zwykle, a wieczorami nawet lampy zdawały się płonąć przyćmionym światłem. Cassandra była stale rozdrażniona i zaprzestała układania z Deirdre Ricketts kwiatów w kościele, tłumacząc się tym, że ma mnóstwo innych rzeczy do zrobienia. Jak tylko mogła, starała się unikać matki, czując, że Leonora nie zawahałaby się przed jej ośmieszeniem, gdyby tylko nadarzyła się ku temu sposobność. A potrafiła ranić bardzo boleśnie.

Opinia Leonory o przyszłej żonie Morgana była bardzo pozytywna; bezustannie nieprzychylnie porównywała własne córki (oczywiście na ich niekorzyść) do nowego „nabytku” rodziny. Morgan ma szczęście, powtarzała bez końca.

Słuchając tego, Clara myślała ze smutkiem, że gdyby jej matka była niegdyś tak życzliwie nastawiona do jej, Clary, adoratorów, ona także mogłaby być teraz zamężna i mieć dzieci. Nawet spotkanie z Sethem podczas trwania wizyty Chloe i Morgana - okazało się niemożliwe, gdyż Leonora wymagała od córek, aby były nieustannie pod ręką, gotowe na każde jej zawołanie, i nie miała zamiaru żadnej pozwolić na absencję. Nie wiem, co zrobię, gdy stracę Setha, myślała Clara. Ale na pewno coś zrobię. To będzie jakiś desperacki krok.

Julia także była pogrążona w zadumie. Czuła, że nadchodzący ślub okaże się pomyłką. To prawda, Chloe jest piękna i bogata, co z pewnością ma duże znaczenie, ale Julia nie znajdowała pomiędzy nią i Morganem żadnych widomych objawów wzajemnego zrozumienia, dzięki któremu podobne związki mogą się utrzymać. Cóż, ich małżeństwo może się dobrze układać w Londynie, przynajmniej przez jakiś czas, ale tu, w Northumberland... to zupełnie inna sprawa. Tutaj nigdy im się nie uda. Ale naturalnie Leonora chciała, aby małżeństwo doszło do skutku; kierowała się przy tym -jak zwykle - zupełnie niewłaściwymi pobudkami. Obchodziły ją tylko uroda i pieniądze, choć przede wszystkim -pieniądze. Clara odczuwała przykrą niepewność co do własnej przyszłości. Dlatego poprosiła Cassandrę, aby powróżyła jej z kart do tarota. Cassandra niechętnie odniosła się do tego pomysłu, choć właściwie nie umiała powiedzieć dlaczego.

- Och, proszę cię - nalegała Clara. - Proszę cię. Niepokój Cassandry nasilił się.

- Och, chyba nie, Claro. Muszę być w odpowiednim nastroju. Inaczej nic z tego nie wyjdzie.

Gdy Clara czegoś chciała, potrafiła być nieznośna.

- Och, proszę. Tylko ten jeden raz. Proszę, zgódź się. Cassandra opierała się dwa dni, aż w końcu się poddała.

- Dobrze. Ale pamiętaj, nie mogę ci niczego obiecać na pewno.

- Nie, oczywiście że nie. Kiedy zaczynamy? Zirytowana Cassandra odpowiedziała zgryźliwie:

- Och, na litość boską, Claro! Czy wytrzymasz do jutrzejszego wieczora? Clara poczuła skruchę.

- Przepraszam, że cię tak zanudzam. Oczywiście że wytrzymam.

Dziękuję ci, Cassandro.

Nazajutrz więc, o dziesiątej wieczorem, znalazły się obie w pokoju Cassandry i zajęły miejsca po przeciwnych stronach małego, okrągłego, palisandrowego stolika. Siedziały

spowite żółtym kręgiem światła, jakie rzucała stojąca lampa z pergaminowym kloszem. Reszta pokoju tonęła w mroku, znieruchomiła, jakby zastygła w oczekiwaniu.

Talia kart do tarota była stara; Cassandra przed wielu laty dostała ją w prezencie od swojej guwernantki, która twierdziła, że posiada dar jasnowidzenia, i doszukawszy się podobnych uzdolnień u swej uczennicy, nauczyła ją, jak z nich korzystać. Karty były bardzo duże i miały poobrywane rogi. Po latach używania stały się miękkie, niemal plastyczne. Ponieważ były stale w użyciu, pojawiły się na nich brązowe ślady palców, lecz ich intensywne kolory nadal zachowały jaskrawość. Clara doświadczyła znajomego dreszczyku podniecenia, połączonego ze strachem.

- Co mam zrobić?

- Potasuj.

Ponieważ karty nie miały ostrych krawędzi i nie były tak śliskie jak nowoczesne karty do gry, nie było to wcale łatwe i Clara - która i tak już była zdenerwowana - upuściła talię na ziemię.

- O, widzę „smyczek” - powiedziała. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie, do wróżby trzeba użyć całej talii.

- Co teraz? - Clara położyła karty na stoliku.

- Przełóż je, proszę, lewą ręką. Clara wykonała polecenie.

- A teraz wybierz jedną z kupek.

Cassandra pochyliła głowę i zaczęła rozkładać karty - karty, w których, być może, znajdował się klucz do przeznaczenia Clary. Mrok w sypialni gęstniał i stawał się coraz bardziej przytłaczający. Wokół światła, niczym niemi widzowie, zaczęły gromadzić się cienie. Clara zwalczyła w sobie pokusę zapytania: „No i co? Co widzisz?” Zacisnęła swoje pulchne dłonie na kolanach i usiłowała się nie wiercić.

Cassandra zaczęła mówić, z namaszczeniem dobierając słowa.

Jej pierwsze uwagi były bardzo ogólne i choć Clara nawet je zapisała, nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób mogłyby się odnosić właśnie do niej.

Cassandra rzuciła na stół jeszcze kilka kart, wśród których Clara dostrzegła „kochanka”. Nastąpiła długa pauza. Clara zaczynała już niecierpliwie ssać koniec ołówka, gdy Cassandra powiedziała nagle:

- To ciekawe. Coś się wydarzy... Pojawi się mężczyzna. Cudzoziemiec, i chyba w jego imieniu jest litera „f”. Może to „t”, ale nie, chyba jednak „f”. Będziesz... Och, ale to nie ty, to Julia. Julia będzie miała kłopoty.

Odnajdzie nić łączącą ją z przeszłością. A może to przeszłość przyjdzie do niej? Ale niedobra przeszłość, i gdy to się stanie, powinna odwrócić się do niej plecami.

Clara, która nie chciała słuchać wróżby dla Julii, niecierpliwie zaszurała stopami po podłodze.

- Będzie to miało wpływ także na ciebie. Na nas wszystkich. Nie podoba mi się ten układ kart, cokolwiek zapowiada...

- Och - wyrwało się Clarze.

- Widzę tu poważny podział rodziny. Poprzedza go przeprowadzka.

- Czy chodzi o mnie?

- Prawie na pewno o ciebie, Claro.

- Och - powtórzyła jeszcze raz Clara, myśląc o Secie z przyływem optymizmu. - Może wyjdę za mąż.

Choć Cassandra nie powiedziała tego głośno, uważała takie rozwiązanie za mało prawdopodobne.

- Odbędzie się jakiś ślub, ślub członka rodziny, ale z kart wychodzi mi, że dotyczy mężczyzny, może Morgana.

Clara posmutniała.

- Co nie znaczy, że nie może być dwóch ślubów - dodała Cassandra uprzejmie. - Może tego jeszcze nie widać. Weź dwie karty.

Clara spełniła polecenie.

- Pieniądze. Ktoś dostanie mnóstwo pieniędzy. Bardzo do-

bra wróżba, ale karty mówią też, aby się tych pieniędzy wystrzegać. To się stanie nagle. A wtedy nastąpi jakiś nieodwracalny fakt.

- Może chodzi o matkę - zasugerowała Clara, starając się, aby w jej głosie nie dało się wyczuć nutek nadziei.

- Może - zgodziła się Cassandra, myśląc jednocześnie: Moim zdaniem, nie chodzi o matkę. - Widzę tu też utratę pieniędzy, ale na innym tle. Utratę spowodowaną niepomyślnymi okolicznościami. Lekkomyślnym szafowaniem.

Cassandrze nie podobał się kierunek, w którym zmierzała wróżba. Karty nie zapowiadały prawie nic dobrego. Cassandra umilkła na chwilę, a potem - wbrew własnemu przekonaniu - ciągnęła dalej:

- Jeśli jesteś pewna, że chcesz wiedzieć więcej - jedźmy dalej. Wyciągnij jeszcze jedną kartę.

Clara wybrała kartę.

- Zmiany, zmiany, zmiany... - Głos Cassandry brzmiał sennie, niewyraźnie, jakby z oddali. - Niestety, nie na lepsze.

Doprawdy, pomyślała Cassandra, z wyjątkiem części dotyczącej pieniędzy, cała wróżba staje się coraz bardziej przygnębiająca.

Wiedziała, że nie powinnyśmy były siadać do tego stolika.

Po chwili znów skoncentrowała się na kartach. Nagle wstrząsnął ją dreszcz przerażenia. Clara obserwowała, jak siostra blednie i gwałtownie nabiera powietrza w płuca, a potem zakrywa ręką usta.

- Cassandro, co się stało? Co zobaczyłaś? Cassandra zamachała rękami.

- Śmierć. Nadchodzi śmierć. Śmierć połączona z ogromnym wstrząsem.

Gwałtowna śmierć. „A gdy nadejdzie, on nie będzie na nią przygotowany”. Och! Och, nie! Karty mówią, że chodzi o kobietę. „Ona nie będzie na nią przygotowana”. To okropne, to straszne!

Będąc mimo wszystko amatorką w tego rodzaju wróżbach, Cassandra nie potrafiła wstrzymać ciągu straszliwych przepowiedni. Uczuła, że tarot wymyka jej się spod kontroli.

- Dajmy spokój, Claro. Naprawdę nie czuję się na siłach tego kontynuować.

Wstrząśnięta, gwałtownie wstała od stołu, potrącając go tak, że talia ześlizgnęła się po powierzchni wypolerowanego blatu i opadła kaskadą na podłogę... Karty przedstawiające miecze, różdżki, kieliszki, monety i pentagramy ułożyły się same w przypadkowy wzór. Na samej górze Clara zobaczyła wizerunek „diabła”.

Kiedy znalazła się z powrotem w swoim pokoju, uprzytomniła sobie, że Cassandra nie wyjawiała jej, kogo właściwie czeka owa gwałtowna śmierć. Naturalnie teraz nie mogła już siostry o to zapytać. Nigdy dotąd nie widziała Cassandry tak wstrząśniętej. Nie wiedziała, że nawet gdyby ją o to zapytała, nie otrzymałaby żadnej odpowiedzi, gdyż Cassandra sama nie знаła szczegółów przepowiedni.

Clara otworzyła okno sypialni. Na dworze czerwcową noc, tak spokojną podczas wróżby Cassandry - zupełnie, jakby i ona też wstrzymywała oddech w oczekiwaniu - teraz znów rozświetliła życiem. Ponieważ posiadłość znajdowała się tak daleko na północy, w powietrzu wciąż się czuło chłód. Księżyc w pełni wędrował wysoko po niebie; jego bladą twarz przesłaniały kłęby chmur. Sowy pohukiwały. Clara usłyszała dobiegające z oddali, pojedyncze szczeknięcia lisa.

Ciekawie, co robi teraz Seth? Może pójdę go jutro odwiedzić, pomyślała. Ziębnięta, ale już spokojniejsza, zamknęła okno swojej samotnej sypialni.

Nazajutrz Julia postanowiła wybrać się w odwiedziny do Meredith - głównie po to, aby poznać jej zdanie na temat planowanego małżeństwa Morgana i Chloe. Meredith, dawna nauczycielka i sędzia pokoju, była zawsze bardzo rozsądna w swych opiniach.

Ku wielkiej uldze Julii, generała nie było w domu.

- Gdzie twój ojciec? - zapytała przyjaciółkę.

- Gra w kregle - odparła Meredith. - Zawiozłam go na pole pół godziny temu. Muszę przyznać, że to prawdziwe szczęście pozbyć się go czasem z domu.

Julia też była o tym głęboko przekonana. -1 co myślisz o swojej przyszłej synowej? - zapytała ją Meredith.

- A co ty o niej myślisz?

- Chcesz usłyszeć taktowną odpowiedź czy prawdę?

- Oczywiście że prawdę, inaczej jaki sens miałoby pytać cię o to?

- Wydaje mi się, że w Chloe nie ma żadnej głębi - odpowiedziała jej przyjaciółka zdecydowanie. - Człowiek dostaje od niej tylko to, co widzi. A moim zdaniem, Morgan potrzebuje kogoś z bogatszym wnętrzem. Może kogoś takiego jak Caro? Och, nie, pomyślała Meredith. To ostatnia rzecz, jakiej bym pragnęła. Na chwilę powróciła myślą do powikłań przeszłości i natychmiast orzekła w duchu: Wszystko, tylko nie to.

Głośno zaś powiedziała:

- Ale pewnie jestem w błędzie.

- Nie. Wydaje mi się, że masz rację. Moim zdaniem, poza wspólnym kręgiem towarzyskim nie mają ze sobą nic wspólnego.

- Rozmawiałaś o tym z Morganem?

- Morgan nigdy mi się nie zwierza. Rozmawia tylko z babką - Julia poczuła, że zabrzmiało to tak, jakby była zazdrosna o pozycję swojej matki w życiu Morgana.

- Dobrze, w takim razie co ona o tym myśli?

- Och, nie powiedziałyby mi tego... Znasz matkę. Ublizające porównania są bardziej w jej stylu. Wiem, że aprobeuje urodę i majątek Chloe, bo bez przerwy nam to powtarza, ale podejrzewam, że nie ma całkowitej pewności co do jej pochodzenia. Słyszałam, jak mówiła do Morgana: „Wiem wszystko o jej rodzinie ze strony ojca. To Ameryka-

nie, jak sędzę. Handlarze, co jest godne ubolewania. Słyszę, że handlują gazetami. A co z jej matką? Kim była, nim wyszła za mąż? Spodziewam się, że o jej rodzinie także coś wiadomo".

Meredith roześmiała się głośno.

- Wyobrażam to sobie. Leonora naprawdę ma klasę. Jest zupełnie jak z powieści Ivy Compton-Burnett. Co Morgan jej odpowiedział?

- Nie było słyhać - wyjaśniła Julia, śmiejąc się także, choć z pewnym przymusem.

- Skoro już mowa o rodzicach... Mam nadzieję, że chcą mieć dzieci?

- Pytanie, czy chcą tego, czy nie, nie ma żadnego sensu. Otrzymali po prostu od matki polecenie, aby je mieć.

- Nie wyobrażam sobie Morgana w roli ojca.

- A Chloe w roli matki?

- Też chyba nie. Jakoś dziwnie nie sprawiła na mnie wrażenia osoby dostatecznie... cielesnej.

- Ach, właśnie! - wykrzyknęła Julia. - Wciąż mi się wymykało to określenie, a ty ujęłaś sprawę tak trafnie. Nie jest wystarczająco cielesna. W tym tkwi cały problem.

- Cóż, może jeszcze zrezygnują z małżeństwa - powiedziała Meredith, żywiąc jednak nadzieję, że tak się nie stanie. - „To była pomyłka”, i tak dalej.

~ Nie sędzę. Nie teraz. Druga sprawa, która nie daje mi spokoju, to fakt, że ona posiada tyle pieniędzy, a Morgan nie ma nawet pracy.

- Jeśli jest tak bogata, jak mówią, może nie będzie musiał pracować.

- Owszem, będzie musiał - odparła zdecydowanie Julia. - Choćby z szacunku dla samego siebie! Właśnie teraz stanie się to ważniejsze niż kiedykolwiek.

Umilkła na chwilę.

- Wiesz, o kim wczoraj myślałam?

- Nie mam pojęcia - odrzekła Meredith. - O kim?

- O Fredericku. A raczej o Fredericku i o mnie.

Było to tak niespodziewane, że Meredith otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. „Major Fred” - to zawsze oznaczało kłopoty.

- Naprawdę? - spytała obojętnie. Czy Julia wciąż jest żoną Freda?

Prawdopodobnie tak. - O czym konkretnie?

Julia spojrzała gdzieś w przestrzeń.

- O naszym małżeństwie, a raczej o tym, jaką rolę matka odegrała w ucieczce Fredericka.

- Jesteś z nim w kontakcie?

- Na Boga, nie. O ile wiem, nie żyje. Cięż majora Freda stanął między nimi.

- Powinnaś przestać o nim myśleć - powiedziała Meredith stanowczo. -

Po co zaprzętać sobie tym głowę?

- Jest ojcem Morgana, a Morgan wkrótce się ożeni. Zdaniem Meredith, rozmowa zaczęła zmierzać w bardzo niewłaściwym kierunku.

- Czy Morgan wyraził kiedykolwiek chęć spotkania się z ojcem?

- Nie. Fred zniknął z pola widzenia, zanim Morgan przyszedł na świat.

Prawdopodobnie nawet nie wie, że ma syna.

- Właśnie, i uważam, że lepiej, aby tak zostało. Co powiesz na filiżankę herbaty? Niedługo będę musiała pojechać po ojca.

Patrząc na parujący czajnik, Meredith wróciła myślą do przeszłości.

Uczciwie mówiąc, myślała, Fred wydawał się wtedy taki pełen życia nam, prostym, wiejskim dziewczętom. Byłyśmy zupełnie niepodobne do londyńskich dziewczyn, które znał. To czasy sprzed mojej pierwszej wizyty w Londynie. I naprawdę w okolicy nie było zbyt wielu odpowiednich kandydatów do małżeństwa. Oczyma duszy znów go ujrziała. Prawdziwy junak. Powierzchowny wdzięk i otaczająca majora atmosfera tajemniczości uczyniły go w jej oczach obywatelem świata - a bez wątpienia także w oczach Julii. Ciekawe, co bym o nim myślała, gdybym spotkała go teraz? Pewnie nie byłabym zachwycona. Chociaż trzeba przyznać, że prezentował się atrakcyjnie. Później dopiero okazał się zwykłym, nie

odpowiedzialnym egoistą. Lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby nigdy nie wrócił.

Meredith wyniosła tacę z pokoju.

Tego samego wieczora napisała do Caroline: *Kochana Caro!*

Wielką przyjemność sprawiło mi to, że mogłam gościć u siebie Ciebie i Minerę przez cały tydzień, choć wielka szkoda, że Patrick nie mógł przyjechać z Wami. Trzymam kciuki za jego sztukę i za to, aby jak najdłużej nie schodziła z afisza. (Sama wiele bym za to dała, pomyślała Caro.)

Żyjemy tutaj zupełnie jak W tętniącym życiem ulu - z Le-onorą - jako królową pszczół w centrum, zupełnie jak za dawnych czasów. W końcu dane nam było poznać narzeczoną Morgana, Chloe Post. Muszę przyznać, że wydają mi się bardzo dziwną parą. Julia jest podobnego zdania. Na pozór ich związek mógłby uchodzić za doskonały. Dwoje przystojnych młodych ludzi, na dodatek bogatych. Nawet Leonora pochwała to małżeństwo! Wyobrażasz sobie? Ale... co z miłością? Mam wrażenie, że to wszystko jest jakoś dziwnie powierzchowne, pozbawione głębi; co będzie ich łączyć, gdy w końcu zostaną sami, skazani tylko na siebie? Wszyscy mężczyźni znikowali na punkcie Chloe, nie wyłączając Twojego dziadka, który bez przerwy powtarza, że to najpiękniejsza panna (sic!), jaką widział od czasu, gdy miał dwadzieścia jeden lat, co oznacza, że pamięć Twojej babki nie pozostała dla niego żywa. Świeć Panie nad jej duszą. W każdym razie, jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że małżeństwo dojdzie do skutku. Czy na „dobre i na złe”, to się dopiero okaże.

Do tego czasu jednak Leonora ma zamiar spoglądać na Postów z góry: na niego, bo popełnił ten błąd, że urodził się w Ameryce (która według niej wciąż pozostaje kolonią), a także dlatego, że dorobił się fortuny na wydawaniu prasy (handluje gazetami!); na nią, gdyż pochodzi z rodziny, o której Leonora nigdy nie słyszała, co może oznaczać tylko tyle, że pani Post (Veronica, tak ma chyba na imię) musi mieć dość niską pozycję

towarzyską. „Nie jest jedną z nas”. O to mniej więcej chodzi. Więc, jak widzisz, wszystkie oznaki wskazują na to, że coś się będzie działo, po czym prawdopodobnie nastąpi podział rodziny. Tyle o ślubach. Morgan twierdzi, że wszyscy zostaniemy zaproszeni, i mam zamiar wybrać się na ślub do Londynu. Byłabym wdzięczna, gdybyś zechciała mnie przenocować, oczywiście jeśli masz wolny pokój. O ile wiem, dokładna data nie została jeszcze ustalona.

Miejmy nadzieję, że wtedy Larch wyniesie się już z powrotem do swojej spalonej kuchni, pomyślała Caro, czytając ostatni fragment. Chociaż z pewnością będę tęsknić za Emily. Przebiegła wzrokiem pozostałą część listu. Meredith kończyła słowami:

Czy myślisz, że mój czarny słomkowy kapelusz będzie się nadawał na uroczystość w kościele? Może ozdobić go nową jedwabną różą? Wkładam teraz kapelusz raz na dziesięć lat, więc kupowanie nowego nie ma sensu. Nie będzie się nadawał, pomyślała jej córka. Z dwiema dziurami wyciętymi w denku może wyglądać dobrze jedynie na ośle. Jej matka była kobietą niezwykle inteligentną, lecz gdy chodziło o stroje, zupełnie nie miała wyczucia. A poza tym, czyż nie wkładała go ostatniego lata do pracy w ogrodzie? I czy jego rondo nie zaczynało się strzępić? Caro złożyła list Meredith na pół i wsunęła go do kieszeni. Postanowiła, że zaprotestuje przeciwko wszelkim próbom przywrócenia kapelusza do łask.

Sobie też kupi nowy kapelusz.

Jeśli mam spokojnie patrzeć, jak miłość mojego życia bierze ślub z kimś innym, pomyślała Caro ze łzami w oczach, powinnam wyglądać jak najlepiej.

Wieczorem Larch, odłożywszy na bok książkę „Zen a obsługa techniczna motocykla”, zwrócił się do Emily:

- Czy mogłabyś i ty na chwilę odłożyć swoją książkę, Emily? Chyba nadszedł czas, abyśmy odbyli poważną rozmowę.

Serce Emily zamarło. „Poważna rozmowa” oznaczała krytyczną ocenę wszystkich jej poczynań, po której zwykle następowała sprzeczka.

Niechętnie odłożyła książkę.

-Tak?

Jonathan chrząknął. Chyba zamierza wygłosić dłuższe przemówienie, pomyślała. Jednakże tym razem wyrzekł tylko jedno słowo.

- Galeria!

- Tak? - powtórzyła Emily.

- Więc?

- Co więc?

- Jak brzmi twoja decyzja?

- Znasz moją decyzję, Jonathanie. Zaproponowano mi skromną posadę recepcjonistki i przyjąłem ją. Tak brzmi moja decyzja. Czy musimy teraz o tym dyskutować? Jest bardzo późno.

Już raz rozmawiali na ten temat, ale Larch był zdecydowany podjąć go na nowo. Emily znów wzięła książkę do ręki.

- Tak, musimy teraz o tym dyskutować. Był czas, kiedy zapytałabyś mnie o radę przed uczynieniem tak istotnego kroku w życiu.

- Owszem, był, ale dawno temu; kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy, minęło już wiele lat. Od tamtej pory - również dzięki tobie - dojrzałam i czuję, że jestem zdolna do samodzielnego podejmowania decyzji.

Trochę ułagodził go fakt, że przyznała, iż miał na nią korzystny wpływ.

Nie tego jednak oczekiwał. Ucząc się, jak stać na własnych nogach, Emily przesadziła nieco ze swoim rozwojem i stała się nieposłuszna.

- W końcu to tylko praca. Nie rozumiem, o co to całe zamieszanie.
 - Nieodpowiednia praca, więc proszę cię, abyś ją rzuciła. Zrób to dla mnie.
 - Dla ciebie? To nie ma nic wspólnego z tobą. A poza tym, dlaczego sądzisz, że jest nieodpowiednia?
 - Emily...
 - Posłuchaj, Jonathanie. Dopiero co dostałam tę pracę. Lubię ją. Co masz przeciwko Galerii? To interes tak jak każdy inny, i choć z pewnością bywa tam zabawniej niż gdzie indziej, nie oznacza to, że będę uczestniczyła w nie kończącej się pijackiej orgii, jak zdajesz się uważać! - oświadczyła podniesionym głosem. Nie mogła też powstrzymać się od dodania: - A szkoda!
- Był zaskoczony jej drażliwością. Czyżby nie rozumiała, iż sugeruje odejście z Galerii wyłącznie dla jej dobra? Teraz on powiedział, bynajmniej nie rozbawiony:
- Jack Carey...

Emily wpadła we wściekłość.

- Och, więc o to chodzi! - przerwała mu gwałtownie. - Jack Carey nigdy nie tknął mnie nawet palcem. Widziałam go tylko z daleka. Nie sądzę, aby wiedział o tym, że w ogóle istnieję.
- To rozpustnik - oświadczył Larch, ignorując jej słowa. -Ma fatalną opinię.
- Ale to nie ma nic wspólnego ze mną - Emily z trzaskiem zamknęła książkę. - A gdzie, twoim zdaniem, powinnam pracować, skoro nie w Galerii?

Nie zważając na jej sarkazm, Larch zastanawiał się przez chwilę, po czym odrzekł:

- Choćby w bibliotece rejonowej. Może tam potrzebują sekretarki?
- Do diabła z biblioteką rejonową.

Emily rzuciła książkę na podłogę i odwróciła się do niego plecami. Zgasiła światło. Ponieważ jedyna lampka nocna znajdowała się po jej stronie łóżka, znaleźli się w zupełnych ciemnościach.

Gdy Larch zastanawiał się, co powinien teraz zrobić, przyszedł mu do głowy szlachetny pomysł, aby kochać się z Emily i w ten sposób załagodzić konflikt. Z rumieńcem gniewu na twarzy jego przyjaciółka była zadziwiająco ponętna. Jonathan wślizgnął się pod kołdrę i przytulił się do całkowicie nieprzejeđnanych pleców Emily. Następnie wsunął rękę pod jej nocną koszulę i dotknął uda. Reakcja była natychmiastowa:
- Ty też idź do diabła! - krzyknęła Emily, odpychając jego dłoń.

Gdy tego wieczora Patrick wrócił do domu po spektaklu, wydało mu się, że z sypialni szwagierki dobiegają go odgłosy sprzeczki. Może jednak się mylił, bo światło w jej pokoju było zgaszone. Z drugiej strony, nie było najmniejszego powodu, dla którego ludzie nie mieliby się kłócić w ciemności. Odsunąwszy od siebie te myśli, otworzył drzwi do własnego pokoju.

Gdy wszedł, Caro siedziała w łóżku czytając książkę. Patrick ucieszył się, że żona nie śpi. Wolał od razu podzielić się z nią złymi wiadomościami.

- Jak poszło? - Caro położyła otwartą książkę obok siebie na łóżku.

Patrick zobaczył, że czyta „Portret damy” Henry Jamesa. - Mam nadzieję, że graliście przy pełnej widowni.

- Nie, nic z tych rzeczy.

Usiadł obok żony na łóżku, zastanawiając się, jak jej o tym powiedzieć.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza. Wreszcie Caro zapytała:

- O co chodzi? Co się stało?

- Po dzisiejszym spektaklu kierownictwo zwołało zebranie zespołu.

Obawiam się, że schodzimy z afisza pod koniec miesiąca.

Widać było, że jest do głębi rozczarowany.

- Och, Patricku, co za pech. Kochanie, tak mi przykro!

W spontanicznym odruchu współczucia i czułości, z oczyma pełnymi łez, ujęła rękę męża w swoje dłonie. Zmęczony

i pokonany, Patrick złożył głowę na jej ramieniu. Zbierało mu się na płacz.

- Och, Caro...

- W porządku, kochanie, jestem z tobą.

Tej nocy kochali się - najpierw delikatnie i ostrożnie - a potem - w miarę narastania rozkoszy - ze szczerą, gwałtowną namiętnością wcześniejszych lat, dopóki w końcu nie nastąpiło jednoczesne spełnienie. Gdy było po wszystkim, zasnęli, spleceni wzajemnym uściskiem.

B

Nazajutrz rano Emily i Caro jadły razem skromne śniadanie.

- A gdzie Minerva? - spytała Emily. - Nie idzie dzisiaj do szkoły?

- Już pojechała. Smythe'owie ją zabrali. Nie była tym specjalnie zachwycona. Wdzięczyła się do nich, gdy z nimi rozmawiała, ale do mnie wycedziła przez zaciśnięte zęby, że wołałaby, aby to jej własna rodzina podwoziła ją do szkoły. Jednakże kiedy to ja ją zabieram, co, jak wiesz, zdarza się niemal codziennie, narzeka przez całą drogę.

- To dlatego, że jest w trudnym wieku - pocieszyła siostrę Emily, smarując masłem grzanekę.

- Może - odpowiedziała Caro z roztargnieniem. - Chciałabym wiedzieć, kiedy wyrasta się z tego szczególnego wieku i wchodzi w nowy.

- Podobno około osiemnastego roku życia.

- Osiemnastego! Chryste! Innymi słowy, oznacza to, że mam przed sobą jeszcze pięć lat tego koszmaru.

- Jeśli dziecko jest posłuszne, może to nastąpić już około piętnastego roku życia.

- W takim razie nie ma dla mnie nadziei - westchnęła Caro.

- Gdzie Patrick?

- Jeszcze śpi. Wczoraj wrócił bardzo późno. Kierownictwo zwołało zebranie zespołu, aby poinformować, że sztuka schodzi z afisza pod koniec miesiąca.

- Och, biedny Patrick! A miał takie dobre recenzje -zmartwiła się Emily, myśląc jednocześnie: Co prawda, tylko kilka.

Lojalna Emily!

Wobec tego Caro powiedziała to zamiast niej.

- Owszem, kilka, chociaż była też jedna czy dwie dość dalekie od zachwyty.

Prawdę mówiąc, zebrało się ich całkiem sporo.

Caro przypomniała sobie teraz fragment jednej z nich, który brzmiał mniej więcej tak: „Kiepskie aktorstwo Patricka Hollanda w głównej roli oraz jego powierzchowna interpretacja postaci, połączone z brakiem tempa spektaklu, powodują, że niezbyt zabawna inscenizacja po prostu się rozłązi”. Teatr, przyzwyczajony do tego rodzaju opinii, sprytnie zlekceważył większość tekstu, a zdjęcia Patricka przed budynkiem „Adelphi” opatrzone jedynie okrojonym podpisem: „...zabawna inscenizacja...”

- Cóż - powiedziała Emily, żując płatki kukurydziane. -Za to ja mam dla ciebie dobrą wiadomość: postanowiłam rzucić Jonathana.

- Och, to wspaniale! - wyrwało się Caro radośnie. - Och, nie!

Przepraszam, Em. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

- Spodziewam się, że z tego samego powodu, dla którego ja zdecydowałam się go pozbyć. - Emily ogarnął filozoficzny nastrój. -

Jeszcze mu o tym nie powiedziałam.

- Gdzie on jest?

- Wyszedł z domu wcześniej rano strasznie rozwścieczony. Doprawdy, gdy nie dostaje tego, czego chce, zachowuje się jak pięcioletnie dziecko.

- Emily, zmieniłaś się.

- Jestem pełnoletnia, to wszystko.

Trzymając w dłoniach filiżankę czarnej kawy, Caro podeszła do okna. Kotka sąsiadów, zwinięta w kłębek, drzemała na murze. Jaskrawe słońce, zwiastun nadchodzącego lata, pokrywało lśniąca pozłotą rosnące w ogródku chwasty i dodawało przepychu skromnym mleczom i jaskrom. Pośród nich,

dumnie niczym król, kwitł janowiec - jedyny krzew wystarczająco wytrzymały, aby przetrwać, mimo że Caro nie dbała o ogród. Naprawdę powinnam się nim zająć, pomyślała po raz setny. Nigdy nie mogła znaleźć na to czasu.

- Kiedy masz zamiar mu o tym powiedzieć?

- Gdy go znowu zobaczę. Prawdopodobnie dziś wieczorem. Muszę przyznać, że trochę się tego boję.

Zanosilo się na jeszcze jedną pełną napięcia kolację.

- A co potem?

- Cóż, jedno z nas będzie musiało się wyprowadzić do naszej spalonej siedziby.

- Niech on się wyprowadza - oświadczyła Caro stanowczo. - Ty możesz zostać tutaj. Pomijając wszystko inne, stąd dużo łatwiej dojechać do Galerii... A propos, jak ci tam idzie?

- Jest bardzo przyjemnie. To znaczy - dużo roboty, ale też sporo dobrej zabawy. Dopiero tam zdałam sobie sprawę, od jak dawna nie spotkało mnie nic miłego.

Nietrudno było w to uwierzyć.

- Kto ją prowadzi?

- Państwo James i Victoria Hartingowie. Są naprawdę bardzo mili. Teraz przygotowują wielką retrospektywną wystawę obrazów Jacka Careya. Jonathan uważa go za diabła wcielonego.

Nazwisko Carey wydało się Caro znajome.

- Co kilka lat wybucha przez niego jakiś skandal. Głośno o nim w prasie brukowej. Chyba lubi kobiety!

- Jonathan nazwał go rozpustnikiem. To z powodu Careya tak się pieni. Najwyraźniej obawia się, że moja cnota jest w niebezpieczeństwie.

- A jest?

- Nie, niestety. Boże, naprawdę jest już tak późno? Muszę pędzić!

Wyrazy współczucia dla Patricka. Do zobaczenia wieczorem.

Po wyjściu Emily Caro jeszcze przez chwilę wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt przestrzeni, po czym wolno wstała i zabrała się do swoich codziennych zajęć.

Tego popołudnia Minerva wróciła ze szkoły o wpół do piątej. Państwo Smythe zgodzili się uprzejmie podwieźć ją do domu. Choć nie była tym zachwycona, zachowywała się wzorowo. Toteż pani Smythe bezustannie powtarzała swoim córkom, jak dobrze ułożoną dziewczynką jest mała Hollandówna. Minerva rezerwowała swoje niezadowolenie dla matki. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, dlaczego właściwie to robi. Niechęć niepostrzeżenie stała się jej niemal automatyczną reakcją na każdą prośbę Caro. Była zła, gdy znalazła kartkę z wiadomością, że Caro musi zostać w szkole na jakichś dodatkowych zajęciach. *Kolacja będzie późno, pisała matka, prawdopodobnie około dziesiątej, więc jeśli przyjdiesz głodna, zrób sobie kanapkę i postaraj się odrobić lekcje, zanim siądziemy do posiłku.*

- Wciąż muszę chodzić z kluczem na szyi - poskarżyła się głośno Minerva. - Wszyscy mnie zaniedbują!

Nieco pokrzepiona dramatyzmem własnych słów, skierowała się w stronę kuchni i zabrała do przyrządzania gigantycznej kanapki z dżemem. Zjadła ją i zaczęła przeszukiwać szafki z żywnością. Dokopała się do kwadratowej puszek po herbatnikach, w której, jak się okazało, nie było nic poza kilkoma czerstwymi okruszkami.

- A w dodatku mam matkę, która nigdy nie piecze ciasta, chociaż inne matki to robią.

Odstawiła puszkę na miejsce, po czym z głośnym trzaskiem zamknęła szafkę. W domu Hollandów panowała zasada, że każdy powinien po sobie pozmywać. Posłuszna owej zasadzie Minerva otworzyła zmywarę do naczyń, aby włożyć tam talerz i nóż. Niestety, odkryła, że wewnątrz jest pełno czystych naczyń. Przypomniawszy sobie kolejną domową zasadę, głoszącą, że każdy, kto natknie się na zmywarę w tym szczególnym stanie, ma obowiązek ją opróżnić, zamknęła drzwiczki i umyła naczynia pod kranem. Tak jest szybciej, rozumowała, a przecież muszę jeszcze odrobić lekcje.

Odwróciła tornister do góry nogami i wytrząsnęła zeń na kuchenny stół górę zeszytów z oślimi uszami, długopisów ołówków i kluczy. Nagle usłyszała pukanie do drzwi.

- A niech to! - rozzłościła się. Zostawiła swoje zeszyty i ruszyła do drzwi. Na schodkach stało dwóch wyglądających znajomo młodych ludzi. W pierwszej chwili Minerva nie skojarzyła, kim są. Zupełnie zapomniała o młodocianych przestępcach Lar-cha.

- Czy pan Larch jest w domu? - zapytał jeden z chłopców.

- Nie, nie ma go. Nikogo nie ma. - Po czym dodała: - Wy jesteście Gary i... - zawahała się.

- Nigel - odpowiedział Nigel.

Stała naprzeciwko nich w swoim szkolnym mundurku. Oblizwała palce, które wciąż lepiły się od dżemu.

- Pan Larch prosił, abyśmy się tu z nim spotkali. Czy możemy wejść i poczekać na niego?

Minervie wydało się to dziwne, gdyż pamiętała (sama przecież zganiła za to matkę), że Caro kategorycznie zabroniła parchowi przyprowadzać do domu jego „trudne przypadki”

- Jasne że tak - powiedziała. Poczowała, że skierowana przeciwko Caro agresja zaczyna z niej wyparowywać.

Zaprowadziła chłopaków do kuchni.

- Macie ładne obicia - odezwał się Gary.

- Nieźle - odparła Minerva, spoglądając uważniej na swoje otoczenie, którego zwykle nie dostrzegała. - Chcecie colę?

- A masz jakiś alkohol?

- Nie, nie sądzę. - W istocie Minerva nie miała pojęcia jak odpowiedzieć na to pytanie, ale wolałaby umrzeć niż się do tego przyznać.

Nigel otworzył lodówkę.

- Zobacz, Gary, co tu mamy.

Jego zachowanie zaintrygowało Minervę. Ona sama nigdy nie otworzyłaby cudzej lodówki, gdyby nie otrzymała na to wyraźnego pozwolenia. Nie zwracając się więcej do

dziewczynki, Nigel wyjął z lodówki butelkę wódki. Otworzył ją i upił łyk alkoholu. Potem podał butelkę Gary'emu, który także się napił. Następnie Nigel zwrócił się do Minervy:

- Jak się nazywasz?

- Minerva - odpowiedziała niechętnie, a potem dodała: -Holland.

Reakcja Gary'ego była pogardliwa:

- Ale szykownie!

- Chcesz trochę? - Nigel wskazał na butelkę.

Po sekundzie wahania Minerva, która nigdy nie piła alkoholu, powiedziała:

- Tak, proszę.

Nigel wręczył jej butelkę. Obserwowana przez obu, pociągnęła wielki łyk. Gary pomyślał, że dziewczyna jest w porządku, nawet w tym szkolnym mundurku. Zastanawiał się, ile może mieć lat. Prawdopodobnie za mało.

Minerva poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Jej pierwszą reakcją była myśl, że wódka jest obrzydliwa. Zimna, a jednocześnie paląca. Parzyła ją w usta i gardło. Oczy dziewczynce zawilgotniały. Zdecydowana jednak nie tracić twarzy przed chłopakami, wypiła jeszcze jeden potężny łyk, a potem jeszcze jeden. Nagle wydało jej się, że świat pochyla się na prawo, a potem znów na lewo. Na szczęście siedziała na krześle. Wrażenie, że wszystko wymyka jej się spod kontroli, było przerażające. Ale potem niespodziewanie wszystko wróciło na swoje miejsce. Czowała się jak na rozhuśtanym okręcie. W tym momencie zadzwonił telefon. Gary rzucił Nigelowi ukradkowe spojrzenie i odwrócił wzrok w kierunku drzwi.

Dzwonił Larch.

- Minerva?

- Tak - powiedziała Minerva, czując, że na więcej nie potrafi się zdobyć. Pokój wokół niej znów zaczął wirować.

- Czy dzwonił Gary albo Nigel?

- Nie.

Spróbowała skoncentrować uwagę na stojącej na kredensie jarmarcznej pamiętce ze Staffordshire. Po drugiej stronie Larch zaczynał się niecierpliwić.

- Są tutaj - powiedziała w końcu.

- Tam? Przecież mieli przyjechać tutaj.

Gdzie jest „tutaj”, a gdzie jest „tam”, zastanawiała się niepewnie Minerva.

- Czy mógłbym porozmawiać z którymś z nich?

- Tak. - Tylko tyle była w stanie z siebie wydobyć. Co jakiś czas odczuwała mdłości. Bez słowa wręczyła słuchawkę Gary'emu.

- Cześć, Jonathan - powiedział Gary, wsuwając w usta gumę do żucia.

Minerva słyszała dochodzący z oddali, zirytowany głos Lar-cha, choć nie potrafiła rozróżnić słów, jakie Jonathan wypowiadał. Rozmawiając z nim, Gary opierał się o ścianę i wyglądał przez okno. Co jakiś czas mówił „Nieeee!”, „Taak” lub „Dobra!” i dawał Nigelowi znaki uniesionym do góry kciukiem. W końcu odłożył słuchawkę.

- Jest wkurzony - oświadczył. - Dziś jest już za późno, więc chce się z nami spotkać jutro w swoim biurze. Mówi, że to tam byliśmy z nim dzisiaj umówieni. Chyba zaszło małe nieporozumienie, Nigel, synu. Obaj młodzieńcy roześmiali się.

Gary podniósł swoją kurtkę i włożył ją.

- Cześć, Min!

- Cześć - odpowiedziała słabo Minerva.

Niczym młode pantery, pobiegli wielkimi susami w stronę hallu.

Skórzane kurtki, które mieli na sobie, podkreślały smukłe biodra i szerokie ramiona. W ich ruchach było niezwykle dużo gracji. Minervie wydawało się, że wnosili ze sobą klimat bezprawia i niebezpieczeństwa, który z pewnością zrobiłby na niej ogromne wrażenie, gdyby nie czuła się tak źle. Gdy tylko usłyszała trzask zamykających się drzwi wejściowych, pobiegła na górę do ubikacji i zwymiotowała.

Caro i niezwykle cicha i potulna Minerva zasiadły do kolacji. Caroline zastanawiała się, gdzie też się podziewają Larch i Emily. Patrick wróci do domu dopiero po przedstawieniu, prawdopodobnie koło wpół do dwunastej. Caro obawiała się, że będzie musiała poświęcić mnóstwo czasu na rekonstrukcję nadszarpniętego ego męża, gdy sztuka, w której występował, zejdzie z afisza. Minerva także nie wyglądała zbyt dobrze. Była zastraszająco blada i najwyraźniej nie miała apetytu.

Trzasnęły drzwi frontowe. Wszedł Larch.

- Czy ktoś widział Emily? - rzucił zamiast powitania.

- Niestety, nie. Nie przygotowałam dla ciebie nic do je dzenia, bo nie miałam pojęcia, czy będziesz w domu dziś wieczorem.

- W porządku. Kupiłem coś na wynos w restauracji. Otworzył pudełko.

Kuchnia indyjska. Intensywny zapach

curry sprawił, że Minerva znów poczuła mdłości. Była w połowie drogi do łazienki, gdy dobiegł ją poirytowany głos Larcha:

- Kto pił moją wódkę?

Zabrzmiało to trochę absurdalnie - zupełnie jak kwestia jednego z Trzech Niedźwiadków. Caro uśmiechnęła się.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała.

Wstawiła kotlety dla Emily do piekarnika z zamiarem przechowania ich do chwili, gdy siostra pojawi się na horyzoncie. Wtedy właśnie zadzwonił telefon.

- Odbiorę, dobrze? - zaproponował Larch. Przynajmniej raz zapragnął być użyteczny. To musiała być Emily. Caro usłyszała, jak Jonathan pyta najpierw:

- Gdzie jesteś? - a potem dodaje z rozdrażnieniem: - Na przyjęciu?

Caroline zaśmiała się cicho.

- Zapytaj moją lekkomyślną siostrę, czy zostawić dla niej jagnięce kotlety, czy też jest już po kolacji.

Larch zignorował jej słowa. Zamilkł i słuchał wyjaśnień Emily przez dobrą chwilę. Gdy skończyła, powiedział rozdrażnionym głosem:

- Wydaje mi się, że ostatnio zachowujesz się zupełnie bezmyślnie, Emily. Czy nie przyszło ci do głowy, że miałbym ochotę pójść na to przyjęcie razem z tobą?

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, po czym Caro usłyszała, jak Jonathan, najwyraźniej znajdując się w defensywie, mówi:

- Tak, wiem, że tak powiedziałem, ale... Emily przerwała mu.

- A więc zaraz wracasz do domu. Co takiego? Strasznie tam głośno... Nie słyszę, co mówisz. Poważną rozmowę? Wydawało mi się, że już... Ach, rozumiem, inną. Co? Zainicjowaną przez ciebie? Rozumiem.

Mój Boże, ona naprawdę ma zamiar to zrobić, pomyślała Caro.

Emily powiedziała jeszcze kilka słów, po czym Jonathan odłożył słuchawkę.

- Jest na przyjęciu w Galerii.

Jego dezaprobata była niemal fizycznie wyczuwalna.

- Ależ Jonathanie, to nie taka wielka zbrodnia. Jeśli nie wspomniała mi o tym dzisiaj rano, to pewnie dowiemy się, że dopiero w ostatniej chwili poproszono ją, aby została. Może nawet pracuje. W końcu przyjęcia stanowią część tego rodzaju interesów.

- Po powrocie do domu Emily zamierza przeprowadzić ze mną poważną rozmowę.

- Świetnie - powiedziała Caro. - Skorzystajcie z salonu. Jest odpowiedniejszym miejscem do załatwiania tego rodzaju spraw niż sypialnia. Ja sprawdzę wypracowania tutaj. Co mówiła, będzie jadła kotlety czy nie?

- Nie mam pojęcia - odparł Larch. - Zapomniałem ją zapytać.

Zamyślił się.

Emily wróciła do domu około dziesiątej. Czekające na nią kotlety wyschły tymczasem na wiór.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Emily. - Na przyjęciu zjadłam mnóstwo kanapek. A propos - w końcu miałam okazję poznać tego okropnego Jacka Careya. Gdzie Jonathan?

Caro wskazała palcem drzwi do salonu.

- Tam. Czeka. Jest bardzo rozczarowany twoim zachowaniem, Emily, niegrzeczna dziewczynko!

- Sądzę, że nie będzie się długo martwił - oświadczyła Emily znacząco. Nowa Emily, pani swego przeznaczenia, w aureoli falujących kasztanowych loków ruszyła w kierunku salonu.

Półtorej godziny później, gdy Patrick wrócił do domu, oboje z Jonathanem wciąż jeszcze tam konferowali.

- Co się dzieje? - dopytywał się Patrick. - Dlaczego siedzisz w kuchni?

- Bo - odparła Caro - Larch i Emily ucinają sobie w salonie pogawędkę od serca. Może właśnie w tej chwili Emily powiedziała Jonathanowi, że go rzuca.

Reakcja jej męża była bardzo szczerą.

- Najwyższy czas - powiedział, a potem, spoglądając na Caro, dodał: - Ale my nie musimy zawracać sobie tym głowy.

Caroline miała na sobie długą wąską spódnicę, białą bluzkę z żabotem oraz czarną marynarkę. W „połówkach” okularów w oprawce ze złotego druciku i ze swoim jasnym, badawczym spojrzeniem wyglądała jak młoda, surowa pani adwokat. Albo Porcja. Patrick usiadł naprzeciwko niej. Przechylił się nad stołem, wyjął jej pióro z ręki i położył je na stole. Potem, biorąc jej dłonie w swoje dłonie, powiedział:

- Wstań.

A gdy to zrobiła, pocałował ją. Pocałował ją tak jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy - z całą siłą rodzącej się namiętności.

Caro, podniecona, choć jednocześnie zmieszana, pomyślała: Czasem mam wrażenie, że kocham zarówno Morgana, jak i Patricka. Czy można być zakochaną w dwóch mężczyznach

jednocześnie? Odwzajemniła pocałunek męża i uczuła, że porywa ją zdradziecka fala dawnego pożądania. Byłoby dużo prościej, gdyby kochała Patricka, który był jej mężem, a nie Morgana.

Patrick rozpiął guziki jej bluzki i zaczął rozsuwać zamek u spódnicy.

- Kochanie... moja kochana Caro...

- Nie, nie tutaj. Emily i Larch mogliby...

- Więc chodźmy do łóżka, Caro... natychmiast. Zostawiła wypracowania i zaczęła wchodzić za nim po

schodach. Morgana już nie ma. Muszę wybić go sobie z głowy, pomyślała. I kiedy kochali się z Patrickiem, udało jej się to.

Potem Patrick zasnął, zmęczony. Caro przyglądała mu się z mieszaniną czułości i poczucia winy. Dostrzegła wokół jego oczu resztki teatralnego makijażu. Zawsze uważała swojego męża za przystojnego mężczyznę. Z uznaniem przyglądała się jego otoczonej gęstwą długich jasnych włosów twarzy. Mógłby występować w porankach. Z pewnością cieszyłby się z uzyskanej popularności, a fakt, że nie pracuje w teatrze, nie byłby dla niego tragedią. Naprawdę powinniśmy kochać się częściej, pomyślała Caro. Ciągły brak pieniędzy, przygnębienie, troska o karierę Patricka i fakt, że jestem śmiertelnie znużona swoją pracą, sprawiły, że bardzo się od siebie oddaliliśmy. Nasz związek, nie pielęgnowany, po prostu umrze. Po raz pierwszy od miesiący zdołała jednak spojrzeć na swoje problemy od pozytywnej strony, dojrzała jakieś rozwiązanie. Postanowiła zejść na dół i dokończyć poprawianie zeszytów. Przykryła Patricka kołdrą i spojrzała na zegarek. Było bardzo późno.

W drodze do kuchni natknęła się na Emily. Wojowniczą Emily. Emily bez Larcha.

- Gdzie Jonathan? - szepnęła. - Poszedł spać?

- Owszem, śpi na kanapie!

- Wyrzuciłaś go?

- Tak!

- Jak to przyjął?

- Zaczął być agresywny. I protekcyjnalny. Mówił mi, co powinnam czuć. A potem, gdy się zorientował, że już nie potrafi mnie zastraszyć, załamał sję i zaczął płakać. Jak każdy tchórz, który znęca się nad słabszymi.

- A co będzie jutro?

- Chyba odejdzie. Muszę przyznać, że było mi go żal. Wyglądał na zupełnie rozbitego.

- Ach, Emily, nie przejmuj się!

¹ - Nie mogę dłużej rozmawiać szeptem. Chodźmy do kuchni.

Zobaczywszy leżący na stole stos zeszytów, Caro uznała, że dzisiaj nie zdoła ich już poprawić.

- Jak się udało przyjęcie? Dobrze? Jonathan był naprawdę wściekły, że zostałam.

- Przygotowywano je od kilku tygodni, jeszcze zanim zaczęłam tam pracować, dlatego nikt mi o nim nie powiedział aż do dzisiejszego wieczora. To był mały prywatny wernisaż. Głównie litografie i akwaforty. Nie znałam żadnego z autorów. Hartingowie mają w Galerii oddzielną salkę, gdzie wystawiają tego rodzaju rzeczy. W każdym razie gdy Victoria Harting dowiedziała się, że nie zostałam wcześniej zaproszona, nalegała, abym została. Więc zostałam. Właściwie zamierzałam wypić tylko jeden kieliszek szampana i zaraz wracać do domu, ale bawiłam się tak dobrze, że wciąż odsuwałam moment wyjścia. Nie śpieszyło mi się do kolejnej kłótni z Jonathanem. No a kiedy podszedł do mnie Jack Carey, przedstawił się, zaczął mi mówić, że mam piękne włosy - określił je jako prerafaelickie - i oświadczył, że chciałby mnie malować, pokusa zostania była nie do odparcia.

I» - Malować cię w ubraniu czy bez?

- Nie zdążyliśmy omówić tej kwestii.

- Jonathan dostałby apopleksji, gdyby się o tym dowiedział.

- Już się dowiedział. Powiedziałam mu!... Właśnie już zaczęłam myśleć, że najgorsze obawy Jonathanu nie są wcale bezpodstawne i Jack zaprosi mnie za chwilę do pracowni,

aby pokazać mi swoje akwaforty, kiedy podeszła do nas Victoria Harting, wzięła go za rękę i powiedziała: „Wystarczy, Jack. Zostaw Emily. Jest taka młoda, że mogłaby być twoją córką!”

- On ma całkowitą rację. Rzeczywiście wyglądasz jak z obrazu któregoś z prerafaelitów. A co się stało później?

- Roześmiał się i zaczął rozmawiać z kimś innym, ale wciąż zerkał na mnie przez salę. Chyba był trochę wstawiony. Ale nie mam pojęcia, dlaczego miałby się mną interesować. Jego żona to prawdziwa piękność! Myśląc o Morganie, Caro powiedziała:

- Posłuchaj mojej rady i trzymaj się z dala od żonatych mężczyzn. To nigdy nie wróży nic dobrego. Masz wiele do zaoferowania, Emily, i nie powinnaś tego zmarnować.

- Dał mi swoją wizytówkę.

- Więc wyrzucić ją do kosza!

- Będę musiała rozejrzeć się za jakimś mieszkaniem.

- Na razie możesz mieszkać tutaj. Wiesz o tym. Najtrudniejszą sprawą będzie uporządkowanie waszych finansów. A jak postępuje remont kuchni?

- Jest już prawie gotowa. Wszystko pójdzie z pewnością dużo szybciej, gdy Jonathan będzie na miejscu i zacznie pouczać robotników, co mają robić, a czego nie.

- Masz zupełną rację, kochanie.

Gdy Emily w końcu poszła do swojego pokoju, Caro postanowiła zajrzeć jeszcze do pokoju córki. Minerva leżała na wznak, oddychając ciężko, z włosami rozsypanymi na poduszce. Gdy Caro pochyliła się nad nią, aby ją pocałować, poczuła dziwny zapach. Nie potrafiła go określić.

Oczywiście nie mógł to być alkohol, choć z początku tak jej się wydawało.

Następnego ranka wszyscy, z wyjątkiem Patricka, wyglądali mizernie.

Nigdzie nie było śladu Larcha. Najwyraźniej wyszedł bardzo wcześnie.

Zwłaszcza Minerva czuła się *hors*

*de combat** po przespanej wprawdzie, lecz jakiejś przykrew nocy. Była jeszcze bardziej małowówna niż zwykle. Na polecenie Caro przetrząsnęła swój tornister w poszukiwaniu kluczy do domu. Nie było ich jednak. To dziwne, gdyż pamiętała, że wrzuciła je z powrotem do tornistra, gdy weszła do domu wczorajszego popołudnia. Z trudem przypomniała sobie, że zabierając się do odrabiania lekcji, odwróciła go do góry nogami i wysypała całą jego zawartość na stół kuchenny. Wtedy klucze z pewnością jeszcze były. Leżały na stole. Minerva miała je w oczach. Więc gdzie się podziały? Nie spadły, bo to by zapamiętała. Na czworakach przeszukała podłogę pod stołem; poleciało jej przy tym oczko w pończosze. Potem zajrzała jeszcze do kredensu.

- Nie mogę ich znaleźć - ponuro wyznała matce.
 - Poszukasz ich, gdy wrócisz wieczorem do domu. Nie podoba mi się, że giną klucze do drzwi wejściowych.
 - Aha, muszę mieć zaświadczenie.
 - Zaświadczenie? Jakie zaświadczenie? Już były spóźnione.
 - Że pozwalasz mi pójść z klasą do teatru.
 - Minervo, nie mogłaś mi o tym powiedzieć wczoraj wieczorem? A może
 - zapytała Caro z nadzieją w głosie - chodzi tylko o mój podpis? Zwykle podpisuję ci tylko odpowiedni druczek. A w ogóle od jak dawna go nosisz?
 - Od dwóch tygodni. Ale gdzieś go zgubiłam. Wiem, że go miałam, ale już go nie mam.
 - Napiszę ci zaświadczenie wieczorem. Teraz nie ma już na to czasu.
 - Muszę je mieć na dzisiaj. Dziś jest ostatni dzień, kiedy mamy złożyć zaświadczenia.
 - O Boże! - Caro wzniosła oczy do nieba.
 - Mamo, każdemu się to może zdarzyć!
- Caro miała ochotę powiedzieć, że Minervie zdarza się to nader regularnie, lecz rzuciła krótko:

****hors de combat* (franc.) - niezdolna do walki**

- Wsiadaj do samochodu - a potem napisała jej zaświadczenie.
Gdy sama podeszła do wozu, córka kończyła właśnie ponowne przetrząsanie tornistra.

- Znalazłam druczek - oznajmiła bez cienia skruchy.

Droga powrotna była niezmiernie uciążliwa, jako że zaczęła się już pora porannego szczytu. Gdy Caro przyjechała wreszcie do domu, znalazła leżącą pod drzwiami pocztę. Drżącymi rękami podniosła z ziemi sztywną, śnieżnobiałą kopertę. Przez chwilę trzymała ją w dłoniach, po czym odwróciła ją i otworzyła. W środku było zaproszenie na ślub...

LIPIEC

Zaproszenia dotarły również do Armitage Lodge. Leonora przyjrzała im się badawczo przez lorgnon, po czym przesunęła palcami po papierze, aby upewnić się, czy został należycie wytłoczony.

- Sierpień. Kościół św. Ksawerego. Sądzę, że to dobry wybór... Będziemy musiały się zastanowić, jakie suknie włożymy na tę okazję. Muszę przypilnować, żebyś wyglądała odpowiednio, Claro!

Ale mnie nie będziesz pilnować, pomyślała mściwie Cassandra. Głośno zaś powiedziała:

- Teraz na śluby nie wkłada się sukien, mamó, raczej kostiumy... i kapelusze.

Leonora pozostała niewzruszona.

- Dziękuję, Cassandro. Zdaję sobie sprawę, że są na świecie kostiumy i kapelusze. - W myślach odebrała Cassandrze rubinowe kolczyki i zapisała je Julii.

Clara oglądała swoje zaproszenie. *Pan John Post i pani Veronica Post mają zaszczyt zaprosić Panią na ślub swojej córki Chloe...* i tak dalej.

Upłynęło już co najmniej dwadzieścia lat od czasu, gdy ktoś zapraszał ją na jakąś uroczystość w tak oficjalny sposób. Zdecydowała, że postawi swoje zaproszenie na kominku w sypialni. Czuła przyspieszone bicie serca na myśl o ślubie, na który mieli przybyć eleganccy londyńczycy. Niepokój, którego młoda, pewna siebie Clara nigdy by nie odczuwała.

Obserwując wyraz niezdecydowania na twarzy siostry, Cassandra pomyślała z troską: Kiedy sobie przypomnę, jaka była Clara jako młoda dziewczyna... Niezbyt bystra, owszem, ale naprawdę śliczna, i miała ogromne powodzenie. A teraz? - Wystarczy na nią spojrzeć. Od razu widać, że matka odebrała jej całą pewność siebie. Jest jak pijawka.

- Będziemy musiały kupić im jakiś prezent - odważyła się wreszcie nieśmiało odezwać Clara.

- Tak, będziemy musiały. Powiem Julii, aby kupiła coś w domu towarowym Robbsa w Hexham.

Cassandra wzdrygnęła się na myśl, że matka mogłaby przybyć na ślub, na którym miała się zebrać cała śmietanka towarzyska, z jakąś okropną blaszaną tacą, zapakowaną w firmowy papier. Poczwała, że powinna zabrać głos.

- Jestem pewna, że, aby uniknąć otrzymania w prezencie sześćdziesięciu tosterów, państwo młodzi sporządzili specjalną listę i zostawili ją zaproszonym gościom do wglądu w którymś z najlepszych londyńskich domów towarowych. U Harrodsa albo w Powszechnym Towarzystwie Handlowym.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby im ofiarować toster - oświadczyła Leonora z godnością.

- Naprawdę uważam, że to dobry pomysł, bo to jest coś, co im się naprawdę przyda - upierała się Cassandra. W ten sposób naraziła się lekkomyślnie na utratę brylantowej broszki.

- Cokolwiek kupię Morganowi i Chloe, na pewno im się spodoba!

Wyprowadzona z równowagi Cassandra oświadczyła:

- Może w ogóle nie pojedę na ślub!

- Nie pojedziesz? Oczywiście że pojedziesz!

Pewnie pojedę, pomyślała w duchu Cassandra. Nie potrafię się oprzeć pokusie ponownego spotkania z Chloe Post. Wstała z krzesła.

Czas, żeby zabrała Jardine'a na spacer.

Nadejście zaproszeń na ślub wywołało zamieszanie także w domu Meredith Barstow i generała Fieldinga. Dobranie odpowiedniej kreacji na tę okazję było dla Meredith prawdziwym koszmarem. Nigdy nie interesowała się zbytnio strojami. Ostatnio ubierała się wyłącznie w tweedowe kostiumy i buty z nie wyprawionej skóry. Teraz trzymała w ręce swój czarny słomkowy kapelusz i z niepewną miną obracała go na wszystkie strony. Caro miała rację. Był postrzępiony, a po letnich pracach w ogrodzie miejscami także wypłowiały. Może mogłabym pożyczyć od kogoś kapelusz, zaryzykowała śmiały pomysł Meredith. Na przykład od Julii? Chociaż Julia pewnie też ma tylko jeden kapelusz, a przecież obie nie możemy go włożyć.

Generał, obserwując córkę, spytał zaniepokojony:

- Mam nadzieję, że nie myślisz o włożeniu tego na głowę? Urażona Meredith odparła:

- Nie, oczywiście że nie. Zastanawiałam się, co z nim zrobić.

- Wyrzuć go! - doradził niezbyt dyplomatycznie ojciec. - Pozbądź się tego starocia! I tak nigdy nie było ci w nim do twarzy, moja droga. Jest już zupełnie zniszczony, więc nie masz mi chyba za złe, że to mówię.

Ale Meredith właśnie miała mu to za złe... Dlaczego starym ludziom wydaje się, że mogą się zachowywać grubiańsko, ilekroć mają na to ochotę?

- Twoja matka także nie umiała nosić kapeluszy. Był naprawdę bezlitosny.

- Zwłaszcza jeden dobrze pamiętam...

Zaczął opowiadać rozwlekłą historię innego okropnego kapelusza.

Prawdopodobnie bawił nią towarzystwo jeszcze za życia żony. Meredith także myślała o matce. Matka była prawdziwą damą. Odznaczała się niezwykle wytwornymi manierami i rażącym brakiem poczucia humoru. Może dlatego ojciec tak często oglądał się za innymi. Meredith pamiętała, że jeszcze do niedawna wychwalał pod niebiosa nogi pewnej

starzejącej się wdowy z Haltwhistle. Przypomniała sobie też okres, który na zawsze pozostał w jej pamięci jako „lato Steerów”. Tamtego roku Steerowie i Fieldingowie robili wszystko razem; byli nierozłączni. A potem ich zażyłość nagle się urwała. Meredith była wtedy małą dziewczynką. Tak małą, że nie pamiętała już, którego ze swoich dwóch mężów Leonora wówczas miała. Często pytała matkę, dlaczego tak się stało, ale nigdy nie uzyskała odpowiedzi. Udało jej się odkryć jedynie to, że po okolicy zaczęły krążyć jakieś plotki. Nie wyjawiono jej nigdy, czego dotyczyły, a Meredith nie zadała sobie trudu, aby tego dociekać. Głos ojca wyrwał ją z zamyślenia.

- Za to Leonora... ona potrafiła nosić kapelusze! - Cierpiał chyba na manię prześladowczą na punkcie kapeluszy. - Wielkie jak młyńskie koła kapelusze z piórami! Później - dużo mniejsze z cekinami. Bez piór. Bardzo twarzowe.

Meredith wyobraziła sobie Leonorę i swoją nieszczęsną matkę, która istotnie w porównaniu z panią Steer wypadła bardzo niekorzystnie. Próbując zmienić temat, powiedziała:

- Domyślam się, że nie wybierasz się na ślub. To daleka, koszmarnie długa podróż pociągiem. A poza tym bardzo kosztowna - dodała.
- Masz rację.

Z prawdziwą ulgą Meredith rzekła:

- Jestem pewna, że pozostanie w domu to właściwa decyzja. Na pewno cię zrozumieją.

- Co? Mówiąc „masz rację”, myślałem o długiej drodze, męczącej podróży i jej wygórowanych kosztach. To wszystko prawda! Ale przyjęcie, Meredith! Zostać w domu? Nigdy! Nie będzie już w moim życiu zbyt wiele takich okazji.

Pograżył się w posepnym milczeniu, przytłoczony brutalną prawdą o własnej śmiertelności.

Meredith poczuła ogarniającą ją panikę. Decyzja w sprawie kapelusza stała się zupełnie bez znaczenia w obliczu znacznie poważniejszego problemu. Miała jednak nadzieję,

że - przy odrobinie szczęścia - ojciec zapomni o ślubie i o swojej decyzji wyjazdu.

Joanna Blackstock i Tom Marchant również otrzymali zaproszenia na ślub Morgana i Chloe. Joanna oglądała swoje przy śniadaniu. Widząc, że Tom robi to samo, zapytała:

- Oczywiście wybierasz się na ślub?
- Ależ tak. Mam być družbą Morgana.
- A ja druhną Chloe! Zabawne określenie. Ciekawe, jaka będzie moja rola?
- Z pewnością Veronica Post wszystko ci objaśni.
- Nie mam co do tego wątpliwości!

Roześmiali się oboje. Bóg wie który raz Tom usiłował zgłębić, co go pociąga w tej kobiecie. Był wystarczająco uczciwy, aby przyznać się przed samym sobą, że - przynajmniej częściowo - chodzi o jej pieniądze. Ale nie tylko o to. Więc o co, do diabła? Rozpatrując każdą jej cechę z osobna, dochodziło się do wniosku, że Joanna nie jest nikim wyjątkowym, ale wszystkie razem w połączeniu robiły wrażenie.

Czasami wydawało się Tomowi, że Joanna fascynuje go przede wszystkim siłą osobowości. Przez większość czasu jednak niczego nie pragnął bardziej niż znaleźć się z nią w łóżku.

- Jeszcze kawy? - zapytała Joanna.

Była we włożonej - jak przypuszczał - na gołe ciało wąskiej granatowej sukni domowej z szerokimi rękawami. Gdy pochyliła się, aby wykonać tak prostą czynność jak włączenie czajnika elektrycznego, Tom musiał podziwiać doskonałą płynność jej ruchów.

Mimo iż stała odwrócona do niego tyłem, wyczuła jego głodne spojrzenie.

- Co masz zamiar robić dziś rano?
- Idę do biura. - W głosie Toma nie było entuzjazmu. Podała mu filiżankę kawy.
- Ja nie idę do pracy. Należy mi się kilka dni urlopu. To będzie jeden z nich.

- Więc co będziesz robiła?

- Chyba po prostu poleżę w łóżku.

Było to do niej zupełnie niepodobne, toteż natychmiast się zainteresował:

- Co? Cały dzień?

- Tak. Z tobą, jeśli chcesz!

Propozycja Joanny tak oszołomiła Toma, że niemal upuścił filiżankę z kawą. Długo czekał na podobny sygnał, a teraz zastanawiał się, czy w ogóle ma na to ochotę.

Joanna wytarła ściereczką umytą filiżankę i postawiła ją z powrotem na spodeczku. Wychodząc z kuchni, rozwiązała pasek sukni, która zsunęła się z jej ramion na podłogę. Jego przypuszczenie okazało się trafne.

Joanna rzeczywiście nie miała nic pod spodem. Zwykle aksamitne domowe klapki na koturnie podkreślały długość jej nóg.

Tom podążył za nią skwapliwie. Zdejmując krawat, przypomniał sobie, w jak wyrafinowany sposób zmuszała go do czekania. Naprawdę sobie na to zasłużyłem, pomyślał z cnotliwą satysfakcją.

W sypialni Joanny stało holenderskie łóżko z baldachimem, osłonięte przejrzystą niby mgiełka tkaniną, falującą delikatnie w powiewie wpadającego przez otwarte okno, orzeźwiającego wietrzyku. Ściany pokrywała tapeta w drobne różyczki. Był to śliczny, przytulny pokoik. Tom zauważył z uznaniem, że naprzeciwko łóżka umieszczono stare lustro w złoconych ramach, na którego szczycie siedział pulchny drewniany amorek, również pomalowany na złoto.

- Może zamkniesz okno?

Joanna zdjęła zegarek i położyła go na stoliku pod lustrem. Tom mocował się ze spinkami do mankietów. Był zdecydowany nie okazywać zbytniego zapału dla tego, co za chwilę miało nastąpić.

- Chyba zadzwonię do biura, zanim do czegokolwiek dojdzie - powiedział.

Czuł, że rozbawiły ją jego słowa.

- Naturalnie, Tom. Ale nie rozmawiaj zbyt długo. Co masz zamiar im powiedzieć?

- Och, że jestem chory albo coś w tym rodzaju - padła zdawkowa odpowiedź.

Jeszcze raz przypomniał sobie o Camilli Vane. Miłość. Najgorsza ze wszystkich chorób.

Gdy wrócił, Joanna leżała w łóżku. Przez zasunięte zasłony wydawała się podobna do syreny - nierzeczywista i tajemnicza. I bardzo ponętna. Wziął ją w ramiona i, czując dotyk chłodnego ciała, namiętnie pocałował.

Udało się, pomyślała Joanna z triumfem, w zapamiętaniu oddając mu pocałunek. Zdobyłam go. Jest mój i pragnę go przy sobie zatrzymać.

Wstali na chwilę, żeby zjeść lunch, a potem znów wrócili do łóżka.

Miesiące życia w celibacie zrobili swoje. Jestem zakochany w Joannie Blackstock, myślał Tom, a przynajmniej tak mi się wydaje. W dodatku ona jest bogata. Było to niemal zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Annabel Post obserwowała męża podczas śniadania. Miała wrażenie, że od czasu gdy Chloe poinformowała ich o swoich zaręczynach z Morganem Steerem, John był jeszcze bardziej nie w humorze niż zwykle. To dziwne, rozważała, jak bardzo John zmienił się od dnia naszego ślubu. Zanim się pobrali, zawsze starał się sprawić Annabel przyjemność: kupował jej biżuterię i stroje, pokazywał się z nią wszędzie, zachwycony tym, że jest wystarczająco młoda, aby być jego córką. Czasem nawet słuchał, co do niego mówiła. Teraz wciąż narzekał na jej dziwactwa, nigdy nie zważał na to, co powiedziała, i był wiecznie niezadowolony. Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w dniu, w którym formalnie zostali małżeństwem, stali się dla siebie zupełnie obcymi ludźmi. Odnosiła też wrażenie, że

musi nieustannie konkurować ze swoją pasierbicą o względy Johna. Chciałabym zostać jej przyjaciółką, myślała często. Niestety, Chloe nie wykazywała najmniejszego zainteresowania nową żoną swojego ojca. Annabel zastanawiała się nad tym, dlaczego w obecności Chloe zawsze czuje się zbędna. W sposobie, w jaki John z nią flirtuje, jest coś perwersyjnego, uznała. Z drugiej strony, gdy Chloe dorastała, ojciec nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi. Liczyła się dla niego tylko wtedy, gdy mogła dodać blasku jego własnemu wizerunkowi. Traktował ją jak maskotkę.

Annabel wiedziała, że John chce przeszkodzić Chloe w zawarciu małżeństwa. Dlatego bez przerwy podkreślał brak zabezpieczenia finansowego Morgana i nazywał narzeczonego córki łowcą posagów. Chloe ze swej strony dokładała wszelkich starań, aby ojciec i narzeczony przypadkiem się nie spotkali, gdy jej nie było w pobliżu. Mityczną posiadłość, znajdującą się jakoby w zasięgu ręki Morgana, wciąż otaczała mgiełka tajemnicy. Ale może już wkrótce Morgan wyjawia im coś więcej na ten temat.

Annabel w głębi serca życzyła sobie, aby całe to zamieszanie dobiegło wreszcie końca.

John z irytacją cisnął na stół najświeższy numer „Wall Street Journal”. Po chwili jednak złożył pismo starannie i spojrzał na zegarek.

Wszystko to odbywało się w całkowitym milczeniu.

W pełnej rozdrażnienia ciszy.

Annabel spojrzała na męża znad brzozy filiżanki. Miała wrażenie, że bardzo się ostatnio postarzał. A właściwie - po prostu wyglądał na swój wiek. Gdy się do niej zalecał, różnica nie była tak widoczna jak teraz. Może to dlatego, że prywatnie zachowywał się zupełnie inaczej niż w towarzystwie. Między starannie wyreżyserowanymi spotkaniami w eleganckich restauracjach a rutyną codzienności ziała przepaść. Było to szczególnie widoczne rano, zanim jeszcze zdążył się umyć, uczesać i przeobrazić w owego wytwornego mężczyznę, którego poślubiła. Jego złośliwe usposobienie też było dla

niej niemiłym zaskoczeniem. Nawet opalenizna Johna zbladła w aurze kapryśnej angielskiej pogody. Annabel zauważyła, że na jego rękach pojawiły się plamy wątrobiane. Może to dlatego, że pił za dużo koktajli. Gdy Chloe i Morganowi urodzą się dzieci, zostanie dziadkiem. Annabel bała się, że może go to wprowadzić w prawdziwą panikę. Mąż wstał, złożył pocałunek na jej czole i wyszedł do banku. W czasie śniadania nie zamienili ani jednego słowa. Kiedy Annabel została sama, rzuciła okiem na gazetę i dopiła zimną herbatę.

Veronica wynajęła apartament w Brown's Hotel. Bez wiedzy Johna, rachunek został dołączony do listy wydatków związanych ze ślubem. Przecież muszę gdzieś mieszkać i sama wszystkiego doglądać, przesądziła sprawę Veronica. Zawczasu przygotowała sobie argumenty na wypadek ewentualnych protestów Johna. Z pewnością nie będzie można liczyć na pomoc ze strony drugiej pani Post. Poza tym, zanim John zacznie sumować wydatki, ja będę już dawno w Bostonie, więc jeśli będzie chciał protestować, musi to zrobić listownie, pocieszyła się w duchu Veronica.

Zadzwoiła na obsługę i zamówiła chińską herbatę oraz mały talerzyk biszkoptów.

Czekając, aż kelner przyniesie śniadanie, studiowała listę gości. Lista była niezmiernie długa, co gwarantowało, iż jej eks-mążonek odczuje to dotkliwie w sferze swoich finansów. Wkrótce zaczną napływać listy potwierdzające przybycie lub wyjaśniające powody, dla których goście nie mogą przybyć. Veronica miała nadzieję, że tych ostatnich nie będzie zbyt wielu. Rozkoszowała się myślą, iż zagra na ślubie drugą pod względem ważności rolę: mianowicie będzie królowała jako matka Panny Młodej Roku.

Gdy zaproszenia zostały rozesłane, Chloe i Morgan ostatecznie zdławili w sobie wszelkie wątpliwości. Gorączkowe

życie towarzyskie tak ich pochłaniało, że nie mieli czasu na głębsze refleksje.

- Niech mama zajmie się wszystkimi przygotowaniem do ślubu - mówiła Chloe. - To, w połączeniu ze zęcaniem się nad Annabel, dostatecznie wypełni jej czas.

W kwestii sukni jednak pozostała nieprzejednana.

- Nie zamierzam jechać po suknię do Paryża - oświadczyła. - Mam zamiar sama ją zaprojektować, a moja krawcowa mi ją uszyje.

Odpowiadało to Johnowi Postowi, lecz nie zachwyciło Veroniki.

- Mów, co chcesz, matko, nie zmienię zdania.

Słowo „matka” powinno być wskazówką dla Veroniki, że nic nie wskóra.

Ona jednak upierała się przy swoim:

- Co powiem ludziom, gdy mnie zapytają, kto szył twoją suknię ślubną? Na pewno będą chcieli to wiedzieć.

- Czyżby? W takim razie możesz im powiedzieć, że nie wiesz, albo, jeśli będziesz chciała udzielić komuś dokładniejszej informacji, mów, że uszyła ją Rita Cox z firmy Bayswater.

Rita Cox z firmy Bayswater? Nie brzmiało to tak dobrze jak Ives St Laurent z Paryża, lecz Veronica w końcu ustąpiła.

To Morgan wysunął propozycję wspólnej rodzinnej kolacji. Chciał, aby wszyscy poznali się jeszcze przed uroczystą ceremonią.

- Myślę, Morganie, że to bardzo dobry pomysł - poparła go łaskawie Veronica. Po czym dodała nieoczekiwanie: - Ale może mogłabym powierzyć tę sprawę tobie. Wybierz lokal. Co sądzisz na przykład o Gavroche'u?

W ten sposób dała mu do zrozumienia, iż John Post nie jest skłonny finansować tego małego przyjęcia. Morgan, który miał trudności ze zgromadzeniem gotówki na to, by zabrać Chloe w podróż poślubną, nie mógł sobie pozwolić na wydanie kolacji w drogim lokalu. Chyba że...

Może babcia?... Odsunął od siebie tę myśl. Nie było żadnych szans, żeby Leonora, która z wiekiem stawała się coraz bardziej skąpa, zabrała dziewięć osób na kolację. Nie. Kolacja będzie się musiała od-

być w mieszkaniu przy Prince's Gate. Pani Pratt przyrządzi jakieś niewyszukane dania. Morgan był zły na siebie, że nie potrafi trzymać gęby na kłódkę.

- Zadzwońię dziś wieczorem do Northumberland i dowiem się, kiedy mają zamiar przyjechać - zamknął sprawę.

SIERPIEN

Leonora oznajmiła swoim trzem córkom:

- Nazajutrz po naszym przybyciu do Londynu w mieszkaniu przy Prince's Gate odbędzie się kolacja, na której poznamy Postów.

Ma chyba na myśli, że Postowie zostaną jej przedstawieni, pomyślała Julia, w związku z królewskim oświadczeniem matki. Tylko że oni sami jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy.

- Och! - wykrzyknęła Clara. - Oczywiście będzie bardzo mało czasu, ale może chciałabyś, żebym z tej okazji coś ugotowała?

Dobry Boże, tylko nie to! Cassandra zamarła w przerażeniu.

Ale przynajmniej raz jej modlitwa została wysłuchana.

- Dziękuję ci, Claro, ale nie, nie chciałabym. - Leonora okazała minimum wdzięczności za tę propozycję.

A może rzeczywiście była Clarze wdzięczna?

- Zajmie się tym pani Pratt. Dzwoniłam do niej i powiedziałam jej, co ma przygotować. Ona przyrządzi kolację, a twoim zadaniem będzie jedynie podgrzanie jej.

Pani Pratt! Pani Pratt gotowała tylko odrobinę lepiej od Clary. Matka zawsze potrafi znaleźć najgorszego kucharza, stwierdziła z podziwem Cassandra.

- Dlaczego nie mielibyśmy pójść do restauracji?

- Och, tak! - Clare, która od lat nie była w żadnym lokalu, zachwycił ten pomysł.

- Kolacja dla dziewięciu osób? W restauracji? Wybacz, że to mówię, Cassandro, ale coś takiego zupełnie nie wchodzi w grę. Koszt podobnej imprezy byłby niezwykle wygórowany. Czasami wydaje mi się, że myślisz, iż śpię na pieniądzach.

A powinnaś, oceniła Julia, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że nie wydajesz ani pensa.

- Pomyślałam tylko, że skoro Postowie pokrywają wszystkie inne wydatki... - nie ustępowała Cassandra.

- Postowie są rodzicami panny młodej i powinni być przygotowani na to, że będą musieli pokryć wszystkie koszty. Tego nie da się uniknąć. W przeciwieństwie do ciebie, nie widzę powodów, dla których mielibyśmy zmieniać ten obyczaj. A teraz dalsze ustalenia... Julio, pojedziesz do Londynu razem ze mną na dzień przed planowaną kolacją. Cassandro, ty razem z Clarą wyruszyście następnego dnia rano, po załatwieniu kilku spraw tu, na miejscu, zabezpieczeniu domu i odesłaniu psa.

Była to niemiła wiadomość dla Julii, która miała wielką ochotę odbyć tę podróż w przyjemnie odprężającym towarzystwie Meredith.

- Zastanawiam się, czy to rozsądne, mamó. W końcu tylko ja potrafię prowadzić samochód, więc jeśli pojedę z tobą, Cassandra i Clara będą zmuszone wziąć taksówkę na dworzec w Hexham. Ale jeśli jedna z nich pojedzie z tobą, będę mogła podrzucić was obie na stację, a nazajutrz zostawić samochód przed dworcem, gdzie będzie na nas czekać, dopóki nie wrócimy. To dużo tańsze rozwiązanie - dodała przebiegle.

Leonora zastanawiała się nad tym przez chwilę i w końcu przyznała jej słuszność.

- Zgoda. To rzeczywiście całkiem sensowne. A więc, Cassandro, Claro, która z was na ochotnika chciałaby pojechać ze mną pociągiem?

Żadna się nie odezwała.

Miałam nadzieję, że będę mogła spędzić całą noc z Sethem, pomyślała Clara. Czego bym nie dała za to, aby spę-

dzić jedną noc z dala od tego domu i towarzystwa matki! Rzuciła Cassandrze błagalne spojrzenie.

Nie wytrzymałabym pięciu godzin w pociągu razem z matką. I tak będę musiała znosić jej towarzystwo w Londynie, stwierdziła Cassandra i postanowiła, że nie ustąpi. W rezultacie zamiast prześcigać się w przyjęciu propozycji matki, obie uparcie milczały. Kłępująca cisza trwała nieskończenie długo. Jak było do przewidzenia, Clara załamała się pierwsza.

- Ja pojedę.

- Cóż, nie musisz robić z tego powodu takiej zrozpaczonej miny - powiedziała kwaśno Leonora. - Teraz możesz odejść, Claro. Chciałabym porozmawiać z Cassandrą i Julią o tym, czym mają się zająć podczas naszej nieobecności.

Gdy Leonora oddaliła się w końcu na swój popołudniowy odpoczynek, Julia zwróciła się do Cassandry:

-Zdajesz sobie sprawę, że matka zamierza urządzić w dniu ślubu polowanie? Na Postów. To będzie otwarcie sezonu łowieckiego.

- I na wszystkich innych, którzy okażą się na tyle nierozsądni, aby wejść w jej drogę. My mamy przynajmniej jeden dzień darowany.

- Tak, biedna Clara!

- Biedna Clara!

Meredith zadzwoniła do Caroline i oświadczyła bez ogródek:

- Twój dziadek uparł się, aby jechać na ślub, zastanawiam się zatem, czy będziesz mogła przenocować nas oboje.

- Jesteś pewna, że to rozsądny pomysł?

- Z pewnością nie, ale cóż mogę na to poradzić? Jak na ironię, mimo że zwykle zapomina o podjętych decyzjach już następnego dnia i miałam nadzieję, że teraz też tak będzie, wygląda na to, iż tym razem wyjątkowo dobrze pamięta, co postanowił. Niepokoi mnie, że chociaż bardzo dokładnie po-

trafi odtworzyć przeszłość, terażniejszość gdzieś mu umyka. Nie będę mogła ani na chwilę zostawić go samego.

Trzeba przyznać, że istotnie nie była to zbyt przyjemna perspektywa.

- Będziemy się nim zajmować na zmianę - zaproponowała Caro. - Razem z Minervą i Patrickiem. Poproszę Emily, aby zatrzymała się na kilka dni u przyjaciółki.

- A co z Jonathanem? Gdzie on jest?

- Nie powiedziała ci? Zerwali ze sobą!

- Muszę przyznać, że nigdy nie uważałam, aby on był dla niej odpowiednią partią - powiedziała Meredith ostrożnie. Za nic nie mogła rozgłosić tej wiadomości, uwłaczając w ten sposób Larchowi, gdyż potem mogłoby się okazać, że Emily zmieniła zdanie i Larch zostanie jednak jej zięciem.

- Caro nie miała podobnych zahamowań.

- Cóż, ona też jest obecnie tego zdania. A ponieważ taki z niego niesympatyczny, prostacki typ, może jej to tylko wyjść na dobre. A w ogóle, nie martw się o dziadka. Jakoś przez to przebrniemy. Może sama dam sobie z nim radę, pomyślała. Niech mama się trochę rozerwie. To pozwoli mi zająć myśli czymś innym niż rozpamiętywanie faktu, że mężczyzna, którego kocham, żeni się z inną kobietą.

Podniesiona na duchu Meredith powiedziała z wdzięcznością:

- Dziękuję, kochanie. Jeśli ojciec zmieni zdanie albo jeśli w ogóle zapomni o ślubie, dam ci znać. Tak czy inaczej, skontaktuję się jeszcze z tobą przed wyjazdem.

I z lżejszym sercem odłożyła słuchawkę.

W oznaczonym dniu Leonora i Clara wyruszyły razem do Londynu.

Clara trzymała na kolanach książkę, lecz nie czytała jej. Wyglądała przed okno i obgryzała paznokcie. Myślała o Secie. Choć nadal kochał się z nią w nowy, delikatny sposób, na każdym kroku znajdowała przygnębiające dowody obecno-

ści Marthy, która z pewnością pełniła w domu Seta nie tylko obowiązki sprzątaczk. Wszędzie plątały się jej włosy, a któregoś dnia Clara znalazła nawet kolczyk. Między prześcieradłami. Było możliwe, choć niezbyt prawdopodobne, że upadł tam, kiedy ścieliła łóżko, lecz unoszący się w powietrzu zapach tanich perfum nie pozwolił Clarze w to uwierzyć. A pończochy, które znalazła w łazience! Te z pewnością same nie upadły na podłogę. Flądra, zawyrokowała Clara, ale właściwie nie bardzo wiedziała, jak powinna postąpić w tej sytuacji. Chociaż czuła się dotknięta, rozumiała, że Seth ma prawo wziąć Marthę do łóżka, a najwyraźniej przejawiał na to ochotę. Za oknami migały Darlington i York. Zrozpaczona Clara czuła, że pokaźny spadek po matce prawdopodobnie przechyliłby szalę na jej stronę. Spojrzała na Leonorę. Jej oczy były zamknięte, ale matka nie spała. Pod pozorami odprężenia kryła się w niej kocia czujność.

W rzeczywistości Leonora pograżyła się we wspomnieniach. Wróciła myślą do okresu, który Meredith określała jako „lato Steerów”, a ona sama nazywała „latem Fieldin-gów”.

To zadziwiające, że mam już dziewięćdziesiąt lat, dumiała Leonora. Czy też osiemdziesiąt pięć. Wcale tego nie czuję. A przed tylu laty Arthur i ja... I pomyśleć, że Celia czuła się zaskoczona! Była taka nudna... poczciwa... I te jej obrzydliwe kapelusze. Naprawdę nie miała pojęcia, jak się ubrać.

Cofając się w przeszłość, Leonora znów usłyszała lekko urażony głos Spencera: „Łatwo ci mówić, staruszek, ale co ze mną? Jestem skazany na Celię”. Miał rację. Był na nią skazany, lecz jego próby uwiedzenia Celi spęły na niczym, choć gorliwie próbował.

Nie sądzę, aby w ogóle zauważyła, że to robił, zaśmiała się do siebie Leonora.

Pamiętna kłótnia, która miała miejsce, gdy Celia w końcu zorientowała się, co się dzieje, natychmiast położyła kres zażyłości pomiędzy Steerami i Fieldingami. Po okolicy krążyło mnóstwo plotek, z których większość nie była daleka od

prawdy. Leonora, kierująca się zasadą Wilde'a, iż „lepiej mieć złą sławę niż żadnej”, nic sobie z nich nie robiła - bawiła ją wręcz własna popularność. W końcu, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, cała sprawa przycichła. W trzy miesiące po śmierci żony generał znów przyszedł na lunch do Armitage Lodge. Nigdy jednak nie powrócił poprzedni stan rzeczy, choć Spencer także od dawna już nie żył. Leonora nie poświęcała Arthurowi zbyt wiele uwagi. Tyle tylko, żeby wciąż jej nadskakiwał...

Wagony zatrzymały się z szarpnięciem. Leonora otworzyła oczy. Właśnie zajechali na King's Cross, gdzie pociąg miał dwudziestominutowy postój. Clara jednakże wpadła w panikę i zaczęła gorączkowo ściągać z półki bagaże. Niechcący potrąciła przy tym swoją otwartą torebkę, której cała zawartość wysypała się na lepką od brudu podłogę.

- O, psia krewo! - krzyknęła Clara, jeszcze bardziej zdenerwowana. Szybko wrzuciła drobiazgi z powrotem do torebki i znów zapomniała ją zamknąć. Tymczasem jej zakiet wraz z resztą bagażu zaczął się zsuwać z ławki. Odwracając się, aby go przytrzymać, Clara znów zrzuciła torebkę na podłogę.

Zirytowana Leonora wykrzyknęła:

- Na litość boską, Claro! Siadaj!

W końcu wzięły taksówkę, gdyż Leonora zorientowała się, że mają zbyt wiele pakunków, aby Clara była w stanie sama sobie z nimi poradzić. Morgan zwolnił mieszkanie na Prince's Gate, tak jak obiecał. Leonora otworzyła szeroko okna i wpuściła do środka wonne letnie powietrze, a wraz z nim stłumiony szum ruchu ulicznego przy Kensington.

- Sprawdź, czy pani Pratt kupiła mleko, jajka, chleb i masło - poleciła Clarze.

- Kupiła! - zawołała Clara z kuchni, nie zauważając małej karteczki na lodówce. - Kiedy przyniesie to, co mamy podać na kolację?

- Jutro, w południe. A teraz chciałabym wypić filiżankę chińskiej herbaty.

Nazajutrz Clara wyszła z domu wcześniej rano z ogromną listą zakupów. Kierując się w stronę Knightsbridge, skręciła do parku i rozkoszowała się swoją wolnością. Nikt nie wie dokładnie, gdzie jestem, myślała, nucąc coś pod nosem.

Był krystalicznie jasny dzień. Rozmigotane niebo miało wkrótce ożywić swym błękitem wszystkie rosnące wokół bławatki. Nad miejskimi chodnikami zaczynało drgać gorące powietrze. Nie poruszył się choćby najmniejszy listek, i ten całkowity bezruch podkreślał jeszcze stłumiony gwar tętniącego życiem miasta. Clara była zdziwiona, że choć to Londyn, w pobliżu jest tak niewielu ludzi. Jeden czy dwóch rowerzystów na Rotten Row, kilka osób uprawiających jogging i niewielka gromadka innych, podobnych do niej przechodniów, którzy szli do pracy lub na zakupy. Ponieważ wstała bardzo wcześnie, nie natknęła się na Leonorę i nie otrzymała polecenia jak najszybszego powrotu do domu, toteż uznała, że nie ma takiego obowiązku. Z rozkoszą rozmyślała o czekającym ją lunchu w King's Road Cafe, najlepiej na dworze, pod kolorowym parasolem.

Leonora obudziła się o dziewiątej i ruszyła do kuchni. Clara przed wyjściem nakryła dla niej stół do śniadania. Leonora zobaczyła karteczkę od pani Pratt w chwili, gdy otwierała lodówkę w poszukiwaniu mleka do porannej herbaty. W ciągu swego długiego życia miała wystarczająco dużo służących, aby wiedzieć, że takie karteczki prawie nigdy nie wróżą nic dobrego. Pojawiają się zwykle nieoczekiwanie i przeważnie zapowiadają poważne niedogodności. Ta, jak się okazało, nie stanowiła wyjątku. Była zapisaną długopisem, wyrwaną z kołnotatnika stroniczką kratkowanego papieru.

Droga Pani Steer!

Przykro mi, ale JEDZENIA NIE BĘDZIE, pisała pani Pratt, podkreślając jeszcze nieodwołalność tego stwierdzenia dru-

kowanymi literami. *Leżę w łóżku. Wrócił silny ból pleców. Lekarz mówi, że to dysk. Uważa, że dolegliwość potrwa około sześciu tygodni, i zabronił mi robić zakupy. Mam nadzieję, że uda się Pani coś zdobyć. Mieszkanie posprzątane, jak Pani sobie życzyła. Gdy pan Steer znów wyjedzie do Waitrose, proszę, żeby kupił pastę do czyszczenia Mansion i jifa.*
Szczerze oddana N. Pratt.

Sycząc z irytacji, Leonora zmięła kartkę i wrzuciła ją do kosza. Jak pani Pratt donosiła, jedzenia nie będzie, a kolacja ma się odbyć dziś wieczór, o dziewiątej. Clara jeszcze nie wróciła. Lista zakupów była długa, zawierała sporo pozycji, a zważywszy rozkojarzenie Clary, z pewnością upłynie trochę czasu, nim wszystko załatwi.

- Dział spożywczy u Harrodsa - powiedziała głośno Leonora. - To jest myśl!

Czterdzieści pięć minut później stała na rogu Kensington Gate i Exhibition Road. Zamachała swoją laską na widok przejeżdżającej taksówki.

- Do Harrodsa! - rozkazała władczo, sadowiąc się jednocześnie we wnętrzu wozu.

- Nie da rady! - odparł kierowca taksówki. Spojrzała na niego surowo.

- Dlaczegoż to?

- Podobno podłożono tam bombę! Drogi zablokowane na całej długości. Ruch jest wstrzymany.

- Rozumiem. - Leonora zastanowiła się przez chwilę. - Co pan w takim razie proponuje?

- Zależy dokąd chce pani jechać, złotko!

- Chcę kupić trochę gotowej żywności i proszę nie nazywać mnie „złotko”.

Ale wiedźma, pomyślał i zaproponował Marksa i Spencera.

- Dobrze - odpowiedziała Leonora, która, chociaż słyszała o tym magazynie, nigdy jeszcze tam nie była. - Proszę jechać.

Taksówkarz zatrzymał się przy jednej z przecznic Kensington High Street. Wygramoliwszy się z samochodu, Leonora zakomenderowała:

- Proszę za mną. Będę pana potrzebowała do noszenia paczek.

Kierowca, spoglądając na nią z niedowierzaniem, powiedział:

- Nie mogę! Zaklinuję się tutaj. - Pozostał nieugięty.

Zaklinuje się? Wyglądało to na jakąś średniowieczną torturę. Może klin to nowa odmiana narzędzia do zgniatania kciuków? Leonora była bardzo ciekawa, co mężczyzna miał na myśli, ale ponieważ czas upływał, zdecydowała nie drażnić dłużej sprawy.

- W takim razie zażądam, aby w sklepie dali mi kogoś do pomocy.

Chciałabym, aby pan poczekał tu na mnie. Wrócę za pół godziny. Proszę być na miejscu. Jak pan ma na imię?

- Terry.

- Nie spóźnij się, Terry.

Obserwując, jak Leonora dostojnym krokiem wchodzi w obrotowe drzwi, Terry zapuścił silnik. Skreślił w zaułek, zaparkował i otworzył najświeższy numer „Daily Mirror” na kolumnie sportowej.

Aby dostać się do działu z artykułami spożywczymi, Leonora musiała minąć dział z damską bielizną. To ją zainteresowało.

- Na Boga! - rzekła ujmując w ręce lichej koronkowy biustonosz.

Jedyną częścią, która wydawała jej się znajoma, były fiszbin, lecz okazało się, że to jakieś bardziej nowoczesne wzmocnienie. Obok biustonosza wisiały najmniejsze majteczki, jakie w życiu widziała.

Gdyby takie rzeczy były dostępne, gdy byłam młodsza, mogłabym zostać królową Anglii, pomyślała Leonora, odkładając bieliznę.

Dział spożywczy, zaopatrzone głównie w produkty gotowe do spożycia, był kolejną niespodzianką. Leonora w końcu wybrała opakowanie wędzonego łososia i kaczkę w pomarań-

czach. Zdecydowała, że na deser będzie sałatka owocowa. To zmusi Clare, której jak dotąd wszystko uszło płazem, aby się czymś zajęła. Leonora zakupiła dużą ilość jabłek i bananów oraz gruszki i ananasa. Dokładnie po upływie pół godziny Terry zobaczył, jak wynurza się z magazynu w towarzystwie popychającego przed sobą załadowany wózek z zakupami chłopaka. Myśląc o napiwku, postanowił zwrócić jej uwagę na swoje zasługi.

- Ma pani szczęście, że tu jestem, proszę pani. Policja drogowa. Trzy razy ruszali mnie z miejsca. Było bardzo trudno...

- ...pani Steer... Ale ci się udało... - Potem zwróciła się do chłopca: - Postaw to tutaj, dobrze?

Wręczyła mu monetę. Terry zauważył, że na jego twarzy nie pojawił się wyraz zachwyty.

Drogę powrotną do Knightsbridge odbyli w milczeniu, chociaż Leonora przepytwała go szczegółowo w kwestii „zaklinowania”. Po przybyciu na miejsce zapłaciła mu i powiedziała:

- To wjazd dla służby, nikt cię tu nie zaklinuje, więc byłabym wdzięczna, gdybyś zaniósł mi zakupy na górę.

Zrobił to, o co go prosiła. Zanim weszła do domu, pogrzebała w portmonetce i wspaniałomyślnie wcisnęła mu w dłoń monetę ze słowami:

- A to dla ciebie!

Schodząc po schodach w dół, Terry otworzył dłoń i spojrzał na pieniądz. Pięć pensów.

Clara wróciła do domu o wpół do czwartej.

- Mam nadzieję, że wszystko załatwiłaś - powitała ją Leonora. - Gdzie byłaś?

Postanowiwszy nie wspominać o lunchu, Clara odrzekła:

- Zabrało mi to po prostu dużo czasu. Pani Pratt przyniosła jedzenie?

- Nie, nie przyniosła - odparła cierpko Leonora. - Jest chora.
- Och, czy to znaczy, że muszę?...
- Nie, nie musisz. Załatwiłam, co trzeba. Wszystko idzie zgodnie z planem. Zadzwoń, proszę, do Morgana i dowiedz się, o której godzinie przyjdzie z winem. O ile wiem, kupuje je tam, gdzie pracuje Tom Marchant. A potem, podczas gdy ja zażyję mojej popołudniowej drzemki, możesz zacząć przygotowywać sałatkę owocową. Obudź mnie o szóstej, wtedy Cassandra i Julia powinny już tu być.
- Tak, mam - odparła ulegle Clara.

Julia i Cassandra wysiadły z taksówki dokładnie w chwili, gdy Morgan zjawił się na Prince's Gate z winem.

- Ciociu Cassandro! - Pocałował ją w policzek. - Mamo! -Julię także pocałował.

To tylko słowo, pomyślała Julia, równie dobrze mogłabym być jeszcze jedną z jego ciotek. W duchu zadawała sobie pytanie: Ciekawe, czy dystans między mną a Morganem kiedykolwiek się zmniejszy? Leonora bardzo wcześnie stanęła między nimi i po prostu przejęła nad nim kontrolę. Uwielbia manipulować ludźmi, niczym jezuita. Czasem mam wrażenie, że jest naprawdę niebezpieczna.

Weszli po schodach, Morgan na czele, dźwigając skrzynkę czerwonego wina od Hardwick-Smitha. Clara powitała ich przy drzwiach.

- Co będzie na kolację? - zapytał Morgan, stawiając wino na kuchennym stole.

- Wędzony łosoś i kaczka z pomarańczami - usłyszał zaskakującą odpowiedź. - A na deser świeża sałatka owocowa.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Morgan. - Czyżby pani Pratt ukończyła w tajemnicy kurs gotowania?

- Pani Pratt ma kłopoty z dyskiem. „To kłopotliwe”, żeby zacytować matkę. Chociaż nawet w połowie nie tak kłopotliwe dla nas, jak dla niej. Wszystko przywiozła od Marksa i Spencera.

- A co z Harrodsem?

- Nie mogła się tam dostać. Ktoś podłożył u Harrodsa bombę. Chcesz, żebym ją obudziła? Prosiła, żeby ją obudzić o szóstej.
 - Nie - odparł pośpiesznie Morgan. - Muszę jeszcze wyjść. Obiecałem Chloe, że wrócę nie później niż o wpół do siódmej.
 - Jaka jest Veronica Post? - zapytała Cassandra. Morgan zastanawiał się przez chwilę.
 - Bardzo krucha, powierzchowna i jednocześnie zdecydowana uparcie trwać przy własnym zdaniu.
 - Wygląda na to, że Chloe jest podobna do matki - zauważyła sucho Julia.
 - Nie ma porównania - odrzekł Morgan. - Ale i Veronicę Post babcia mogłaby pożreć na śniadanie. Do zobaczenia później.
- Gdy wyszedł, Cassandra powiedziała:
- Czeka nas dzisiaj prawdziwa męczarnia towarzyska.

Jako pierwsi przybyli Morgan i Chloe. Cassandra, ubrana w ciemnozieloną aksamitną suknię, patrzyła z ciekawością na wysmukłą, ubraną w czarną obcisłą spódnicę i srebrzystą bluzkę Chloe. Chociaż Chloe wciąż była bardzo szczupła, nie uszło uwagi czujnych oczu Cassandry, że ostatnio odrobinę przytyła. Cassandra musiała przyznać, że ona i Morgan stanowili bardzo urodziwą parę.

Leonora wkroczyła do pokoju w towarzystwie Clary. Włożyła na tę okazję połyskliwą, stalowoszarą suknię z niewielkim dekoltem oraz rodzinne szmaragdy. Clara miała na sobie strój w kolorze błękitnym. Choć Leonora coraz częściej podpierała się laską, w domu wciąż doskonale dawała sobie bez niej radę. Z pomocą Julii upięła wysoko swe długie włosy w luźno zwinięty węzeł, co podkreśliło jej wystające kości policzkowe i niezwykle długą szyję. Wyglądało to tak, jakby duch młodej i pięknej Leonory stanął nagle pośród nich, rzucając wyzwanie starej, pomarszczonej seniorce rodu Steerów.

I robiło doprawdy piorunujące wrażenie.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Tym razem była to Veronica Post. Julia wpuściła ją do środka. Przez krótką chwilę obie kobiety w milczeniu taksowały się wzrokiem.

Stara panna, pomyślała Veronica.

Owca udająca jagnię, orzekła Julia. Przedstawiła się przybyłej. Tuż po Veronice nadszedł John Post wraz z Annabel. Tym razem to Veronica zajęła się prezentacją. Prowadząc wszystkich przez hall, Julia pomyślała, że Annabel wygląda na czternastolatkę.

- Zechcą państwo poznać moją matkę - powiedziała Julia. Leonora obrzuciła spojrzeniem pasemka jasnych włosów na głowie Veroniki, jej gładko naciągniętą twarz i szykowną wieczorową suknię, spod której wyglądały dwa szczupłe kolana. Jakież to wulgarne, pomyślała. Chociaż perły robią wrażenie.

Jest przerażająca, uznała Veronica i zaczęła nerwowo bawić się swoim naszyjnikiem.

- Witam panią, pani Post - zaczęła Leonora. - Proszę mi powiedzieć, gdyż bardzo mnie to ciekawi, jakie nazwisko nosiła pani, zanim wyszła za męża?

Wymowna, pełna zmieszania cisza była jedyną odpowiedzią. Ale wpadka, pomyślała Cassandra. Annabel także się dostało.

- Nie wiedziałam, że Chloe ma młodszą siostrę - oświadczyła Leonora. - Po czym zwracając się do Veroniki dodała: -A może to pani młodsza siostra?

Z trudem powstrzymując się od złożenia głębokiego ukłonu przed tą budzącą strach postacią, Annabel otworzyła usta, aby sformułować odpowiedź, lecz nie zdołała wydać z siebie żadnego dźwięku. Veronice z wrażenia zaparło dech w piersiach. John Post, który obserwował tę scenę, wtrącił się uprzejmie:

- To moja żona Annabel, pani Steer.

- Leonoro - pouczyła go Leonora. Był to honor, jakim dotąd nie obdarzyła nikogo innego.

- Leonoro - powtórzył. Leonora mówiła dalej:
- To bardzo pikantne, związek osoby tak młodej z kimś tak posuniętym w latach. Za moich czasów krzywiono by się na taką różnicę wieku jako na coś... hm... jak by to ująć? Na coś niesmacznego... To najłagodniejsze określenie. Ja jednak jestem otwarta na postęp. Kolekcjonujesz różyczki, co, John? - rzuciła w kierunku Posta znaczące, figlarne spojrzenie, po czym, ku jego niewypowiedzianej uldze, zwróciła się do Clary z poleceniem przyniesienia drinków.

Post, upokorzony, usunął się z najbliższego otoczenia Leonory. Miał nadzieję, że nie będzie musiał siedzieć obok niej podczas kolacji.

Ogólna rozmowa załamała się. Morgan powiedział półgłosem do Chloe:

- Jeśli przez cały czas będzie to tak wyglądało, pod koniec wieczoru dojdzie do rozlewu krwi.

Chloe, która tego ranka dowiedziała się od lekarza, że jest w ciąży, poczuła, że robi jej się niedobrze. Nie odpowiedziała, skinęła tylko głową. Podając jej drinka, Morgan pomyślał, że jest jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Już wkrótce będą małżeństwem. Mężem i żoną. Morgan nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Ostry niczym cięcie lasera głos Veroniki Post przywrócił go do rzeczywistości:

- Morgan to takie niezwykle imię. Ciekawe, dlaczego twoja matka je wybrała?

- Nie wybrała go - odrzekł Morgan. - Zrobiła to babcia. Tak brzmiało jej panieńskie nazwisko. Obaj jej bracia zginęli na wojnie i nie chciała, aby nazwisko zniknęło z rodziny.

- Ile lat ma pani Steer?

- Przyznaje się do osiemdziesięciu pięciu - odparł Morgan.

- Ach - powiedziała Veronica, której tego rodzaju fałszerstwa nie były obce. - Więc ma dziewięćdziesiąt. A twój ojciec? Co się z nim stało?

- Nigdy go nie znałem. Odszedł, zanim się urodziłem. Właściwie - dodał Morgan - może nawet nie wie o moim istnieniu. O ile wiem, nie żyje.

- Nie jesteś go ciekaw?

Morgan zastanowił się przez chwilę.

- I tak, i nie. To znaczy - kiedyś byłem. Ostatnio rzadko o nim myślę. Był żołnierzem. Według babci, mama popełniła megalomanię i wszystkim nam lepiej jest bez niego. Nie traktował mamy zbyt dobrze. Dlatego nazywam się Steer, a nie Far-rell. Nie chciała, abym nosił jego nazwisko. - Dla Morgana były to dawne dzieje. Zmienił temat. - Zechce mi pani wybaczyć. Widzę, że kieliszek cioci Clary wymaga napełnienia.

- Ależ oczywiście.

W drugim końcu pokoju Leonora szykowała się do rozmowy z Postem. John Post, widząc nadchodzącą gospodynię, w panice odwrócił wzrok.

- Możesz mnie poprowadzić na kolację, John! - uśmiechnęła się Leonora, stając obok niego.

Był to najwyraźniej wielki przywilej, choć on sam miał co do tego pewne wątpliwości. Jego najgorsze obawy sprawdziły się, gdy dodała:

- Usiądziesz po mojej prawej stronie. Morganie, bądź łaskaw dotrzymać towarzystwa Veronice.

Ruszyli przez hall. Annabel szła za nimi w towarzystwie Cassandry, która zburzyła jej spokój. Była w niej jakaś niezwykła siła, która intrygowała młodszą kobietę, choć jednocześnie przerażała ją.

Bez wyrazu, oceniła Cassandra drugą panią Post, choć nie tak mdła jak jej mążzonek. Wzrok Cassandry spoczął tęsknie na nieosiągalnej Chloe, która szła przodem w towarzystwie Julii i Clary. Co też Chloe Post myśli o tym wszystkim, zastanawiała się Cassandra. Dla mnie ta dziewczyna stanowi zagadkę. Ciekawe, co byłoby w stanie ją poruszyć? Może jest po prostu jeszcze jedną bezmyślną lalką z wyższych sfer. Z drugiej strony, nie ma to doprawdy wielkiego znaczenia, bo i tak jestem nią zauroczona.

Nie odwzajemniona miłość.

To nie była pociągająca perspektywa.

Podczas kolacji, ku niewypowiedzianej uldze wszystkich zgromadzonych, Leonora trochę się uspokoiła. Poczowała się nagle niezwykle zmęczona. Jedzenie było wyśmienite. Zupełnie zapomniałam, jak smakuje przyzwoita kuchnia, myślała. Morgan, który sam zapłacił za wino, hojnie napełniał kieliszki. Toteż, chociaż rozmowę trudno byłoby nazwać ożywioną, udawało się ją jakoś podtrzymać.

Pod koniec posiłku John Post poruszył w rozmowie z Leonorą sprawę sytuacji finansowej Morgana.

- Jest jedna rzecz, która mnie niepokoi, Leonoro.

- Doprawdy? Cóż to takiego?

- Chloe jest bardzo zamożną młodą kobietą...

- ...a poza niewielką pensją wypłacaną przeze mnie Morgan nie ma żadnych własnych dochodów! - dokończyła za niego Leonora, stwierdzając jednocześnie, że jest prostakiem. Oczywiście, nie ma nic złego w myśleniu o pieniądzach - ona sama robiła to przez cały czas. Ale rozmawiać o pieniądzach, w dodatku przy stole? To wykraczało poza wszelkie granice przyzwoitości.

Post, niewzruszony, ciągnął dalej:

- Ponadto w tej chwili nie pracuje. Chociaż, o ile wiem, ubiega się o jakąś intratną posadę. Podobno zaproszono go już na rozmowę kwalifikacyjną.

Praca? Intratna posada? Leonora, która uważała to za absolutnie nieprawdopodobne, odparła bez wahania:

- Otóż to. Bardzo lukratywne stanowisko. Czekał.

Pozwoliła mu na to.

Gdy szykował się, aby zadać jej jeszcze jedno pytanie, Leonora spojrzała na niego z góry i dodała:

- Ale wszystkie szczegóły są poufne. Morgan oczywiście zwierzył mi się, lecz nie jestem upoważniona, aby powierzyć

ten sekret tobie, choć bez wątpienia byś sobie tego życzył. I chociaż uważam taki sposób omawiania spraw finansowych za niezwykle niesmaczny, Johnie, wyjawię ci, że kiedy umrę, Morgan otrzyma w spadku pewną kwotę. - W tym miejscu uniosła groźnie dłoń. - Nie mam ochoty wyjawiać jaką. Poza tym nie rozumiem, jakie ma znaczenie, kto posiada pieniądze, dopóty dopóki ich nie brakuje.

Wygłosiwszy tę tyradę, wstała się z miejsca.

Autorytet Leonory był tak wielki, że wszyscy zebrani poszli w jej ślady. - Proponuję, abyśmy przeszli do salonu. Niedługo Clara przyniesie nam kawę, Morgan zaś jej w tym pomoże, abyśmy mogli zapobiec jednemu z tych spektakularnych wypadków, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Proszę za mną!

Chloe i Morgan nie spędzili razem nocy przed ślubem. Morgan był tego wieczora u Toma Marchanta, a Chloe u Joanny Blackstock.

Naprawdę nie powinna tego robić, myślała Joanna, pilnie obserwując przyjaciółkę. Chloe była zatroskana i nerwowa. Niespokojnie chodziła po małym salonie Joanny, poprawiała wiszące na ścianach obrazy, brała do ręki stojące na komodzie bibeloty i znów odkładała je na miejsce.

- Dokąd Morgan zabiera cię w podróż poślubną? - zapytała Joanna, aby przerwać ciszę.

- Jedziemy do Paryża i zatrzymamy się w hotelu Crillon. Tak zdecydowałam.

- Wielkie nieba! Czy Morgana stać na?...

- Nie, nie stać. Morgan chciał pojechać do Rzymu. Zna tam mały hotelik na Zatybrzu.

- To brzmi czarująco! -1 pewnie tak jest.

- Więc dlaczego tam nie pojedziecie? Czy nie będzie w kłopotcie, gdy przyjdzie mu zapłacić rachunek?

- Ja pokryję różnicę - powiedziała Chloe. - Nie rozumiem, jakie ma znaczenie, kto reguluje rachunki, dopóki się je oczywiście reguluje.

Joanna często spotykała się z brakiem wrażliwości, okazywanym przez ludzi posiadających pieniądze tym, którzy ich nie mieli, ale nigdy nie był on tak rażący jak w tym wypadku.

Skoro Chloe nie potrafiła pomęczyć się przez dwa tygodnie w skromnym rzymskim hoteliku, czy będzie umiała stanąć na wysokości zadania wobec trudów życia w Northumberland? Może nie jest jeszcze za późno, aby wszystko odwołać. W końcu takie rzeczy się zdarzają. Joanna pamiętała jeden szczególnie spektakularny wypadek, gdy panna młoda odmówiła zgody na małżeństwo przed ołtarzem, po czym ponownie zapytano ją o zgodę i znów jej nie wyraziła. Skończyło się tym, że goście wraz z panem młodym udali się na przyjęcie weselne, które przypominało raczej stypę.

Chloe położyła jednak kres tym wszystkim spekulacjom Joanny oświadczając:

- Jestem w ciąży. Ach, więc to tak!

- Chloe, co za niespodzianka! Musisz być uszczęśliwiona! - ucieszyła się Joanna.

Głos Chloe drżał.

- Morgan jeszcze o tym nie wie. A ja nie jestem zachwycona. Nie chcę tego dziecka.

Wsparłszy się o kominek zaczęła łkać cichym konwulsyjnym szlochem, który wstrząsał całym jej wątłym ciałem. W końcu uspokoiła się na tyle, aby powiedzieć:

- Boję się. Boję się urodzić dziecko. Och, Joanno, co mam teraz zrobić? To katastrofa, pomyślała Joanna.

- Wiele kobiet boi się porodu. Nie jesteś pierwszą, a z pewnością nie będziesz ostatnią. - Objęła przyjaciółkę ramieniem. - Uspokój się, odwagi, Chloe! Po prostu jesteś tym wszystkim przytłoczona.

Przedślubne zdenerwowanie połączone z burzą hormonów. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Uspokajające, puste słowa... Dla Joanny było jasne, że nigdy nie będzie dobrze. Stała, patrząc w przestrzeń ponad schyloną głową Chloe i zastanawiała się, czy nie powinna porozmawiać z Morganem.

- Wiesz, dokąd Tom i Morgan wybierali się dziś wieczorem?

- Niestety nie. - Chloe przeszukiwała torebkę w poszukiwaniu chusteczki.
- Gdzie się zatrzymałaś?
- U Annabel i taty. Nie chciałam spędzać nocy przed ślubem z Morganem w łóżku.

To było dla Joanny niezrozumiałe. Ciekawe, co Morgan o tym myśli, przemknęło jej przez głowę.

- Cóż, sądzę, że masz do tego prawo. W końcu spędzicie razem resztę życia.

- Tak - powiedziała Chloe ponuro. - Lepiej już pójść. Nie chcę rano wyglądać jak straszdyło.

- Nigdy nie wyglądasz jak straszdyło.

Joanna odprowadziła Chloe do drzwi i wsłuchując się w odgłos jej stukających o bruk obcasów, patrzyła za przyjaciółką, dopóki ta nie wsiadła do zaparkowanego przy końcu ulicy samochodu. Potem weszła na górę, usiadła przy otwartym oknie i, wdychając pachnące jaśminem powietrze wieczoru, rozmyślała.

Siedziała tam jeszcze o wpół do pierwszej, kiedy wrócił Tom.

- Gdzie byłeś? - zapytała go Joanna. Pocałował ją.

- Zjedliśmy kolację w Brasserie St Quentin. Tęskniłaś za mną? Dlaczego siedzisz tutaj w ciemnościach?

- Tak sobie, bez specjalnej przyczyny. - Joanna postanowiła, że najpierw wypyta Toma. - Jak się czuje Morgan?

Tom nalał sobie whisky.

- Wiesz, nie powiedział tego wyraźnie, ale nie wydaje mi się, aby palił się do tego małżeństwa. Jestem gotów się założyć, że wciąż kocha Caroline Barstow.

- Chloe jest w ciąży. Jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwa.

Tom był zdziwiony.

- Morgan nawet mi o tym nie wspomniał.

- Morgan jeszcze o niczym nie wie. Mam wrażenie, że ona także, gdyby mogła, chętnie wycofałaby się z tego małżeństwa.

- Sprawy zaszły już za daleko, aby teraz chować głowę w piasek. Jutro biorą ślub na oczach całej hordy koszmarnych krewnych.
- Nigdy nie jest za późno na uniknięcie takiego błędu. Joanna wzięła kieliszek Toma i upiła trochę whisky.
- Nic już nie można zrobić. W końcu oboje są dorośli. Jeśli nie będzie im się układało, zawsze mogą powrócić do stanu wolnego - podsumował niefrasobliwie rozmowę Tom, myśląc bez żalu o zbliżającym się zakończeniu swojej sprawy rozwodowej. - Jutro czeka nas ciężki dzień. Chodźmy spać.

Obudzony się następnego ranka, Chloe zobaczyła słońce. Leżała w łóżku bez ruchu, oślepiąca światłem przenikającym przez jasne zasłony. Dzisiaj o jedenastej wychodzę za mąż, przypomniała sobie. Trudno jej było w to uwierzyć. Podobnie jak w fakt, że jest w ciąży. Przesunęła dłońmi po piersiach. Były nabrzmięte i wrażliwe, zupełnie jak nie jej własne. Potem dotknęła brzucha. Na szczęście nie zmienił jeszcze kształtu. Po raz pierwszy w życiu, uświadomiła sobie, nie lubię własnego ciała. Czuję, że jest mi obce. Myśli o ucieczce przebiegały jej przez głowę. Chloe przegnała je, uznawszy, że należy doprowadzić do końca to, co się zaczęło.

Spojrzała na zegarek.

Za godzinę przyjdzie Joanna. Niby to, aby pomóc przy ubieraniu, ale naprawdę, by podnieść ją na duchu. Najlepiej będzie, jeśli teraz weźmie prysznic i wzmocni się przed czekającą ją ciężką próbą dużą filiżanką czarnej kawy.

Joanna przyjechała kilka minut przed czasem, przygotowana na lament i łzy. Była gotowa przekonywać, iż mimo że jest już za pięć dwunasta, Chloe powinna odwołać ślub. Ku

swej niewypowiedzianej uldze, znalazła przyjaciółkę ubraną i opanowaną.

Może wczorajsze załamanie było spowodowane tylko przedślubnym napięciem, pomyślała.

- Chloe, wyglądasz oszalamiająco - oznajmiła. Uścisnęły się.

- Dziękuję - odpowiedziała Chloe. - Cóż, teraz nie mam już wyboru. Nie mogę się cofnąć.

Fatalizm, jaki zabrzmiał w tym stwierdzeniu, sprawił, że Joanna przyjrzała jej się uważnie. W wyglądzie przyjaciółki było coś, co przywiodło jej na myśl Maud Tennysona: Chloe też była „piękna i doskonała niby kryształ”. Czy nie tak to brzmiało?

- Jak sądzisz, ile minut powinnam się spóźnić do kościoła? Joanna skoncentrowała się na sprawach praktycznych.

- Och, jakieś pięć, najwyżej dziesięć. W przeciwnym razie starsi goście dostaną ataku serca. Jaką biżuterię masz zamiar włożyć?

- Chyba perły i to.

Joanna uznała, że nie pozostaje jej nic innego jak zamilczeć. W rezultacie w ciągu wielu następnych lat niejednokrotnie zastanawiała się ze skruchą, czy gdyby wtedy przemówiła, udałoby się zapobiec tragedii.

- Twój ojciec przyjedzie tutaj czy też mamy go zabrać po drodze?

- Zabierzemy go po drodze. Ale bez Annabel. Ona pojedzie do kościoła wcześniej. Mam tylko nadzieję, że mama będzie się zachowywać jak należy.

Duże rodziny potrafią zawsze skomplikować sobie życie, pomyślała Joanna. Zastanawiała się, jak czuje się John Post, oddając córkę Morganowi.

Chloe wpięła do uszu perłowe kolczyki.

- Jaka szkoda, że twojego ojca nie będzie na ślubie - zwróciła się do przyjaciółki. Zawsze ciepło myślała o Harrym Blackstocku, który w przeciwieństwie do jej własnych rodziców był wobec niej otwarty i serdeczny.

- Rzeczywiście szkoda - zgodziła się Joanna. - Miałam nadzieję, że będę mogła przedstawić mu Toma w beztrudnej atmosferze weselnego przyjęcia. Niestety, zobaczymy się dopiero za tydzień, po jego powrocie do Londynu. Spotkanie zapowiada się niezbyt obiecująco.

- Dlaczego jest tak stanowczo przeciwny twemu związkowi z Tomem?
- Bo uważa go za skończonego drania. Trudno ten zarzut obalić, gdyż Tom istotnie jest skończonym draniem, ale zmieni się, gdy go odpowiednio urobię. Dlatego muszę znaleźć zrozumienie u taty.

- Wygląda mi to na trudne zadanie, ale przypuszczam, że odniesiesz sukces. - Po raz pierwszy tego ranka Chloe uśmiechnęła się. - Gdzie są kwiaty? Udało ci się zdobyć lilie?

-Tak.

- Idziemy?

Rozbrzmiała muzyka, stojący obok Toma Marchanta Morgan odwrócił głowę. Środkiem głównej nawy kroczyła prowadzona przez ojca pod ramię panna młoda. Wyglądała olśniewająco. Miała na sobie długą elegancką spódnicę z ciężkiego kremowego jedwabiu i dopasowany żakiet z głębokim wydłużonym dekoltem i wysokim kołnierzem. Jej wysmukła szyja i ciemne, gładko przyczesane włosy wyrastały z niego niczym pręcik z kwiatu lilii. Przez kościół przebiegł szmer zachwyty. Nawet Veronica musiała przyznać, że pani Rita Cox z firmy Bayswater stanęła na wysokości zadania.

W dwadzieścia minut później Chloe i Morgan byli już mężem i żoną. Gdy Chloe Steer wpisywała się do księgi, ogarnęło ją poczucie nierzeczywistości. Uświadomiła sobie, że nieodwołalnie wkroczyła na drogę, którą nie chciała podążać.

Gratulacje.

Pocałunki.

Śmiechy.

Zdjęcia.

I znów zdjęcia.

Dzięki Bogu, nie ma czasu na myślenie.

Przyjęcie weselne. Jeszcze więcej zdjęć. Cała rodzina. Leonora i Veronica rywalizują o honorowe miejsce na fotografii. W końcu przypada ono w udziale Leonorze. Leonora wciąż patrzy z góry na parweniuszkę.

- Proszę o uśmiech. Pstryk.

- Jeszcze raz, proszę. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Pstryk, pstryk, pstryk.

- Jeszcze jedno. - Pstryk. - Dziękuję paniom i panom. A teraz tylko państwo młodzi.

Pstryk.

I w końcu sama panna młoda.

Trudno uwierzyć, że to dzień mojego ślubu, myślała Chloe. Choć była zrozpaczona, uśmiechała się do obiektywu. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Na przyjęciu Morgan natknął się na Caro. Stanęli naprzeciwko siebie w milczeniu. Morgan przypomniał sobie dzień ślubu Caroline i udrękę, jaką wówczas przeżywał.

Był zakłopotany. Wciąż pozostawał we władaniu tego samego magnetycznego przyciągania, które zawsze odczuwał w jej obecności.

Wyznał ściszym głosem:

- Zawsze cię kochałem i nigdy nie przestanę.

Wzburzona, nie potrafiła wytrzymać napięcia w jego spojrzeniu.

Opuściła wzrok i dzięki szerokiemu rondowi jej kapelusza Morgan nie mógł zobaczyć, jak zareagowała na te słowa. Gdy w końcu podniosła wzrok, stwierdził, że ma oczy pełne łez.

- Do widzenia, Morganie - powiedziała.

Widząc sunącą w ich kierunku groźną postać Leonory, Morgan szepnął z naciskiem:

- Naprawdę! Myślisz, że cię nie Kocham, ale mylisz się! Patrzył za nią, gdy się oddalała. Będąc świadom, że bezwstydnie zdradza Chloe, wykrzyknął scenicznym szeptem:

- Niech to diabli! - po czym odwrócił się, aby pozdrowić babkę.
Z drugiego końca pokoju Meredith Barstow niespokojnie obserwowała tête-à-tête Morgana i Caro. Gdy zobaczyła, że się rozstają, poczuła ulgę. Dzięki Bogu, od dnia swego ślubu Morgan nie stanowi już zagrożenia, pomyślała. Miejmy nadzieję, że na tym się wszystko skończy.
Caro odnalazła Patricka rozmawiającego z Annabel Post, choć najwyraźniej Annabel nie wносиła do konwersacji żadnego wkładu. Po nadejściu Caro skorzystała z okazji, aby się ulotnić.
- Patricku, chcę iść do domu - oświadczyła Caroline bez wstępów.
Zaskoczony wykrzyknął:
- Ale przecież dopiero co tu przyszliśmy! Co się stało? Może jesteś chora?
- Chora? Tak, chyba tak. Jestem chora. Za chwilę będę miała mdłości. Czuję się fatalnie, to wszystko.
- Wypij jeszcze jeden kieliszek szampana. To najlepsze lekarstwo na świecie, zwłaszcza Krug. Opróżnił swój kieliszek i podsunął go kelnerowi do ponownego napełnienia. Dla Caro było jasne, że wyciągnięcie stąd Patricka nie będzie łatwe.
- Poza tym obiecałaś Meredith, że pomożesz jej opiekować się generałem. To prawda, obiecała. Może to było rozwiązanie. Upić się szampanem i nie odstępować dziadka ani na krok, tak aby Morgan nie miał okazji ponownego przyparcia jej do muru. Wzięła do ręki kanapkę i następny kieliszek Kruga, po czym ruszyła na poszukiwanie generała.
W innej części pokoju John Post rozmawiał ze swoją córką:
- Powiedz, kochanie, kiedy Morgan zaczyna swoją nową pracę?
- Nie zaczyna. - Ślub się odbył, więc Chloe czuła, że może wyłożyć karty na stół. - Nie udało mu się. Nie dostał tej posady.

Z jednej strony Post poczuł złośliwą satysfakcję, a z drugiej - przemożną chęć wyrażenia dezaprobaty.

- Więc z czego będzie żył?

- Chyba z moich pieniędzy. To znaczy - dopóki czegoś nie znajdzie.

Uśmiechnęła się do ojca uwodzicielsko. Post nie po raz pierwszy przyłapał się na myśli, że żałuje, iż Chloe jest jego córką: była dla niego zakazanym owocem. Spojrzał bez entuzjazmu na swojego zięcia, rozmawiającego z Leonorą Steer. Choć Leonora stała tyłem do Posta, wyczuła jego wzrok. Odwróciła się nagle i spojrzała mu prosto w oczy. Post natychmiast uciekł oczyma w bok. Niestety jednak za późno, Leonora już szła w jego kierunku. Tym razem nie było czasu na ucieczkę. Generał, który siedział pomiędzy Caro i Meredith i z zainteresowaniem śledził władcze gesty Leonory, orzekł:

- To piękna kobieta. Piękna kobieta! Zawsze to powtarzam... - urwał.

- Całkiem, całkiem - powiedziała Meredith, myśląc jednocześnie:

Zaczyna się plątać. Wypił za dużo szampana.

- Nie wiem, czy nie powinienem powtórnie się ożenić. Meredith nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. Matka i córka równocześnie zwróciły się w jego stronę.

- Z kim, ojczyste?

- Z* Leonorą, oczywiście!

Meredith wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby mieć na karku ich oboje. Chociaż może oboje byliby na głowie Julii.

Którzejkolwiek przypadłby ten los, nie miałyby wesołego życia.

Generał rozmarzył się.

- Urządzilibyśmy jeszcze jedno przyjęcie. Takie jak to. Z pięknymi dziewczętami. Z szampanem. A skoro już o tym mowa, poproszę o dolewkę. - Brzęknął o kieliszek sygnetem.

- Czy nie sądzisz, że dość... - Ale było za późno. Kelner już napełniał kieliszek.

Generał wypił łączywie jego zawartość.

- O czym to ja mówiłem? - zmarszczył brwi.

- O przyjęciach, pięknych dziewczętach i tak dalej - przypomniała mu z westchnieniem Meredith.

Oblicze jej ojca natychmiast się rozjaśniło.

- Właśnie. Wino, kobiety i śpiew.

Po chwili umilkł, wspominając jedno szczególne przyjęcie, podczas którego przetańczył cały wieczór z Leonorą, a Celia wściekła się nie wiadomo dlaczego. Generał zaczął nerwowo wylamywać sobie palce.

- W końcu - oświadczył nagle - nie chodzi się na przyjęcia, aby tańczyć z własną żoną. Z własną żoną można tańczyć każdego cholernego dnia tygodnia.

- O czym mówisz, dziadku? - odezwała się Caro.

- O tańcach, oczywiście. - Przyglądał jej się, jakby zaskoczyła go tępota wnuczki. - Obudź się, dziewczyno!... Cóż - podjął po chwili na nowo - nie miałem z nią wiele uciechy!

Meredith, dla której tok jego myśli był zupełnie niezrozumiały, zapytała:

- Z kim nie miałeś uciechy?

- Ty też nie słuchasz tego, co mówię - powiedział zrzędliwie generał. - Z twoją matką! - dodał zgryźliwie.

- Jeśli mama była taka posepna, dlaczego w ogóle się z nią ożeniłeś?

Meredith uważała, że skoro unieszczęśliwił matkę za życia, mógłby przynajmniej po śmierci zostawić ją w spokoju.

- Myślałem, że uda mi się ją rozweselić. Ale nic z tego! - wyjaśnił.

Znów pograżył się we wspomnieniach. Za plecami ojca Meredith powiedziała półgłosem do Caro: - Chyba lepiej będzie, jeśli zabierzemy go do domu, zanim rzeczywiście się oświadczy. Ale przedtem mam zamiar wypić jeszcze jeden kieliszek szampana. Czuję, że właśnie tego mi potrzeba. A ty?

- Ja też czuję, że właśnie tego mi potrzeba!

Meredith ruszyła na poszukiwanie trunku. Po drodze natknęła się na Julię. Przywołała kelnera, wskazała na Caro i powiedziała:

- Czy mógłby pan zanieść tamtej pani jeszcze jeden kieliszek szampana? Dziękuję panu bardzo. - Gdy się oddalił, oświadczyła Julii: - Nie będę owijać w bawełnę. Ojciec straszy, że oświadczy się Leonorze.

Julia nie była tym zaniepokojona.

- Bez paniki, Meredith. Przede wszystkim należy zadać sobie pytanie, co matka mogłaby na tym zyskać. Odpowiedź brzmi: nic. Nawet specjalnie nie przepada za mężczyznami. Zawsze stanowili dla niej tylko środek do celu. Chyba, że... -zawahała się. - Wybacz, że cię o to pytam, ale czy twój ojciec ma jakieś pieniądze?

- O ile wiem, nie - odrzekła Meredith.

- Wiec jesteś bezpieczna. Matka może nie jest romantyczna, ale za to bardzo zachłanna, a jeśli nie ma nic, czego mogłaby pożądać, nie będzie zainteresowana. Najwyżej trochę się nim pobawi, a dopiero potem mu odmówi.

Perspektywa takiego starczego flirtu spowodowała, że Meredith aż się skrzywiła. Zamieszanie w drugim końcu pokoju sprawiło, że obie odwróciły się w tamtą stronę.

- Wygląda na to, że Morgan i Chloe wychodzą.

- Co? Przed podaniem tortu weselnego?

- Nie będzie tortu weselnego. Veronica Post za tym głosowała. Uważa, że torty weselne są zbyt wulgarne!

- Cóż, z pewnością się na tym zna - Meredith spojrzała na matkę panny młodej z niesmakiem. - Jest w moim wieku, a spójrz tylko, jak wygląda! Ruszyły, aby się przyłączyć do zebranej przy drzwiach gromadki. Chloe, która miała spędzić resztę życia z Morganem, czuła się przerażona.

Poszukała wzrokiem Joanny. Odnalazła ją w tłumie w towarzystwie Toma Marchanta, który obejmował ją ramieniem. Pod wpływem impulsu Chloe wyrzuciła swój bukiet wysoko w powietrze, tak że wzbił się ponad głowami stojących z przodu ludzi. Morelowe wstążki szy-

bowwały nad ziemią, przypominając pióra w ogonie jakiegoś egzotycznego ptaka. Bukiet wzbił się w górę i - ku ogólnemu niezadowoleniu - został złapany przez Toma, który był dość wysoki, aby go pochwycić przed innymi.

- Nie powinieneś tego robić! - krzyknęła Joanna, na pół rozbawiona i na pół zirytowana.

- Nie wiesz, jak mam zamiar teraz go spożytkować! - powiedział z dworskim ukłonem, ofiarowując jej lilie. - Chcę cię prosić o rękę! Było oczywiste, że spodziewał się, iż przyjmie jego oświadczyzny z entuzjazmem.

I rzeczywiście chciała, żeby jej się oświadczył.

A jednak, pomyślała biorąc od niego kwiaty, Tom nie ceni niczego, co zdobywa bez walki. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Odpowiedziała po krótkim milczeniu:

- Bardzo mi to schlebia, Tom, ale zobaczymy najpierw, jak będzie nam się układało. Poza tym wciąż jesteś żonaty!

Jej odpowiedź nie zachwyciła go. Nagle uświadomił sobie, że on i Joanna znaleźli się w centrum uwagi zaciekawionej grupy weselnych gości. Choć był trochę zbity z tropu, odczuwał też ulgę. Czy rzeczywiście chciał tak szybko na nowo pakować się w ambaras, jakim jest małżeństwo?

Postanowił jednak zapewnić wszystkim dobre widowisko i pocałował Joannę.

Widok obejmującej się pary pozostał dla Chloe ostatnim bolesnym wspomnieniem z własnego przyjęcia weselnego, po którym ona i Morgan wyruszyli w podróż poślubną.

Caro, z ciężkim sercem, wróciła do domu z dziadkiem, matką i mężem. Żadna ilość Kruga nie może wynagrodzić mi tego, co właśnie przeżyłam, pomyślała. Nieświadom jej rozpacz, upojony szampanem Patrick był wesóły, a przez to niezwykle irytujący; generał, który spożył większą ilość alkoholu niż oni oboje, kroczył za nimi niepewnie, podtrzymywany przez Meredith i pogrążony w ponurej introspekcji. Nagle ocknął się z zamyślenia:

- Zupełnie zapomniałem się oświadczyć. To twoja wina, Meredith, powinnaś była mi o tym przypomnieć!

- Azaliż jestem stróżem ojca mego? - zareplikowała kwaśno Meredith. Oddalony znów o tysiące mil, generał nie zareagował, ale gdy schodzili do stacji metra przy Bond Street, Meredith usłyszała, jak mamrotał do siebie niewyraźnie: „Cieplarnia, tego właśnie potrzebuję. To jest to! Cieplarnia” - po czym, ku jej ogromnej uldze, znów popadł w zadumę. Mówiący bez ustanku Patrick, Caro, Meredith i sir Arthur - każde zamknięte we własnym, iluzorycznym świecie - jechali z powrotem do Clapham.

WRZESIEN

Napad na Larcha był dla wszystkich prawdziwym szokiem. Telewizyjne informacje o ogólnym wzroście przestępczości w miastach to jedno, ale brutalna napaść na kogoś znajomego to zupełnie inna sprawa. Dlatego Caro wybrała się do szpitala, aby odwiedzić eks-przyjaciela siostry. Larch leżał w ogólnej sali, ubrany w za dużą piżamę w paski. Miał kilka złamanych żeber i wielki siniak wokół oka. Gdy Caro zobaczyła go na wąskim, białym łóżku, wydało jej się, że jakoś dziwnie zmałał. Usiłując uchwycić zmianę, jaka w nim zaszła, doszła do wniosku, że znikło gdzieś jego świę-toszkowate poczucie wyższości.

Przysunęła sobie krzesło, gotowa odegrać rolę duszpasterza.

- Zmartwiłam się, gdy się o tym dowiedziałam. Jak się czujesz, Jonathanie?

Wykrzywiony z bólu, podciągnął się na łóżku do pozycji półsiedzącej.

- Dobrze, dziękuję, Caroline.

- Czy wiadomo, kto to zrobił?

Na jego twarzy pojawił się wyraz przestachu. Po długiej pauzie powiedział:

- Nie, nie wiadomo.

- Ty też nie wiesz? - Caro przyjrzała mu się uważnie. Larch zerknął spod oka na innych pacjentów w sali. Wyczuła w jego słowach nieszczerłość pomieszana ze strachem.

- Zaszli mnie od tyłu. Nie widziałem ich - powiedział. Zamknął oczy. Przez chwilę Caro wydawało się, że zasnęło, lecz znów je otworzył.

- Czy Emily przyjdzie mnie odwiedzić? Tęsknię za nią. W obawie, że Larch za chwilę wybuchnie płaczem, Caro odrzekła:

- Jestem pewna, że przyjdzie zobaczyć, jak się miewasz. Czy długo zamierzają cię tu trzymać?

- Nie wiem.

W jego głosie słyhać było zniechęcenie. Caro, która miała własne problemy, poczuła, że robi jej się jeszcze ciężiej na sercu. Nieśmiało ujął jej rękę. Jego dłoń była wąska i chłodna, a przy tym dziwnie słaba. Pokonawszy odruch wyrwania ręki, zakłopotana Caro pozwoliła na ten uścisk. Czowała się zażenowana.

Larch powiedział:

- Caro, chcę cię prosić o przysługę. Czy wstawisz się za mną u Emily? Proszę...

Och, nie, pomyślała Caro. Wolałabym, żeby nie prosił mnie o to, leżąc tutaj z podbitym okiem i czterema złamanymi żebrami. To nie fair.

Uścisnęła uspokajająco jego dłoń, po czym uwolniła swoją i odparła:

- Posłuchaj, Jonathanie, chciałabym ci pomóc, ale nie powinnam się wtrącać w sprawy twoje i Emily. Dlaczego sam z nią nie porozmawiasz, kiedy przyjdzie cię odwiedzić?

Czuła, że jest naprawdę bezlitosna.

Nieszczęsny Larch znów opadł na poduszkę. Caroline nie potrafiła rozstrzygnąć, którego z jego wcieleń bardziej nie lubi: Larcha władczego czy Larcha omdlewającego.

- Jestem zmęczony, chyba chciałbym się teraz zdrzemnąć - powiedział.

Gdy poszła, rozpamiętywał wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Pamiętał odurzający zapach róż, który przesycił swym tchnieniem ciepłą, amarantową, wrześnie noc, gdy szedł z Nothing Hill Gate wzdłuż Kensington Park

Road do Elgin Crescent. Pamiętał odgłos własnych kroków na szarym londyńskim bruku. Było spokojnie; mijało go niewielu przechodniów. Kojąca noc późnego lata, wywołująca w duszy poczucie, że jest się częścią jakiejś harmonijnej całości. Idąc myślał o Emily. Z pewnością wróci jej rozsądek, zobaczy, że mimo ostatnich niepowodzeń mogą nadal kroczyć wspólną drogą. W chwili gdy zatrzymał się, aby przełożyć siatkę z zakupami z jednej ręki do drugiej, nastąpił atak. Larch poczuł, że ktoś ciągnie go w tył za związane w kitkę włosy. Siatka pękła przy zetknięciu z krawężnikiem, puszki ze zdrową żywnością potoczyły się po bruku. Gdy uderzały z hałasem o kamienie, Larch miał wrażenie, że z jego głową za chwilę stanie się to samo. Ktoś się roześmiał.

Poczuł rękę, przeszukującą jego kieszenie. Z powracającą, to znów boleśnie umykającą świadomością spróbował podnieść się z ziemi, lecz silne uderzenie pięścią w twarz położyło kres jego wysiłkom. Nie był w stanie się osłonić. Poczuł serię tępych ciosów w bok. Chyba go kopali. Jęczał. Ostatnią rzeczą, jaką słyszał, zanim znów zapadł w ciemność, były słowa:

- Przyłóż mu jeszcze raz, Nige! - wypowiedziane głosem, który rozpoznał...

W zasięgu wzroku pojawiła się gruba pielęgniarzka.

- Czas na środek przeciwbólowy, panie Larch. Czy ktoś potrzebuje basenu?

To pytanie było skierowane do wszystkich w sali. Po raz pierwszy w życiu Larch znalazł się w położeniu osoby potrzebującej. Stał się ofiarą bezdusznego, przedmiotowego traktowania, którego sam nie szczędził tym, co mieli mniej szczęścia niż on. Kiedy pielęgniarzka wyniosła się w końcu, Larch zaczął rozmyślać o Nigelu i Garym. Gary był głupim młodzikiem, który łatwo wpada w złość. Ale Nigel to zupełnie co innego. Ten - chociaż wiele się nie uczył, nie był głupi. Był za to niebezpiecznie urodziwy - niczym upadły anioł. I naprawdę zdeprawowany. Larch wiedział o tym z jego akt. Ale, dumał, wydawało mi się, że nawiązałem z nim w końcu jakiś kon-

takt. Cieszyłem się jego szacunkiem, nawet jego... jego czym? Gorące łzy niespodziewanie spłynęły Larclowi po twarzy. Z autodestrukcyjną jasnością zdał sobie sprawę, że nie jest zakochany w Emily. Kochał Emily, owszem - choć najwyraźniej nie tak, jakby sobie tego życzyła - ale nigdy nie był w niej zakochany. Nie, jego, Jonathana Larcha, pociągał fizycznie Nigel Moulton.

Nowa, wyzwolona Emily, która właśnie obiecała Jackowi Careyowi, że będzie mu pozować nago, na uginających się ze strachu nogach szła odwiedzić Larcha. Zanim wyruszyła, podjęła decyzję, że w żadnym wypadku nie da się przebłagać, nawet jeśli zostanie swego kochanka w naprawdę oplakany stan. Dla niej ich romans był skończony.

Stojąc w nogach łóżka Jonathana, zastanawiała się, jak mogła kiedykolwiek uważać go za atrakcyjnego mężczyznę. Larch, uspokojony po przeżytej iluminacji (choć zdiagnozowanie problemu prawdopodobnie stwarzało więcej trudności, niż rozwiązywało), czuł, że może sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

Emily wysłuchiwała w milczeniu tego, co miał do powiedzenia. Jego nagła zmiana frontu całkowicie ją zaskoczyła. Wciąż mówił nienaturalnym tonem, ale - choć raz - Emily usłyszała to, co chciała usłyszeć. Gdy przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć tchu, zaproponowała:

- Jeśli chcesz, jutro wystawię na sprzedaż nasz dom. - Im szybciej, tym lepiej. Poczula ogarniające ją pragnienie, aby jak najprędzej zakończyć ten związek, zanim Larch znów zmieni zdanie.

- Musisz sprzedać dom - wydał jej polecenie Larch, jakby wcale tego nie powiedziała. - Żeby to zrobić, należy...

- Wiem, jak się sprzedaje domy - przerwała mu Emily, choć w istocie nie miała o tym pojęcia.

Jonathan ciągnął dalej tym samym tonem, jakby w ogóle nie słyszał, co ona mówi:

- I będziesz musiała przypilnować remontu kuchni.
- Niczego nie trzeba pilnować. Kuchnia jest już prawie ukończona, a jestem gotowa się założyć, że jeśli ktoś kupi dom, będzie chciał sam wybrać kolor farby, zwłaszcza gdy się dowie, że może to zrobić na koszt naszego ubezpieczenia.

Pomyślawszy, że Emily stała się ostatnio niezwykle harda, Larch zakończył:

- Cóż, to chyba wszystko. Mam nadzieję, że gdy już załatwimy nasze sprawy, pozostaniemy w kontakcie, i że zawsze będziesz do mnie przychodzić, aby zasięgnąć mojej rady.

Emily, która nie miała zamiaru się z nim kontaktować, odpowiedziała:

- Tak, na pewno będę.

Kątem oka Larch ujrzał swoją dręczycielkę - tęgą pielęgniarzkę sunącą przez salę niczym czołg. Pragnąc uniknąć pytań dotyczących jego intymnych czynności fizjologicznych w obecności Emily, powiedział:

- Chciałbym odpocząć.

- Tak, oczywiście.

Uścisnęli sobie dłonie. Jakie to dziwne, pomyślała Emily. Kiedyś dzieliliśmy ze sobą łóżko, a teraz podajemy sobie ręce.

- Do widzenia, Jonathanie.

- Do widzenia, Emily.

Joanna postanowiła umówić się z ojcem na drinka jeszcze przed planowanym lunchem. Spóźniła się do Savoyu dziesięć minut. Zastała ojca kartkującego pismo „Economist” i palącego cygaro wielkości małego canoe. Harry Blackstock szczerze ucieszył się na jej widok.

Kochał córkę do szaleństwa i czuł się opiekunem Joanny w takim samym stopniu jak wtedy, gdy była jeszcze małą dziewczynką.

Skinął na kelnera.

- Czy chciałabyś wypić kieliszek chablis, kochana Joanno?

- Tak, z przyjemnością!

- A dla mnie whisky z sokiem cytrynowym - zamówił Harry. Gdy przyniesiono trunki, trącili się kieliszkami: „Zdrowie!” Był to zwykły rytuał Blackstocków.

Harry przyznał niechętnie:

- Dobrze wyglądasz. Ten wieczny golec Marchant musi o ciebie dbać!

- Tato, powiedz mi, co konkretnie masz przeciwko Tomowi. Harry nie był hipokrytą. W swoim czasie przeprowadził

w City kilka nielegalnych transakcji, dlatego nie miał teraz ochoty na moralizatorstwo.

- Ten osioł pozwolił się przyłapać. To jego największa zbrodnia. Winię go za nieudolność, a nie za machinacje finansowe. To robi każdy.

- Więcej tego nie robi.

- Owszem, nie robi, gdyż w City, które próbuje obecnie zamienić się w pobielaną grób, nie pozwolą mu na to!

- Obecnie działa w przemyśle winiarskim.

- Brzmi to nader godnie - odparł potentat handlowy, zaciągając się cygarem. - Niech zgadnę. Wszedł w spółkę z innym facetem tego samego pokroju.

Nie po raz pierwszy uderzyła Joannę przenikliwość ojca.

- Tato, musiałeś gdzieś poznać Toma!

- Nie, nie znam go, ale pogłoski o skandalu, w który był zamieszany, dotarły także do moich uszu. Do tego należy jeszcze dodać fakt, że jest w trakcie sprawy rozwodowej z pierwszą żoną, a jednocześnie ugania się za następną ofiarą, a jest nią moja córka.

Wiedząc, że musi zdobyć się na całkowitą szczerość, Joanna wyznała:

- Myślę, że na początku pociągały go przede wszystkim pieniądze. Z pewnością nie był mną zainteresowany, dopóki się o nich nie dowiedział. Ale teraz to coś zupełnie innego.

i oczywiście, gdybyśmy mieli się pobrać, sporządziłabym kontrakt, który Tom musiałby podpisać przed zawarciem małżeństwa w obecności prawników. Naturalnie na twoje żądanie. Ja nie mogłabym go o to prosić. Musiałbyś dać mu do zrozu-

mienia, że to twój warunek - niezależnie od tego, kogo poślubiam. W przeciwnym razie nici z gotówki.

Harry spojrzał na córkę z nie ukrywanym podziwem.

- To po prostu środek ostrożności - powiedziała Joanna. -Rozumiesz.

- Moja mądra dziewczynka - pochwalił ją Harry. - Ale dlaczego miałybyś wychodzić za Marchanta? Nie wystarczy potrzymać go przy sobie tylko dla zabawy?

- Czas, żebym się ustatkowała. Poza tym jestem w nim zakochana.

- To znaczy, że przegrałaś jeszcze przed startem! Ten stan uniemożliwia obiektywny osąd.

- Nie, gdyż po pierwsze mu o tym nie powiedziałam, a po drugie on również jest we mnie zakochany.

A kto by nie był, pomyślał z czułością Harry, spoglądając w zachwycie na swoją praktyczną jedynaczkę.

- Cóż - ustąpił w końcu, dopijając swoją whisky - wygląda na to, że masz wszystko pod kontrolą. Uważaj, tak trzymać. Kiedy masz zamiar przedstawić mi Toma, abym mógł mu się przyjrzeć?

- Trzeba to jeszcze ustalić, ale gdy się spotkacie, nie zapomnij, że Tom także będzie ci się przyglądał, więc staraj się go nie zrazić. Zachowuj się jak należy, tato.

- Wszystkiego, czego pragniesz, ja pragnę także. Wiesz o tym, Joanno.

Poprosimy o rachunek?

Chloe i Morgan bardzo miło spędzali czas w Crillonie i oboje byli zadowoleni ze swego miesiąca miodowego. Lecz jeśli nie wybierali się wieczorem na żadne przyjęcie, ich rozmowa stawała się dziwnie nienaturalna i często zapadała między nimi cisza, niczym niewidzialna kotara. Chociaż, myślał Morgan, zdecydowany przełamać w sobie wszystkie uprzedzenia, to powszechnie znany fakt, że w miesiącu miodowym może się trochę nie kleić. Uważał także, że uroczy hotelik w Rzymie, który on wybrał, byłby dużo bardziej odpo-

wiednim miejscem na ten czas, gdyż Crillonowi, jego zdaniem, brakowało przytulności.

Któregoś dnia, upływającego w szczególnie milkliwym nastroju, wieczorem w taksówce jadącej z Musee de Chasse do Left Bank, Chloe postanowiła w końcu podzielić się z Morganem nowiną.

- Czy to nie wspaniałe, kochanie? - W jej głosie słychać było prawie niewyczuwalne wahanie. - Jestem w ciąży.

- Co? Jesteś tego pewna? - Morgan w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym uszom, a potem wprost nie posiadał się z radości. Wszelkie obawy wyparowały. - Od jak dawna wiedziałaś?

Od jak dawna wiedziała?

- Dowiedziałam się na dzień przed ślubem.

- Ale dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? Gdy to mówił, przypomniał sobie z poczuciem winy swoją rozmowę z Caro. Czy powiedziała by jej to wszystko, gdyby wiedział to, co wie teraz? Prawdopodobnie nie. Przepełniony wyrzutami sumienia pomieszany z czułością, wziął Chloe w ramiona i ucałował.

Chloe dobrze wiedziała, dlaczego nie powiedziała o tym Morganowi wcześniej. Zwłoka pozwoliła jej wyobrazić sobie, że to tylko zły sen, który wkrótce się skończy. Teraz, gdy Morgan już się o tym dowiedział, będzie musiała stawić czoło swojemu lękowi.

Wyjrzała przez okno. Wieczorem Paryż stawał się odrobinę chłodniejszy, pograżał się w purpurowym zmroku, jakby się przygotowywał do zimy, zachowując jednocześnie łagodne, mleczne światło późnego lata. Gdy jechali, słońce zdawało się przesuwac razem z nimi, tocząc się po mglistych szczytach drzew w parku.

- Właściwie nie wiem dlaczego - skłamała Chloe.

Leonora wracała właśnie z Battle Hill, z kancelarii swojego adwokata, gdzie dokonywała kolejnej zmiany testamentu. Nagle stanęła jak wryta. Zatrzymała się tak gwałtownie, że osoba idąca z tyłu wpadła na nią.

- Mógłby pan łaskawie uważać, jak pan chodzi - rzekła Leonora oschle, wpatrując się niczym jastrzęb w kogoś idącego drugą stroną ulicy. Jestem pewna, że to on, stwierdziła, osłaniając oczy. Wygląda nędznie, ale to on! Musiały nastać dla niego ciężkie czasy.

Po chwili zrównała się z nim.

- Major Farrell, jak sądzę!

Wzdrygnął się. Leonora odniosła wrażenie, że zachowuje się tak, jakby się czegoś obawiał. Przez krótką chwilę wpatrywał się w nią intensywnie. Wreszcie odzyskał mowę.

- Dobry Boże, czyż to nie pani Steer?

- W rzeczy samej. Nasze spotkanie bez wątpienia zaoszczędziło ci kłopotu odszukania mnie. Gdzie możemy porozmawiać? Zatrzymałeś się w jakimś hotelu?

Major nie miał ochoty się przyznać, że wynajmuje pokój w jakimś nędznym, zapuszczonym pensjonacie.

- Tak, ale to dosyć daleko stąd. Może wstąpimy do piwiarni?

- Do piwiarni? - spojrzała na niego z góry. - Dobrze, skoro nalegasz. Piwiarnia, którą wybrał, była bardzo stara. Jej ściany były wyłożone dębową boazerią. W sezonie letnich prac polo-

wych tłumnie odwiedzali ją okoliczni farmerzy. Z upływem lat dym z kominka nadał ścianom kolor palonej sjeny. Leonora z obrzydzeniem podniosła przepelnioną popielniczkę i wezwała kelnera.

- Proszę to stąd zabrać - poleciała, po czym dodała wskazując wzrokiem majora: - A gdy pan już to zrobi, proszę tu wrócić, gdyż mój towarzysz chciałby zamówić trunki.

- Weź dla mnie podwójny gin z tonikiem i cytryną, bez lodu - poinstruowała Farrella. - I chciałabym sama nalać sobie toniku.

- Podwójny gin z tonikiem i cytryną bez lodu, i pani chciałaby sama nalać sobie toniku, a dla mnie pół kufła waszego najlepszego gorzkiego piwa - polecił kelnerowi major, który miał przy sobie ostatnie dwadzieścia funtów.

Świadomi lat, które upłynęły od ich ostatniego spotkania, siedzieli i przyglądali się sobie nawzajem.

Jest bardzo zaniedbany, zawyrokowała Leonora, wpatrując się w jego przerzedzone siwe włosy, które gdzieniegdzie zachowały swój pierwotny rudawozłoty odcień. I za dużo pije. A jego oczy? Kaprawe, o zażółconych białkach. Przystojny niegdyś major zestarzał się. Jest stary i zmęczony. Czas, by mu zamknąć usta.

Chryste, ależ ona jest wiekowa, myślał w tym samym czasie major. Musi mieć chyba z dziewięćdziesiąt lat. Choć pozostała tak samo agresywna. Przypomniał sobie, jak pertraktował z nią o swoją zapłatę: mimo zaciekle targów nie udało mu się wtedy wyciągnąć od niej takiej sumy, na jakiej mu zależało.

Leonora uśmiechała się do niego swoim niebezpiecznym uśmiechem znad szklanki. Jej spojrzenie przeniosło go w przeszłość odległą o całe dekady. Farrell zdał sobie nagle sprawę z jej nie starzejącego się kobiecego powabu. Gdy chciała, potrafiła ukryć fakt, że ma już dziewięćdziesiąt lat.

- Zdrowie - powiedział major niepewnie.

- Więc co tu robisz? - dopytywała się Leonora, nie zwraca-

jąc uwagi na jego toast. Po chwili sama odpowiedziała sobie na to pytanie: - Spodziewam się, że chodzi o pieniądze?

Jej przypuszczenie było całkowicie zgodne z prawdą. Farrell poczuł, że ogarnia go zakłopotanie.

Leonora zanotowała w pamięci fakt, że ani razu nie wspomniał o Morganie. Ani nawet o Julii. Cóż, oboje wiemy o istnieniu Julii, ale podejrzewam, że o istnieniu Morgana wiem tylko ja, pomyślała.

Oszacowała płynące z tego korzyści, dopiła swój gin z tonikiem i ruchem ręki wskazała, że z przyjemnością wypiłaby jeszcze jeden.

Przeprowadziwszy w myśli kilka działań arytmetycznych, major Fred zastanawiał się, ile Leonora jeszcze jest w stanie pochłonąć na jednym posiedzeniu. Skoro on zamierza na jakiś czas zatrzymać się w Hexham, z pewnością nie powinien wystawiać czeku bez pokrycia.

- To będzie musiał być mój ostatni. Umówiłam się przed Moot Hall z Julią, która załatwia dla mnie kilka sprawunków. Może zechcesz pójść ze mną i odnowić znajomość ze swoją żoną? Bo chyba wciąż nią jest?

Cóż, to racja. Nie uczynił przecież nic, aby rozwiązać to małżeństwo.

- Ach, tak, kochana Julia! - Czuł, że radość w jego głosie brzmi fałszywie.

Ironiczne spojrzenie Leonory wskazywało, że ona też to zarejestrowała. -

Może innym razem. Dzisiaj mam do załatwienia pewien interes, którym muszę się zająć - zniżył głos. Miał nadzieję, że nie będzie chciała się dowiedzieć jaki.

Leonora jednak nie zadawała więcej pytań.

- Ach tak, oczywiście. - Powiedziała tylko. A potem dodała

niespodziewanie: - Naturalnie, oczekujemy cię na lunchu w niedzielę. O dwunastej trzydzieści. Nie spóźnij się, proszę.

Ujęła swoją laskę.

Myśl o pełnym wyrzutu spojrzeniu Julii zmroziła Farrellowi krew w żyłach.

- Cóż, nie jestem pewien...

Leonora przerwała mu w pół zdania.

- Doskonale, więc jesteśmy umówieni. Do widzenia, Fredericku.
Odprowadził ją do drzwi, po czym zamówił jeszcze jednego drinka.

Leonora znalazła Julię ładującą zakupy do bagażnika.

- Nie dostałam pieczywa - oznajmiła Julia.- Niestety, już nie było.

Pograżona we własnych myślach, Leonora nie zareagowała od razu.

- Mamo, słyszałaś, co powiedziałam?

- Tak, słyszałam. Nie bądź nudna, Julio. To, czy w domu będzie pieczywo, czy nie, to twoje zmartwienie. Myślę w tej chwili o czymś dużo ważniejszym. Czy mogłabyś otworzyć mi drzwiczki?

Julia wykonała polecenie ze słowami:

- Doprawdy? O czym?

Leonora, która lubiła prowadzić ze swoimi bliskimi gierki psychologiczne, postanowiła podręczyć córkę, zanim dotrą do Armitage Lodge, i dopiero wtedy wyjawic jej wszystko.

Zgodnie z tym planem, powiedziała tylko:

- W niedzielę na lunchu będziemy mieć niespodziewanego gościa. Może w drodze powrotnej powinniśmy wstąpić do rzeźnika.

Cassandra wróciła ze spaceru z Jardine'em. Gdy weszła do domu, z salonu dobiegły ją odgłosy gwałtownej sprzeczki. Cassandra zdjęła płaszcz nieprzemakalny i powiesiła go na wieszaku. Zastanawiała się, kto to może być. Pojawienie się wychodzącej z kuchni Gary rozwiązało ten problem. To musiała być matka i Julia.

- Co się dzieje? - zapytała Cassandra ściszoneg głosem.

- Nie wiem. Przez ostatnie pół godziny kłóć się jak pies

z kotem. Julia wciąż krzyczy: „Jak mogłaś, mamó!” O, znowu. Zupełnie odchodzi od zmysłów.

- Nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę charakter matki.

- Uważasz, że powinniśmy interweniować? - zaniepokoiła się Gara.

- Nie, jeśli nie chcemy doznać obrażeń fizycznych.

Głośny huk połączony z odgłosem tłuczonego szkła sprawił, że obie zamilkły. Jardine położył uszy po sobie i zaczął skomleć.

- Jak myślisz, co to było?

- To - oświadczyła Cassandra - mógł być tylko wypchany ptak w szklanym pudle. Któraś z nich musiała go strącić. Zauważyłaś, że matka wcale się nie wścieka? Tylko Julia. Wiesz co, lepiej stąd zmykajmy.

Możemy sprzątnąć szkło, gdy matka już opuści pole walki.

Skradając się pod drzwiami salonu, usłyszały jeszcze wyniosły głos Leonory:

- To żenujące przedstawienie, Julio. Natychmiast doprowadź się do porządku!

Jak było do przewidzenia, Julia zareagowała na to gwałtownym atakiem wściekłości. Po kolejnym: „Jak mogłaś, mamó!” dobiegł je histeryczny krzyk i szloch, potem odgłos silnego uderzenia w twarz, a wreszcie - cisza. Cassandra i Gara znieruchomiały. Kroki kierującej się w stronę drzwi Leonory sprawiły, że obie umknęły do kuchni.

Dzięki temu, że drzwi kuchenne pozostały uchylone, słyszały, że Leonora wolno wchodzi po schodach. Po chwili z jej sypialni rozległ się dźwięk dzwonka.

- Ty idź - powiedziała Cassandra. - Ja pójdę i usunę ślady krwi.

- Czy muszę?

- Tak, musisz. W przeciwnym razie znów zejdziesz na dół, a tego przecież nie chcemy. Ktoś może popełnić morderstwo.

Gara, powłócząc nogami, poszła na górę. Cassandra cicho otworzyła drzwi salonu. Julia, z głową odrzuconą do tyłu, na wpół siedziała, na wpół leżała na sofie.

Trochę się już uspokoiła. Na jednym policzku miała czerwoną pręgę.

- To ślad po pierścionku mamy - wyjaśniła. Wypchany ptak leżał na podłodze wśród porzucanych owoców i liści. Jego małe, zakończone pazurami łapy wciąż były zaciśnięte na nie istniejącej już gałęzi. Wszędzie wałały się okruchy potłuczonego szklanego klosza. Pomiedzy nimi Cassandra zauważyła skorupy niewątpliwie innego pochodzenia. Podniosła jedną z nich. Och, to chyba niemożliwe, pomyślała.

- Owszem, rzuciłam w niego messyńską statuetką - odpowiedziała Julia na nieme pytanie Cassandry. - Tą, którą jej podarował książę Walii.

Mama ma szczęście, że nie cisnęłam figurki w nią. Poszła sobie?

- Tak, poszła. Teraz znęca się nad Clarą. Co się, u licha, stało?

- Nigdy nie zgadniesz, kogo spotkała w Hexham.

- Pewnie nie. Kogo?

- Majora Fredericka Farrella.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Clara, która w istocie nie była aż tak zaskoczona, jak na to wyglądało.

- Owszem. Mój mąż znów pojawił się na horyzoncie. Matka zaprosiła go na niedzielny lunch. Gdy pomyślę o upokorzeniu, którego doznałam ze strony tego człowieka... a matka, matka zaprasza go tu, do Armitage Lodge, nie zadając sobie nawet trudu, aby zapytać mnie o zdanie!

- Cóż, musisz przyznać, że to nigdy nie było w jej stylu - zauważyła Cassandra. - Ale jak uważasz, dlaczego wrócił?

- Och, nie mam pojęcia. - Julia zamknęła oczy. - Wszyscy wiemy, że Frederick nie jest altruistą. Więc musi czegoś chcieć.

Nagła myśl uderzyła Cassandę.

- Idę o zakład, że się dowiedział o małżeństwie Morgana z bogatą kobietą.

- Z tego, co wiem, nigdy nie dowiedział się nawet o jego istnieniu.

- Nie szkodzi, wystarczyło, że przeczytał o ślubie w kronice towarzyskiej. Ciekawe, gdzie był przez cały ten czas.

- Nie zdziwiłoby mnie, gdyby odpowiedź brzmiała: w więzieniu.

Zdumiewa mnie tylko zachowanie matki. Zawsze pogardzała Frederickiem. To zresztą jedyna rzecz, co do której muszę jej przyznać absolutną rację. Więc o co tu chodzi?

- Wydaje mi się, że o dwie sprawy. Po pierwsze, matka jest znudzona, co zawsze sprawia, że robi się niemożliwa, a po drugie, wierzy, że najlepiej mieć wroga w pobliżu, na wypadek gdyby zamierzał na przykład wymusić od niej pieniądze. Kiedy Morgan i Chloe znów tu przyjeżdżają? Chloe! Serce Cassandry drgnęło na myśl o jej odwiedzinach.

- Chyba pod koniec października. Jeśli oczywiście nie przyśpieszą swojego przyjazdu. Miejmy nadzieję, że wtedy już go tu nie będzie. Choć żadna nie powiedziała tego głośno, w głębi duszy obie w to powątpiewały.

- Przynieś mi pióro i kałamarz - poleciła Leonora, która dotąd nie tolerowała długopisów. - I podaj mi łaskawie dużą żółtą kopertę z dolnej szuflady.

Clara wiedziała, co znajduje się wewnątrz. Z lękiem spełniła polecenie.

- A teraz, Claro, możesz odejść, gdyż mam zamiar zmienić testament.

20

Julia odmówiła wzięcia udziału w lunchu, a ponieważ ona i Leonora nie rozmawiały ze sobą, niewdzięczny obowiązek przekazania matce tej wiadomości przypadł w udziale Clarze. Wysłuchawszy jej, Leonora oświadczyła:

- Frederick jest mężem Julii i jej obecność na lunchu to po prostu obowiązek.

Cassandra jednak zgłosiła swoje zastrzeżenia:

- A jednak Julia jest na to zdecydowana. Poza tym Frederick naprawdę nie traktował jej dobrze.

- To jej obowiązek względem mnie. - odparła Leonora. - Oczywiście że traktował ją źle - dodała pogardliwie. - Ostrzegałam Julię, aby za niego nie wychodziła, lecz zlekceważyła moje rady. Teraz za to zbiera owoce swojej głupoty.

- Owszem, ale ty sama trochę jej w tym pomogłaś. - Cassandra nie ustępowała. - Nie musiałaś zapraszać go do Armitage Lodge.

- Będę zapraszać do własnego domu, kogo mi się żywnie podoba - oświadczyła lodowato Leonora, wyczuwając buntowniczy nastrój córki.

- Ale dlaczego to zrobiłaś? - Clara była szczerze zdumiona. Leonora odpowiedziała wolno, jakby zwracała się do małego zwierzątka o bardzo krótkim rozumku.

- Frederick to zbłąkana kula. Trzeba ją zatrzymać i unieszkodliwić. Dopiero kiedy się dowiem, czego chce, będę mogła go puścić wolno.

Clara zmarszczyła brwi.

- Może niczego nie chce.

- Claró, jeśli tak uważasz, jesteś bardzo łatwowna. Frederick ma złą passę. A zatem, znalazł się tutaj z jednego lub dwóch powodów. Albo myśli, że niedługo umrę, i chce być w pobliżu, gdy to się stanie, na wypadek, jeśliby w testamencie znalazło się coś i dla niego, albo chce wykorzystać fakt, że ma syna, który właśnie poślubił bardzo majątną kobietę, a więc również i w tym wypadku chodzi mu o pieniądze. Mam obowiązek go poinformować, żeby na nic nie liczył. Sądziłam, że Julia mogłaby mi w tym pomóc - że chciałyby mi w tym pomóc, ale wygląda na to, że nie chce.

Cassandrze nie po raz pierwszy przyszło do głowy, że chociaż matka często miewa rację, sposób, w jaki stara się tego dowieść, jest prawie zawsze nie do przyjęcia.

Później, gdy znalazła się sam na sam z Julią, powiedziała:

- Ona chce się go pozbyć.

- Może - odrzekła Julia - ale ja nie chcę być tego świadkiem. Po prostu nie mam ochoty więcej widzieć Fredericka, a zwłaszcza Fredericka, który jest biedny, smutny i stary.

Cassandra dobrze rozumiała pobudki Julii.

- Cóż, jeśli nie zatańczysz jako Salome, a matka jako Herodiada, nie będzie miała nawet połowy przyjemności z tego, że głowa majora znajdzie się na półmisku.

Julia roześmiała się.

- Tak, wiem o tym.

- Gdzie pójdziesz, gdy my będziemy uczestniczyć w tym niemiłym przedstawieniu?

- Odwiedzę Meredith.

Meredith. Coś poruszyło pamięć Cassandry. Co to było? Julia, major i Meredith. Coś, co dotyczyło ich trojga. Cassandra usiłowała sobie przypomnieć, lecz nie potrafiła. To wszystko było tak dawno temu.

- Czy ona wie, że Frederick wrócił?

- Nie jest trudno dowiedzieć się o tym w mieście takim

jak Hexham. Ale ja jej o tym nie powiedziałam, jeśli o to ci chodzi. Okazało się, że Meredith nie wiedziała o powrocie majora. Gdy Julia powiadomiła ją o tym telefonicznie, usłyszała wyraźne, głębokie westchnienie.

- ...więc zastanawiam się, czy nie mogłabym przeczekać u ciebie w Tyne Green jego wizyty. Chciałabym się ukryć.

- Oczywiście - powiedziała Meredith, gdy już przyszła do siebie po usłyszeniu tej katastrofalnej wieści. - Ale nie musisz się ukrywać, przyjdź po prostu na lunch.

Julia, zjeżdżając rozklekotanym fordem ze wzgórza, minęła taksówkę wiozącą majora Freda. Dzięki Bogu, że będę z dala od niego, pomyślała z drżeniem, uparcie wpatrując się w przestrzeń przed sobą.

Major zapłacił za taksówkę, lecz nie dał kierowcy napiwku. Gdy taksówka wyjeżdżała tyłem z podjazdu, Frederick cofnął się o krok i uważnie się przyjrzał Armitage Lodge. Dom nie zmienił się ani trochę od czasu, gdy widział go po raz ostatni. Spodziewał się, że w jednym z okien na piętrze ujrzy rozradowaną twarz Julii.

Tym razem jednak u drzwi powitała go Leonora.

- Niestety, twoja żona odmówiła zjedzenia z tobą lunchu - oświadczyła na wstępie. - Niewątpliwie jednak trzy kobiety zamiast czterech powinny ci wystarczyć. Chyba że... - dodała złośliwie, czyniąc aluzję do jego opinii kobieciarza - uznasz, iż to za mało. A więc... - powiedziała kierując się w stronę salonu - chyba pamiętasz Clare, prawda?

Sądził, że ją pamięta, lecz osoba, którą ujrział, w niczym nie przypominała dziewczyny, jaką niegdyś znał. Clara była jedną z piękności hrabstwa; zawsze otaczał ją krąg wielbicieli. Nie była tak inteligentna jak Julia, lecz miała doskonałą figurę i dobrze jeździła konno. Pragnął Clary, w końcu jednak doszedł do wniosku, że Julia jest bardziej osiągalna. Słuszne, choć niepraktyczne założenie, jak się

później okazało. Przekwitła, bojaźliwa Clara była skrepowana sytuacją.
- Cassandre?...

Cassandra w jego oczach znalazła więcej uznania, prawdopodobnie dlatego, że zawsze miała bardziej niezależne usposobienie od Gary. Była szczupła i elegancka, a lata jeszcze to podkreśliły. Wyczuł jednakże, że Cassandra nigdy zbyt nie lubiła mężczyzn. Być może to właśnie brak przykrych doświadczeń z nimi w jakiś przewrotny sposób pozwolił jej się utrzymać w tak dobrej kondycji. Major zastanawiał się, jak wyglądała teraz Julia, lecz najwyraźniej nie dane mu było się o tym przekonać. W każdym razie nie dzisiaj.

Lunch był niesmaczny, a rozmowa nie kleiła się. Usiłując przeżuć jakiś wyjątkowo włóknisty kawałek wieprzowiny, major zdał sobie sprawę, że posiłek nie stanowi głównego celu tego zebrania. Potwierdziło się to, gdy pod koniec lunchu Leonora powiedziała:

- Frederick i ja przejdziemy teraz do salonu. Cassandra i Clara zajmą się sprzątnięciem ze stołu. Gdy zadzwonię, Cassandra przyniesie nam kawę. Wychodząc za Leonorą z jadalni, major Fred zobaczył, że Cassandra rzuca oddalającym się plecami spojrzenie pełne jadłowitej niechęci. Gdy uświadomiła sobie, że to zauważył, spuściła wzrok i zaczęła zbierać nakrycia.

- Dobrze, mam - powiedziała obojętnym tonem.

W salonie palił się w kominku najmniejszy ogień, jaki major kiedykolwiek widział. Prawdopodobnie nie on jeden zmuszony był oszczędnie gospodarować pieniędzmi.

- Ha! - powiedział, stając niepewnie naprzeciw iście mikroskopijnego płomyczka z szeroko rozstawionymi nogami i rękami splecionymi na plecach. - Ha!

Leonora nie odezwała się, obserwując jego zmieszanie. Zapadła cisza.

- Ha! W istocie. - Wyrzekła w końcu Leonora. - Teraz powiedz mi, Fredericku, ponieważ chciałabym, abyśmy byli wo-

bec siebie absolutnie szczerzy, co cię tu naprawdę sprowadza. Nie sądzę, by była to podróż szlakiem sentymentalnych wspomnień.

Major poczuł, że rzucono mu rękawicę. Wyjrzał przez okno. Padał drobny, perlisty kapuśniaczek, przesłaniający szarym welonem połyskujący wilgocią ogród. Chryste, nienawidzę northumberlandzkiej pogody, pomyślał. Chrząknął.

- Właśnie się dowiedziałem, że mam syna. Przypuszczam, że Morgan Steer jest moim synem?

Była na to przygotowana.

- Zbyt wiele przypuszczasz - skłamała. - Choć Morgan rzeczywiście jest synem Julii. Po twoim wyjeździe pozwoliła sobie na, powiedzmy, nieostrożność, w której wyniku narodził się Morgan. Dlatego nosi nazwisko Steer, nie Farrell. Jeśli będziesz nalegał, z pewnością uda mi się odgrzebać jego metrykę, która głosi: „Ojciec nieznany”. Zwracano Julii uwagę, że byłoby dużo prościej, gdyby nadała dziecku nazwisko męża, ale pomna tego, jak ją traktowałeś, nie dała się przekonać, twierdząc, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Była wtedy bardzo zawzięta, niestety.

Major nie wyzbył się podejrzeń.

- Ale daty się zgadzają.

- Pozornie tak wygląda, ale w rzeczywistości Morgan urodził się grubo przed czasem. Miał szczęście, że w ogóle przeżył. Przykro mi, iż odbieram ci szansę udowodnienia, że byłbyś doskonałym ojcem, lecz fakty mówią same za siebie.

Farrell wciąż nie był przekonany.

- Chciałbym porozmawiać z Julią.

- Będziesz mógł porozmawiać z Julią tylko wtedy, gdy i ona wyrazi takie życzenie, a obawiam się, że w tej chwili nie ma na to najmniejszej ochoty. Nieobecność Julii okazała się zatem dużo bardziej brzemienna w skutki niż jej obecność.

Postanowił porzucić wszelkie roszczenia.

- Proszę posłuchać, pani Steer... Leonoro! Jeśli mam być

z tobą absolutnie szczerzy, wyznam ci, że klepię biedę. Nie udał mi się pewien interes, wiesz, jak to czasem bywa, i zastanawiałem się, czy istnieje jakiś sposób na to, abyś wypłaciła mi niewielką sumkę. Do czasu, gdy znów stanę na nogi. A dopiero kiedy to nastąpi, chciałbym porozmawiać z Julią o pojednaniu.

Doprawdy! Jego bezczelność nie miała granic! Leonora nie od razu raczyła udzielić mu odpowiedzi.

- Czy mogłabym się dowiedzieć, jakiego typu interesami się zajmujesz? - spytała.

Ponieważ major Fred właśnie z powodu swoich interesów ostatnie cztery lata spędził w jednym z więzień Jej Królewskiej Mości, nie kwapił się teraz do udzielania dokładnych informacji.

- Och, sprzedaż hurtowa... za granicę... - Szukał odpowiednich słów: - Eksport... rozumiesz!

Leonora odparła, że nie rozumie, po czym ożywiła się nagle.

- Chyba nie przemysł broni? Słyszałam, że to bardzo dochodowy interes! Zastanawiając się, kogo, kto był wplątany w te sprawy, mogłaby znać, odparł:

- Nie, nie chodzi o przemysł broni.

- Więc może o szmuglowanie narkotyków? - Wyglądała na bardzo podnieconą, nawet pełną nadziei. - Sądzę, że na tym także można zarobić sporo pieniędzy.

- Nie, to nie to.

- Jaka szkoda!

Musiał odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań. Leonora zniweczyła wszystkie jego nadzieje słowami:

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Nie mam gotówki. Wiesz, w dzisiejszych czasach nikt jej nie posiada. Spodziewam się jednak, że tak zdolny człowiek interesu jak ty na pewno sobie poradzi.

Nacisnęła przycisk dzwonka.

- Jeśli chodzi o pojednanie z Julią, będziesz sam musiał

ją zapytać, co o tym sądzi, choć na twoim miejscu nie robiłabym sobie zbyt wielkich nadziei. No bo, drogi Fredericku, co mogłaby w ten sposób zyskać?

Pół godziny później Farrell opuścił Armitage Lodge. Czuł się jak zbity pies.

- A co z Meredith Barstow? Czy ciągle jeszcze mieszka w okolicy? - zapytał na odchodnym.

Julia spojrzała na zegarek.

- Trzecia. O tej porze chyba powrót powinien już być bezpieczny. Jak sądzisz?

- Cóż, bądź dobrej myśli. Pomijając ofensywne działania Leonory, mógł po prostu nie przeżyć gotowania Clary.

To rozbawiło Julię.

- Och, cóż, z pewnością masz rację.

- Co masz zamiar zrobić, gdy znów zapuka do twoich drzwi?

Nieważne, co robi Julia, pomyślała. Co ja zrobię, gdy pojawi się u mnie? Jadąc drogą prowadzącą z Tyne Green, Julia ponownie minęła na drodze swego męża. Nie dostrzegła go jednak, gdyż tym razem major Fred kulił się we wnętrzu taksówki.

Meredith usłyszała zajeżdżający przed dom samochód i wyjrzała przez okno. Od razu zorientowała się, kto to, i po raz pierwszy zapragnęła, aby ojciec był w domu, zamiast zabawiać się grą w kregle. Major Fred zapłacił taksówkarzowi. Meredith postanowiła udawać, że jej nie ma w domu. Za późno. Już ją zobaczył. Z przerażeniem ujrzała, że beztrąsko macha do niej ręką. Otworzyła drzwi.

- Pozbyłam się majora bez twojej pomocy - poinformowała Julię Leonora. Choć teoretycznie wciąż ze sobą nie rozmawiały, trzeba było ogłosić zawieszenie broni, aby zrelacjonować Julii, co się wydarzyło.

- Przez ciebie całe Hexham wkrótce będzie uważać mnie za osobę rozwiązłą (taka perspektywa wcale nie była nieprzyjemna) i myśleć, że Morgan jest nieślubnym dzieckiem -oświadczyła, wysłuchawszy opowieści matki.

- W Hexham nic nie będą myśleć. On nikomu o tym nie powie. Jeśli to zrobi, wyjdzie na głupca. A poza tym, jakie to ma znaczenie? Opuścił nasz dom mówiąc, że zamierza odwiedzić Meredith Barstow, bez wątpienia po to, aby szantażem wymusić od niej pieniądze, chociaż nie mam pojęcia, co Meredith mogłaby mieć do ukrycia.

Julia też nie miała pojęcia.

- Prawdopodobnie chce ją zobaczyć przez wzgląd na dawne czasy.

- Wątpię. Tego typu ludzie raczej nie kierują się sentymentami.

To dziwne, Meredith nigdy nie wspomniała nawet słowem, że Frederick ją odwiedził. Julia też nie poruszała tego tematu, więc była to jakby nie załatwiona sprawa. Ciekawe, że to właśnie Frederick stał się niegdyś przyczyną jedyne go kryzysu mojej przyjaźni z Meredith. Oskarżyłam ją, że chce go upolować na męża, przypomniała sobie Julia. Kłótnia między przyjaciółkami, która potem nastąpiła, była naprawdę bardzo przykra. Lecz od tego czasu wiele wody upłynęło.

Gdy major w końcu wyszedł, Meredith roztrzęsiona opadła na kanapę. Tak wiele lat upłynęło od dnia wyjazdu Fredericka, że pozwoliła sobie na zwykłe odprężenie, łudząc się, że nigdy już nie powróci. A teraz oto zjawia się i zaczyna ją szantażować.

Jak było do przewidzenia, nie udało mu się wyciągnąć od Leonory żadnych pieniędzy. Gdy zrelacjonował jej to, czego się dowiedział o przyjściu na świat Morgana, Meredith, choć zdziwiona, nie wyjawiała mu prawdy. Zapytała tylko:

- Och, ona ci o tym powiedziała, prawda?

Najwyraźniej Leonora wcześniej obmyśliła strategię spotkania z majorem. Ona, Meredith, ponieważ się go nie spodziewała, nie była przygotowana do obrony.

- Nie przyszedłbym do ciebie, kochana Meredith - usprawiedliwił się major Fred - gdyby ta stara flądra dała mi forszę. Ale gdybyś znalazła jakiś sposób, aby ofiarować mi, powiedzmy, stówę, pozwoliłoby mi to wybrnąć z kłopotów.

Jego przymilny ton napawał ją odrazą. Gdzie, u licha, po-dziewa się ojciec, którego ktoś miał podwieźć do domu? Pewnie został na herbacie w klubie.

- Sto funtów? Nie mam w domu takiej sumy. Znalazłabym najwyżej dwadzieścia pięć.

To było rozczarowanie, lecz postanowił być wielkoduszny.

- Nie szkodzi, resztę możesz mi przysłać. W regularnych odstępach czasu. Powiedzmy, co miesiąc, zgoda?

Zapisał jej na kartce swój adres.

- Proszę...

To było gorsze od najbardziej koszmarnego snu. Meredith zrozumiała, że pozbycie się Farrella jest praktycznie niemożliwe.

- Fredericku, nie stać mnie na wysyłanie ci co miesiąc takiej sumy.

Nie zrobiło to na nim wrażenia. Nie speszony, wsunął dwadzieścia pięć funtów do portfela i powiedział:

- Spodziewam się, że znajdziesz jakiś sposób! A propos, jak się miewa rodzina?

- Właśnie przyjechał ojciec. Lepiej będzie, jak już pójdiesz!

Otwierając mu drzwi, zapytała:

- Co skłoniło cię do powrotu po tylu latach?

Major Fred, który tak jak Meredith, miał swoje tajemnice, odparł:

- Okoliczności, Meredith, okoliczności.

Mijając w drzwiach generała, dotknął ręką brązowego filcowego kapelusza, który wkładał w lepszych czasach, ilekroć wybierał się na wyścigi.

General obejrzał się za nim.

- Kto to był, Meredith? Twarz wydała mi się znajoma -zwrócił się do córki.

Odpowiedziała pośpiesznie:

- Nie, tato, nie wydaje mi się, abyś go znał. - Po czym zrećznie zmieniła temat: - Jak ci dzisiaj poszło w klubie?

Caro zapytała męża:

- Więc czy są jakieś szanse na to, że uda ci się pojechać z nami do Northumberland w połowie roku szkolnego?

- Obawiam się, że bardzo nikłe - odpowiedział Patrick. -Smollet ma dla mnie następną rolę. Chodzi tylko o statystowanie, ale nie mogę sobie pozwolić na odrzucenie jego propozycji.

Nie, z pewnością nie mógł sobie na to pozwolić. Po długim okresie jego przymusowego bezrobocia sprzedaż domu miała wkrótce stać się koniecznością. Jednocześnie dystans między nim a żoną powiększał się z dnia na dzień. Patrick był zamknięty w sobie, zmarkotniał. Ostatnio bardzo rzadko się kochali. Nawet Emily zauważyła ten impas.

- Caro, będziesz musiała się zająć Patrickiem. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że ma klasyczną depresję.

- Cóż mogę zrobić? Nie znajdę dla niego pracy, a Smollet też tego nie potrafi.

- Może Patrick potrzebuje nowego agenta?

- Pewnie tak, ale bardziej potrzeba mu nowego spojrzenia na świat. Nic nie znajdzie, jeśli będzie łąził beczynnie po mieszkaniu, rozczulając się nad sobą. Zwykle ludzie, gdy nie znajdują zajęcia w swoim zawodzie, idą poszukać sobie innej pracy, a Patrick przez cały czas nic nie robi. Nawet mi nie pomaga w prowadzeniu domu! - Caro wiedziała, że w jej głosie słyhać zniecierpliwienie, a nawet niemile szorstki, opryskliwy ton.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że masz dosyć!

- Mam dosyć. - Gdy to powiedziała, poczuła ulgę. - Wła-

ściwie nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie to znosić. Minerva też ostatnio łatwo wpada w złość. Prawdopodobnie wyczuwa napięcie, jakie panuje między nami. Nie dziwię się, rzekła w duchu Emily.

- Próbowłaś z nim rozmawiać?

- Tak, oczywiście że próbowałam, lecz to do niczego nie prowadzi. Ostatnim razem, kiedy usiłowałam to zrobić, zaczął mi mydlić oczy banialukami o artystycznym temperamentcie, po czym przez tydzień się dąsał. Może to zauważyłaś.

Emily chciała stanąć w obronie szwagra, lecz nie było to łatwe. To takie przykre, myślała. Patrick jest bezrobotny, a ja czerpię tyle przyjemności ze swojej pracy. Mogę puszczać wodze fantazji, ba - nawet pozuję słynnemu Jackowi Careyowi. A Caro, zwykle tak pozytywnie nastawionej do życia, nigdy jeszcze nie widziałam bardziej rozczarowanej. I nie wygląda na to, że chodzi tylko o okres przejściowy. Jeśli ten stan rzeczy będzie się utrzymywał, pewnie zechce odejść od Patricka. A Morgan jest już mężem kogoś innego...

Na głos powiedziała:

- Czy wciąż masz zamiar wybrać się do Hexham podczas przerwy semestralnej? Przypuśćmy, że ty pojedziesz, a Patrick zostanie. Może, gdy nadarzy się sposobność, powinnam z nim porozmawiać. Oczywiście, jeśli uważasz, że to coś pomoże.

Caro całkowicie opuścił wojowniczy nastrój.

- Och, Emily, proszę cię, zrób to! On cię bardzo lubi i może wysłucha. Ja go tylko irytuję. Przedtem nigdy tak nie było, prawda? Ale wszystko popsulo się tak dawno temu, że nie potrafię sobie nawet przypomnieć, jak wyglądało moje małżeństwo na samym początku. Czy kiedykolwiek kochałam Patricka? Czy on także mnie kochał?

Emily dobrze pamiętała dawne czasy. Patrick był wtedy pełen optymizmu, a Caro z nadzieją spoglądała w przyszłość. Oboje snuli mnóstwo planów dotyczących ich wspólnego ży-

cia. Ona, Emily, zazdrościła im tego i marzyła o podobnym związku dla siebie. Teraz wszystko najwyraźniej się rozpadało.

- Owszem, kochałaś go. Pomimo historii z Morganem oboje byliście w sobie zakochani. Och, Caro, nie poddawaj się. To byłby wielki wstyd!

- Miałam zamiar podjąć decyzję o pozostaniu z Patrickiem lub odejściu od niego podczas pobytu w Northumberland, ale może powinnam to odłożyć do mojego powrotu.

PAZDZIERNIK

21

Jakiś czas po powrocie z podróży poślubnej Morgan przypomniał Chloe, iż ustalili, że w październiku pojedą do Northumberland.

- Tylko ze względu na babcię - powiedział. - Och, no i oczywiście na matkę. Bardzo się ucieszą.

Chloe wahała się. A ja? Czy mnie też to ucieszy? - myślała. Czuła jednak, że gdyby postawiła sprawę jasno, byłoby to bardzo niedyplomatyczne posunięcie. Toteż rzekła tylko:

- Naprawdę myślę, że - przynajmniej w początkowym okresie ciąży - powinnam pozostać pod opieką ginekologa. Może później wpadnę tam na tydzień.

Morgan domyślił się, co jest prawdziwą przyczyną odmowy.

- Wiesz, w Northumberland też rodzą się dzieci. Są tam lekarze, a nawet szpitale - zauważył chłodno.

- Nie złość się, Morganie.

Pojednawczym gestem położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie jestem zły, tylko rozczarowany. A poza tym, co będziesz robiła tutaj zupełnie sama?

- Cóż... chyba będę odpoczywała.

Chloe pamiętała, że matka powiedziała jej kiedyś, iż kiedy była w ciąży, odpoczywała każdego ranka i każdego popołudnia. Chociaż trzeba przyznać, że Veronica nigdy nie robiła nic innego.

W końcu Morgan pojechał sam, mimo że nie był z tego zadowolony i dał to Chloe do zrozumienia.

Nie tylko ta sprawa ostatnio odbierała mu spokój: zaczęło mu się także wydawać, że fizyczna strona ich małżeństwa pozostawia wiele do życzenia.

- Jestem okropnie zmęczona - powtarzała wciąż Chloe, przejmując taktykę matki i winiąc za to swój odmienny stan. Seks miał dla Morgana duże znaczenie, a bez niego rysy na fundamentach ich związku stawały się jeszcze bardziej widoczne. Gdy wyjechał, Chloe zadzwoniła do Joanny.

- Możesz w to uwierzyć albo nie, ale nie mam w tym tygodniu ani jednego wolnego lunchu. Z wyjątkiem czwartku, który jednak przeznaczyłam na wystawę francuskiego malarstwa w National Gallery. Zamykają ją w sobotę, a nie chciałabym jej przegapić. Może wybierzesz się razem ze mną? - zaproponowała Joanna.

Chloe zauważyła, że Joanna powiedziała „ze mną”, nie „z nami”.

- A Tom?

- To naprawdę nie jego działka, co nie znaczy, że nie mogę się tam wybrać bez niego. Więc co ty na to?

- Z przyjemnością.

- Wspaniale. Za piętnaście pierwsza przed butikiem z pamiątkami. Może być? Potem coś przegryziemy. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę.

Po raz pierwszy w życiu Chloe pozazdrościła Joannie¹ jej pracy.

Przyjaciółka wyglądała na zadowoloną z życia, miała czas wypełniony różnymi zajęciami, a co ważniejsze, była szczęśliwa. A w jakim nastroju ona, Chloe, kończyła każdy swój dzień?

Wystawa zainteresowała ją i pozwoliła na jakiś czas oderwać myśli od własnych problemów. Joannie szczególnie podobały się prace Claude'a Lorraina: kryształowo czyste niebo ciągnące się aż po horyzont, sielankowy, rozświetlony pierwszy plan, gdzie mityczne postacie zabawiają się wesoło,

obserwowane przez zaciekawionych pasterzy i obojętne owce.

Ulubionym obrazem Joanny był „Perseusz i pochodzenie koralu”: obcięta głowa Meduzy, otoczona kręgiem urodziwych morskich nimf, które ze zdumieniem przypatrują się, jak krew potwora zamienia wodorosty w rafę koralową.

- Zupełnie zapomniałam, że Pegaz wyskoczył z łona Meduzy, gdy Perseusz obciął jej głowę, lecz podoba mi się myśl, że coś tak pięknego i dziwnego powstało w równie odrażający sposób. To podnosi na duchu. Sprawia, że człowiek myśli, iż wszystko jeszcze może obrócić się na dobre - powiedziała Joanna.

Przez kilka chwil patrzyły na obraz. Srebrny dysk księżycy odbijał się w morzu, a w oddali, na brzegu, widać było zarysy świątyni. Emanował z obrazu jakiś ponadczasowy spokój, który wypełnił dusze obu kobiet.

Chloe powiedziała:

- Masz rację. Jest wspaniały, choć wolę chyba „Narcyza i Echo”.

Przyjrząwszy się uważnie dziełu, Joanna zrozumiała dlaczego. W rogu spała naga nimfa wodna, której małe spiczaste piersi i kształtne ciało przypominało ciało Chloe. Przy stawie, nieczuły'na ten czarujący widok, klęczał Narcyz, wpatrzony we własne urodzive odbicie. Był obojętny i zajęty wyłącznie sobą... jak Chloe.

- Nie jestem całkiem przekonana - oświadczyła Joanna. - W końcu Narcyz umarł z miłości do samego siebie. To doprawdy jałowe uczucie.

- Hmm... Chyba tak, chociaż wieczorem zamienił się w cudownie piękny kwiat.

- Owszem, ale jaka z tego pociecha? Chodźmy na lunch. Poszły do baru z kanapkami na rogu. Chloe opowiedziała

Joannie o swoich problemach i rozczarowaniu. Ale nie doczekała się współczucia.

Wysłuchawszy relacji przyjaciółki, Joanna, która była osobą bardzo praktyczną, powiedziała:

- Posłuchaj, Chloe, nie chcę, by wyglądało, że chcę cię przygotować na najgorsze (Chloe i tak sama przygotowała się już na najgorsze), ale naprawdę nie wydaje mi się, żebyś straciła wszystkie szanse. Jasne, że nie spodziewałaś się ciąży tak szybko, ale wiedziałaś, że prędzej czy później będziecie musieli pomyśleć o dzieciach. Teraz, gdy jesteś zamężna, Morgan powinien się znaleźć na pierwszym miejscu w twoim życiu, a nie na ostatnim. Skoro na świecie rodzą się miliony dzieci, poród nie może być aż tak ciężkim przeżyciem.

Po tej przemowie Chloe była zupełnie zbita z tropu. Joannie zrobiło się przykro. A jednak...

- Odnoszę wrażenie, że jeśli nie spojrzysz na świat bardziej pozytywnie - miała ochotę powiedzieć „mniej egoistycznie” - i nie zaczniesz brać rzeczy takimi, jakimi są, stracisz Morgana. Zwłaszcza jeśli będziesz się upierać, żeby sam jeździł do tego zaścianka Barstowów!

Joanna pamiętała Caroline Barstow z wesela. Obie najważniejsze kobiety w życiu Morgana były piękne, ale Caroline miała dodatkowy, duchowy wymiar, którego Chloe nie posiadała. Choć oczywiście nie słyszała, jakie słowa wówczas padły, była świadkiem dziwnej, pełnej napięcia sceny, która rozegrała się między Morganem i Caroline. Joanna była przekonana, że tamta kobieta stanowi dla jej przyjaciółki główne zagrożenie. Chloe milczała.

Joanna miała jednak jeszcze coś do dodania:

- Małżeństwo trwa bardzo długo, ale może przynieść ci satysfakcję, jeśli zrobisz wszystko, aby układało się dobrze. Jeśli nie, koniec z tobą i z Morganem. On sam, w pojedynkę, nie może nic poradzić.

Z całą pewnością jej przyjaciółka nie to chciała usłyszeć. Wobec takiego zmasowanego ataku zdrowego rozsądku Chloe poczuła się zupełnie zrezygnowana.

- Och, mój Boże, nie chciałam cię urazić! Gdyby twoja

przyjaźń nie była dla mnie taka ważna, nie powiedziałabym ci tego wszystkiego. Nie rozumiesz? - rzekła Joanna.

Niepocieszona Chloe mężnie usiłowała się uśmiechnąć, a potem - najwyraźniej niezdolna wznieść się ponad własne pragnienia, powiedziała:

- Problem w tym, że na niczym mi nie zależy. Ostatnio nie zależy mi nawet na Morganie.

Gdy wróciła do swojego mieszkania, rozważała to, co usłyszała od Joanny. Właściwie, myślała, ona ma rację. Co by się stało, gdyby Morgan odszedł? Albo gdybym ja jego porzuciła? Poczucie ogarniającej ją pustki na chwilę znów dało o sobie znać. A teraz w dodatku jestem w ciąży, na dobre uziemiona. Może Joanna ma rację, że powinnam patrzeć na życie bardziej optymistycznie. W końcu co innego mi pozostaje? Postanowiła, że spróbuje podjąć wszelkie możliwe starania, aby ratować swoje małżeństwo.

Tego wieczora zadzwoniła do Morgana, do Armitage Lodge, i zaproponowała, że przyjedzie do Northumberland.

- Kochanie, szybciej ja będę z powrotem - oświadczył Morgan, rozrzewniony tym, że jego żona gotowa jest wyruszyć w podróż. - Tak czy inaczej, będziemy tu znów na Boże Narodzenie.

Nie powiedział jej, jak zareagowała Leonora na wieść, że nie ma z nim Chloe i dlaczego.

- Ja jeździłam konno właściwie aż do dnia poprzedzającego narodziny Julii - oświadczyła.

- Pewnie dlatego bez przerwy czuję się tak sponiewierana - powiedziała Julia do Cassandry po cichu.

Nieszczęsna Chloe usiłowała wyobrazić sobie radosne święta Bożego Narodzenia w Armitage Lodge, ale niestety nie potrafiła.

- Och, nie mogę się tego doczekać - skłamała. - Mam nadzieję, że będę się czuła lepiej niż teraz.

- To od Julii Morgan dowiedział się o rychłym przyjeździe Caro i Minervy.

- Zostałyśmy zaproszone do Barstowów na niedzielny lunch, i jestem pewna, iż Meredith, wiedząc, że przyjechałeś, zaprosi także i ciebie. Mówiąc „my”, mam na myśli Cla-rę, Cassandrę i siebie. Generał wprosił się natomiast na lunch do matki, aby, cytując: „pogawędzić o starych dobrych czasach”.

Choć była to ostatnia rzecz, jakiej Meredith pragnęła, nie potrafiła znaleźć żadnego pretekstu, aby nie zaprosić Morgana.

Major Fred wyjechał z Hexham i Meredith, sądząc w duchu, że jego próba wymuszenia od niej pieniędzy była po prostu kiepskim żartem, zlekceważyła wysłanie pierwszej raty. Wszelkie jej nadzieje zostały rozwiane, gdy otrzymała bardzo oficjalne upomnienie. Sięgnęła więc do swoich oszczędności i wysłała pieniądze.

Co nietypowe dla północy Anglii, październik był łagodny. Na ciemnobłękitnym niebie świeciło słońce. Drzewa mieniły się żółto-czerwono-pomarańczowo, a wiatr miótł po ziemi suche niczym hubka liście.

- Cóż za cudowny dzień! - zachwyciła się Julia, wioząc wszystkich fordem do Tyne Green. - Jest tak przyjemnie i ciepło, że można by wypić drinki w ogrodzie.

Morgana uderzyła zmiana, jaka zaszła w Caro od czasu ich ostatniego spotkania. Wydawała się szczuplejsza, a w jej niezwykle pięknych oczach pojawił się wyraz rozmarzenia. Ale co więcej - może dlatego, że czas spędzony na wsi pozwolił jej oderwać się od własnych problemów - była wypoczęta i zrelaksowana.

Obserwując Morgana, Meredith poczuła, że została pokonana.

Najwyraźniej wszystkim kierowało złośliwe przeznaczenie, które chciało rzucić sobie tych dwoje w ramiona.

- Kto ma ochotę wypić drinka w ogrodzie? - zapytała.

Z wyjątkiem Meredith i Minery wszyscy podczas lunchu bawili się doskonale. Po posiłku Morgan zaproponował, spoglądając na swoją ukochaną:

- Może pójdziemy na spacer? Nie będzie już wielu takich dni przed nadejściem zimy. Co ty na to, Caro?

Odrzuciła włosy do tyłu.

- Z największą przyjemnością!

Meredith, choć miała wielką ochotę przysiąc na pięć minut spokojnie, usłyszała swój własny głos, mówiący z udanym entuzjazmem:

- Świetny pomysł! Myślę, że wszyscy powinniśmy pójść.

- Beze mnie! - oświadczyła zdecydowanie Minerva, która pogardzała tego rodzaju formą wypoczynku. Była zajęta kartkowaniem książki o różdżkarstwie, która przypadkowo wpadła jej w ręce. - Czyja to książka?

- Wypożyczona z biblioteki - odpowiedziała Cassandra. -Wiele lat temu zorientowałam się, że mam predyspozycje do uprawiania różdżkarstwa, ale nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać, więc postanowiłam poczytać coś na ten temat. Jeśli chcesz, pokażę ci, na czym to polega, gdy inni pójdą na spacer. Nigdy nie wiadomo, może odkryjesz w sobie także jeden z mniej pożytecznych talentów.

Minerva była zaciekawiona.

- Naprawdę, panno Steer?

Życząc sobie w duchu, aby wszyscy z wyjątkiem Caro chcieli zostać w domu i uczyć się różdżkarstwa, Morgan powiedział:

- Więc oprócz mnie i Caro na spacer idą mama, ciocia Clara i Meredith.

Clara spłoszyła się.

- Bardzo bym chciała pójść, ale obawiam się, że będę musiała wziąć z samochodu swoje buty.

- Cóż, zamiast o tym mówić, Claro, dlaczego tego po prostu nie zrobisz? - Mówiąc te słowa, Julia pomyślała: Boże, zachowuję się dokładnie tak samo jak matka.

Clara poszła do samochodu.

- Och, Meredith - powiedziała Julia - jest coś, o co chciałabym cię zapytać.

Korzystając z nadarzającej się okazji, Morgan zaproponował:

- Słuchajcie, Caro i ja jesteśmy gotowi, więc może ruszymy przodem? Pójdziemy w kierunku rzeki, a potem brzegiem w stronę St John Lee. St John Lee był małym, uroczym kościółkiem, oddalonym 0 jedną czy dwie mile od niewielkiej wioski Acomb, i widocznym po drugiej stronie rzeki.

- Dobry pomysł - powiedziała Julia. - A więc, Meredith... Gdy znaleźli się poza domem, Morgan przyśpieszył kroku.

Przebiegli szeroki trawnik, a potem przeszli małym tunelem, zwanym przez miejscowych Cattle Creep, pod torami kolejowymi. Gdy przestali być widoczni z okien domu, Morgan skręcił w lewo.

- Ej, to nie jest droga do St John Lee! Morgan ujął Caro za ramię.

- Kto mówił o St John Lee?

- Ty! Przed chwilą. Wszyscy pójdą w niewłaściwym kierunku.

- Niech idą.

Szli wzdłuż rzeki. Miejscami wystawały ponad powierzchnią zwały wielkich, brązowych kamieni, wygładzonych rwącymi wodami Tyne.

Tutaj w czasie swego beztróskiego dzieciństwa Morgan, Caro i Emily - obie dziewczynki w podkasanych sukienkach - urządzali sobie pikniki, łowili ryby i puszczali kaczki, podczas gdy Julia albo Meredith przyglądały się ich zabawie.

- Pamiętasz... Caro przerwała mu.

- Tak, pamiętam. Jakby to było wczoraj. Trudno uwierzyć, że od tamtego czasu upłynęło tak wiele lat.

Otuliła się szczelniej płaszczem. Wkrótce zajdzie słońce i temperatura gwałtownie spadnie. Morgan nie musiał nawet

dotykać Caro, aby poczuć z nią całkowitą jedność. Wiedział, że ona czuje to samo. Pośpiech i nie do końca przemyślane decyzje ostatnich kilku lat ustąpiły miejsca poczuciu nieuchronności losu. Ja jestem żonaty, pomyślał Morgan, i ona ma męża, więc w tej chwili nic nie da się zrobić, lecz w przyszłości uczynię wszystko, by udało mi się spędzić resztę życia z tą kobietą. Musi się tak stać.

- Chodźmy dalej.

Gdy zaczęło się ściemniać, przystanęli. Morgan odwrócił Caro do siebie, ujął twarz ukochanej w dłonie i delikatnie pocałował ją w usta.

- Kocham cię - powiedział.

Caro odwzajemniła pocałunek, a potem westchnęła cicho. Nagle poczuła wielkie zmęczenie i jednocześnie ogromną radość, jakby dotarła do kresu bardzo dalekiej podróży.

Sposób, w jaki oddała Morganowi pocałunek, powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć.

- Tak, ale na razie nic nie możemy zrobić.

- Nic nie możemy zrobić.

Telepatyczne echo jego własnych myśli przekonało go ponad wszelką wątpliwość, że się w końcu nawzajem zrozumieli.

- Powinniśmy już wracać. Tamci będą się zastanawiać, co się z nami stało.

Ramię w ramię, pod ciemniejącym wieczornym niebem, którego daleki horyzont mienił się purpurą, Caro i Morgan -dwoje kochanków, którzy nigdy nie spełnili swej miłości - ruszyli w milczeniu w stronę domu.

Gdy wszyscy wyszli, Cassandra powiedziała do Minery:

- Jeśli nadal interesuje cię różdżkarstwo, pokażę ci, jak to się robi.

- Czy nie będzie nam potrzebna jakaś gałązka, panno Steer? - spytała dziewczynka.

- Owszem, będzie. Ta, którą ucięłam dla siebie, jest do-

bra. Mam ją w bagażniku. Czy zechciałabyś przynieść tę gałązkę? Tu są kluczyki.

Różdżka była z giętkiej, gładkiej leszczyny.

- Gdzie ją wypróbujemy?

- Myślę, że w sadzie za domem - powiedziała Cassandra.

Zauważyła, że wietrzyk ustał. Powietrze było zupełnie nieruchome, a atmosfera naładowana... czym? Trudno powiedzieć, lecz Cassandra miała wystarczająco dużo doświadczenia, aby przypuszczać, że w odpowiednim czasie wszystko się wyjaśni. Postanowiła zatem zająć się Minervą.

- Zanim zaczniemy, chciałabym cię ostrzec, że nie każdemu się udaje. To swego rodzaju dar i nie możesz być rozczarowana, jeśli okaże się, że ty go akurat nie posiadasz. Patrz. Tak należy ją trzymać - zwróciła się do dziewczynki.

Cassandra chwyciła rozwidlający się koniec leszczynowego pręta, delikatnie podtrzymując widełki kciukami. Pojedynczy koniec skierowała prosto przed siebie.

- Musisz naprężyć różdżkę, ale z wyczuciem, bez gwałtownych ruchów. - Mówiąc to, rozchyliła nieco koniec gałązki. - Trzymasz ją pewnie, nie tak jak w imadle, ale dosyć mocno, po to, żebyś poczuła, kiedy zaczniesz się ciągnąć. Dobrze. Zobaczmy, co się stanie.

W towarzystwie idącej tuż obok Minery Cassandra ruszyła w stronę drzew. Przez chwilę nic się nie działo, a potem różdżka zaczęła się przechylać.

- Zobacz, rusza się. Spróbuję stawić jej opór.

Minerva dostrzegła, że kostki palców Cassandry zbieleły z wysiłku, a mimo to różdżka nieubłaganie zwraca się ku dołowi. Najpierw wolno, a potem z gwałtownym szarpnięciem. Pojedynczy koniec różdżki wskazywał jakiś punkt pod stopami Cassandry.

Wyglądało to niesamowicie. Minerva była podniecona.

- Mogę spróbować?

Ujęła różdżkę w dłoń i postąpiła kilka kroków naprzód. Pręt ani drgnął.

- Nic się nie dzieje.

- Spróbuj jeszcze raz - doradziła jej Cassandra. Znowu nic. Pomimo ostrzeżenia Cassandry Minerva była ogromnie zawiedziona.

- Pewnie jestem jedną z tych osób, które nie posiadają tego daru.

- Cóż, nie chciałabym, abyś czuła się rozczarowana. Na świecie żyją miliony ludzi, którzy nie mają zdolności różdż-karskich, i bardzo niewielu, którzy je mają.

Minerva była niepokieszona. Tak bardzo pragnęła zaliczać się do wybranych.

Trzaśnięcie drzwi frontowych świadczyło o tym, że ktoś wrócił do domu. Prawdopodobnie dziadek.

- Chciałabym spróbować jeszcze raz, ale nie teraz - powiedziała Minerva.

- Czy miałaby pani coś przeciwko temu, gdybym pożyczyła różdżkę? Obiecuję, że ją pani oddam!

Wyczuwając przygnębienie Minervy, Cassandra odparła:

- Ależ oczywiście. Możesz ją zatrzymać. Tam gdzie ją znalazłam, jest mnóstwo podobnych gałązek. Chcesz także pożyczyć książkę?

Twarz Minervy złagodniała we wdzięcznym uśmiechu. A ja zawsze uważałam ją za wiecznie nadąsane dziecko, pomyślała Cassandra.

-Nie, proszę tylko o różdżkę. Dziękuję, panno Steer! A propos, czy można za jej pomocą szukać jedynie wody, czy także czegoś innego?

- Cóż, nie wiem dokładnie, czego jeszcze, ale z pewnością nie tylko wody.

Nazajutrz, gdy dorośli pojechali do miasta, Minerva postanowiła przeprowadzić jeszcze jedną próbę. Przez chwilę bez powodzenia defilowała z różdżką tam i z powrotem wzdłuż kamiennego muru okalającego sad. Cieszyła się, że nikt jej nie widzi. Nagle poczuła drżenie różdżki i delikatne szarpnięcie. Stała bez ruchu, a potem przeszła kilka kroków. Pod gałęziami starej wiśni, której jesienne liście płonę-

ły cynobrem, szarpnięcia stawały się silniejsze, i w końcu różdżka z niezwykłą siłą skierowała się w dół, tak gwałtownie, że Minerva wypuściła ją z rąk. Potem jednak podniosła gałązkę i cofnęła się. Stwierdziła, że w miarę jak się oddala, drganie różdżki zmniejsza się. Wreszcie zanikłó zupełnie. Gdy Minerva ruszyła znów w stronę starej wiśni, wszystko się powtórzyło. Różdżka wygięła się, tworząc zakrzywiony łuk.

Przez chwilę Minerva stała niezdecydowana, a potem padła na kolana i zaczęła palcami rozgrzebywać ziemię.

- Niech to diabli! - wykrzyknęła w pewnej chwili; złamała sobie dwa paznokcie na czymś, co było zakopane w ziemi.

Nie bez trudu udało się dziewczynce ruszyć z miejsca jakiś ciężki przedmiot, który na oko miał około ośmiu cali dłu- \ gości. Gdy oczyściła go z grudek ziemi, jej oczom ukazała się statuetka rzymskiej bogini, której była imienniczką. Nie wiedziała jednak, że znalazła podobiznę swojej imienniczki.

Oszołomiona spektakularnym sukcesem tego różdżkar-skiego eksperymentu, zaniósła figurkę do domu i ukryła ją w swojej sypialni. Miała nadzieję, że zdąży statuetkę oczyścić, zanim inni wrócą do domu. Znaleziony posążek pozostanie jej tajemnicą.

W nocy Minerva wyjęła bóstwo z szuflady i postawiła je na kominku w swoim pokoju. Chociaż nie miała pojęcia, kogo przedstawia, instynktownie czuła, że jest bardzo potężne, i traktowała je z nabożnym lękiem.

- Kim jesteś? - spytała boginię.

Statuetka uparcie milczała. Dziewczynka wyczuła jednak, że za jej wyniosłością kryje się łaskawość i dobroć godna królowej. Bogini miała na sobie luźną, przepasaną w talii szatę. Minerva dość wyniosła z lekcji historii, aby skojarzyć ten strój z epoką antyku. Pewnie pochodzi z Rzymu. Przecież Wały Hadriana są tak blisko, przyszło jej do głowy. Myśl, że znalezisko może być aż tak stare, zafascynowała Minervę. Zdjęła figurkę z kominka, aby przyjrzeć jej się dokładniej. W tym momencie przeżyła coś, co przypominało szok w wyniku łagodnego elektrowstrząsu. Pośpiesznie odstawiła figurkę na kominek, ale nawet to nie powstrzymało płynącej między statuetką a nią energii. Zaintrygowana dziewczynka znów wzięła boginię do ręki, po czym usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i zaczęła mówić.

Mówiła i mówiła.

Powiedziała rzeczy, z których nie zwierzyła się nawet swojej najlepszej przyjaciółce. Przyznała się do tego, do czego nie przyznawała się nawet sama przed sobą: do strachu przed rozwodem rodziców i obawy, że mogłaby być zmuszona do tego, aby wybierać między nimi.

- Wiem, że tata jest trudny - zakończyła - ale naprawdę jedynym jego pragnieniem jest praca w teatrze. - Ponieważ perspektywa robienia czegoś, na co nie ma się ochoty, przerażała Mmeryę, dziewczynka doskonale rozumiała punkt widzenia ojca, i nie przychodziło jej do głowy, że aby utrzymać dom i rodzinę, matka musi nie tylko pracować, dźwigając przy tym bagaż własnych rozczarowań, ale i borykać się z kaprysami męża.

Braż pozostał niemy, lecz Minerva była przekonana, że bogini słucha jej uważnie.

„Quintus architekt składa hołd Minerwie”.

Podniecona dziewczynka oświadczyła z przekonaniem:

- Możesz mi pomóc. Wiem, że to potrafisz. Proszę ach proszę, znajdź pracę dla taty! A wtedy mamie wróci dobrJ nastrój i wszystko będzie tak jak dawniej. Chcę, żeby rodzice znów się kochali!

Gorące łzy, powstrzymywane przez bardzo długi czas, trysnęły z oczu dziewczynki i zalały jej twarz. Minerva przytuliła małą boginię do piersi, szlochając gwałtownie.

W Londynie także była wyjątkowo ładna pogoda. Wchodząc do domu po skończonym przedstawieniu, Patrick zauważył, że ktoś zapomniał zamknąć drzwi na dwa zamki. Zrobił to teraz, od środka.

Zapalił światło.

Hall wyglądał tak samo jak zwykle, tylko na podłodze leżało przewrócone krzesło. Bardzo dziwne. Patrick rozpoznał w nim jedno z krzeseł kuchennych, które wcale nie powinno się tutaj znajdować. Pełen złych przeczuć, podniósł je i skierował się w stronę salonu.

Gdy stał tam, przyglądając się pobojowisku, usłyszał szcęk klucza. Ktoś próbował najpierw odblokować zasuwę a potem zaczął manipulować przy gerdzie. Pewnie Emily wydawało się, że zamknęła drzwi na oba zamki

- Patrick? - zawołała Emily. - Czy to ty? Gdzie jesteś?

- W salonie. Obawiam się, że ktoś się włamał do naszego domu. Widok salonu sprawił, że Emily zaparło dech w piersiach. Jednym z noży do mięsa pocięto kanapy. Na ścianach naba-zgrano nieprzyzwoite słowa, a po podłodze walały się książki z powydzieranymi stronicami. Najgorsze jednak było to, że wszystkie teatralne pamiątki Patricka zostały barbarzyńsko zniszczone. Na zdjęciu przedstawiającym go w stroju wędrownego drozda ze szkolnego przedstawienia ktoś dorysował rogi i zakończony chwościkiem diabelski ogon.

- Och, Patricku, tak mi przykro. Tylko ten pokój czy cały dom?...

- Nie mam pojęcia. - Patrick poczuł ogarniające go zmęczenie. - Wróciłem dosłownie pięć minut temu. Zadzwoń na policję, a ja się trochę rozejrzę.

Włamywacz czy też włamywacze dotarli wszędzie. Na górze Patrick również zastał pobojuwisko. Szuflady były powyciągane z komody, a na lustrze toaletki widniały wypisane jedną ze szminek Caro słowa „wyniosła dziwka”.

- Dranie! - wykrzyknął Patrick. - Dranie!

Zbiegł na dół do kuchni, która wyglądała tak, jakby odbyły się tu zawody w tłuczeniu talerzy. Przestępcy najwyraźniej czuli się dość pewnie, gdyż Patrick znalazł nie dopitą butelkę wina. Zauważył też dwa kieliszki, a więc musiało ich być dwóch.

Policja przyjechała i odjechała, nie robiąc zbyt wielkich nadziei na ujęcie sprawców. Ponieważ nie było żadnych śladów włamania, policjanci wysunęli przypuszczenie, iż jest to robota kogoś z rodziny. Gdy w końcu odjechali, Patrick i Emily, przygnębieni, zaczęli porządkować cały ten bałagan. Chryste, mam nadzieję, że przedłużyłem polisę ubezpieczeniową, pomyślał Patrick.

Uprzątnąwszy wszystko, co dało się uprzątnąć, usiedli w końcu na wypatroszonej kanapie w salonie.

- Jak sądzisz, co powinienem zrobić? - zapytał Patrick. - Zadzwoń do Caro i powiedz jej, co się stało, czy poczekać z tym do jej powrotu?

- Zaczekaj! - doradziła z przekonaniem Emily. - Po co jej psuć resztę urlopu? Będzie się denerwować, a to i tak nic nie pomoże, prawda?

- Cóż, chyba masz rację. Zegar wybił pierwszą:..

Patrick otoczył szwagierkę ramieniem. Emily, która była bardzo zmęczona, pozwoliła, aby jej złocistorude, prerafaelic-kie włosy opadły na jego ramię.

- Jestem taka znużona - wyszeptała.

Patrick rozejrzał się po pokoju. Sam też był wykończony, choć utracił jedynie papierową dokumentację. Premierowe zdjęcia, recenzje, migawki rodzinne, cały zapis jego życia aż do dnia dzisiejszego uległ zniszczeniu.

- Zostań ze mną dzisiejszej nocy, Emily. Nie chcę spać sam.

Gdy ktoś błagał ją w ten sposób, zwykle ustępowała. Skoro Caro postanowiła go porzucić, nowa, wyzwolona Emily nie miała w zasadzie nic przeciwko spędzeniu nocy z Patrickiem.

Ale w obecnej sytuacji nie mogłabym Caro tego zrobić, zmitygowała się. Opędzanie się od natrętnych zalotów Jacka Careya nauczyło ją sztuki taktownej, lecz zdecydowanej odmowy. Przypomniawszy sobie Zygfrйда i Brunhildę, którzy spali z mieczem pomiędzy sobą, powiedziała:

- Jeśli chcesz, prześpię się obok ciebie. Idź na górę. Zaraz do ciebie przyjdę.

Jeśli Patricka rozczarowało odrzucenie jego zawołanej propozycji, nie dał tego po sobie poznać. Kiedy Emily weszła na górę, leżał na plecach i spał, z ramieniem odrzuconym w bok. Przywiodło jej to na myśl obraz „Śmierć Chattertona”. Zbyt zmęczona, aby się rozebrać, Emily cnotliwie opatulila się kołdrą - współczesnym odpowiednikiem miecza - i legła obok Patricka. Chociaż była bardzo znużona, nie zasnęła od razu. Leżała z otwartymi oczami i rozmyślała. Ten, kto spustoszył sypialnię Caro i zabazgrał jej lustro, miał charakterystyczny zwyczaj stawiania nad każdą literą „i” kółeczka zamiast kropki, a Emily знаła tylko jedną osobę, która tak robiła - Nigela Moulta.

LISTOPAD

Do Leonory nadszedł z Londynu list. Nie był od Couttsa - miał inny znaczek - ale wyglądał bardzo oficjalnie. Cassandrze wydał się złowieszczy. Oglądanie go pod światło nie dało żadnej wskazówki dotyczącej jego zawartości, więc po chwili wróciła do przygotowywania dla matki tacy śniadaniowej. Porównała zawartość tacy ze sporządzoną uprzednio notatką, oparła list o imbryk z herbatą i zaniósła śniadanie na górę.

Leonora siedziała na łóżku.

- Dzień dobry, mamó - powiedziała Cassandra, stawiając przed matką tacę. - Przyszedł do ciebie jakiś list.

Przeszła przez pokój i odsunęła zasłony.

Leonora bez zbytniego zainteresowania rzuciła okiem na kopertę, która nie miała okienka, a więc nie był to rachunek, ale nie wyglądało na to, że list zawiera coś specjalnie ciekawego. Prawdopodobnie przysłano go z banku albo może od jej maklera. W obu przypadkach można było z tym poczekać. Zdjęła list z tacy i położyła na nocnym stoliku.

- Dziękuję, Cassandro - powiedziała, wyniosłym gestem odprawiła córkę i zabrała się do rozbijania skorupki jajka na miękko.

Cassandra wyszła.

Sprzątnęła kuchnię, nakarmiła Jardine'a, a potem zaniósła kubek herbaty i grzankę Clarze, która nie czuła się najlepiej. Następnie zeszła na dół i spojrzała na zegarek. Upłyne-

ło czterdzieści pięć minut od chwili, gdy zaniósła matce tacę, a jeszcze nie została wezwana, aby ją odebrać. Gdy zbliżyła się do drzwi sypialni Leonory, zelektryzował ją odgłos głuchego uderzenia, a potem głośny brzęk, po którym nastąpiła cisza bardziej zatrważająca niż wszelkie krzyki i płacze.

Z sercem walącym jak młot Cassandra otworzyła drzwi.

Ujrzała Leonorę na podłodze. Obok niej leżał przewrócony staroświecki aparat telefoniczny i roztrzaskana taca z resztkami śniadania. Cassandra odruchowo położyła słuchawkę na widelki. Najwyraźniej telefon wciąż był sprawny, lecz na linii nie było już nikogo. Prawdopodobnie rozmówca matki rozłączył się w momencie, gdy wszystko runęło na podłogę. Od aparatu odłupał się spory kawałek ebonitu. Na pierwszy rzut oka wy[^] dawało się, że Leonora tylko zemdląła. Usiłując wciągnąć matkę na łóżko, Cassandra zobaczyła, że Leonora ma otwarte oczy, ale mimo usilnych prób nie może wykrztusić ani słowa.

Mój Boże, pomyślała, matka chyba miała wylew.

Julia zadzwoniła do Morgana i Chloe.

- Niestety, nie wygląda to najlepiej. Mózg chyba nie został trwale uszkodzony, ale jest sparaliżowana i na razie nie mówi, choć te objawy mogą jeszcze się cofnąć. Trzeba się nią opiekować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie potrafi nic zrobić samodzielnie. To początek końca... Chyba najlepiej będzie, Morganie, jeśli przyjedziesz tak szybko, jak tylko będziesz mógł.

- Chryste! - Morgan był wstrząśnięty. - Czy była jakaś szczególna przyczyna tego wylewu?

- Nie wiemy. Chyba rozmawiała przez telefon, gdy to się stało, ale z kim, nie mamy pojęcia. Może po prostu wybiła jej godzina, w końcu jest już bardzo sędziwa.

Myśląc, że matka nie robi wrażenia specjalnie zmartwionej tym, co się stało, Morgan powiedział:

- Przyjedziemy pociągiem tak szybko, jak to możliwe. Dam ci znać natychmiast, gdy tylko zarezerwuję bilety.

Jednakże zorganizowanie wyjazdu z Londynu na czas nieokreślony okazało się trudniejsze, niż Morgan się spodziewał. Chwilami zastanawiał się nawet, czy Chloe celowo go nie opóźnia. Stało na tym, że sam zajął się rezerwacją biletów i poinformował żonę o dacie wyjazdu. Potem zadzwonił do Julii i podał jej szczegóły.

- Będę was oczekiwać na stacji - powiedziała Julia. - Niestety, jak dotąd, nie nastąpiła żadna poprawa. Stan matki nie uległ zmianie, a rokowania nie są pomyślne.

Pozostali w Armitage Lodge dwa tygodnie, które dla Chloe trwały bez mała dwa lata. Szczególnie widok sprawnej umysłowo, lecz niemej Leonory Steer przyprawiał ją o drżenie. Wylew poczynił większe szkody po prawej stronie ciała i sprawił, że na prawej części twarzy Leonory malował się grymas wiecznego niezadowolenia. Chloe wzdragała się na myśl o starości, lękała się jej prawie tak samo jak porodu. Dni mijały wolno i zdawało się, że ona i Morgan mają sobie coraz mniej do powiedzenia. Ten dom przypomina kostnicę, myślała nieraz Chloe. Jej ciąża była już widoczna i Morgan na nowo doświadczał uczucia nieprzepartej czułości dla swego przyszłego potomka, choć dostrzegał rosnącą przepaść między sobą a żoną. Właśnie wtedy, gdy wszystkie jego złudzenia niemal się rozwiały, usłyszał od Julii o przyjeździe Caro.

- To z powodu generała - oświadczyła Julia. - Wylew Leonory bardzo go przygnębił. Jak wiesz, zawsze kochał się w niej bez wzajemności. Staruszek z każdym dniem dostaje coraz większego bzika. Caro przyjechała, aby odciążyc matkę i poświęcić trochę czasu dziadkowi. A propos, wiedziałeś, że ktoś się włamał do Hollandów? Podobno cały dom został przewrócony do góry nogami.

Nie wiedział i wcale go to nie obchodziło. Z jego doświadczeń wynikało, że w Londynie prędzej czy później ktoś musi się włamać do każdego domu.

- W każdym razie - ciągnęła Julia - najwyraźniej przyświeca temu myśl, że sir Arthur nie będzie żył wiecznie. Caroline zawsze była taka dobra. Zależy jej na ludziach!

Zależy jej na ludziach...

Słuchając matki, Morgan myślał o ukochanej z tęsknotą i pożądaniem. Postanowił się z nią zobaczyć. Pewien, że Chloe odmówi, zaproponował jej spacer i w zamian otrzymał znajomą odpowiedź:

- Co? Wycieczka po okolicy w moim stanie?

Chloe sama czuła, że zaczyna się zachowywać zupełnie jak jej matka.

Miała też świadomość, że wszystkie rozsądne postanowienia, które podjęła pod wpływem Joanny, gdzieś wyparowały. To nic nie da. Wieś nie jest dla mnie. Gdy wrócimy do Londynu, będę się bardziej starała, usprawiedliwiała się w duchu. Morgan zauważył:

- Ruch dobrze ci zrobi. Świeże powietrze również. Nie nudzi cię siedzenie w domu cały dzień?

- Nie - odparła Chloe, której perspektywa ruchu na świeżym powietrzu ani trochę nie nęciła. - Nie nudzi mnie.

Poszedł więc sam, zabierając do towarzystwa Jardine'a, a po drodze zadzwonił do domu Barstowów. Telefon odebrała Caro.

- Morgan! Oczywiście, z rozkoszą - zgodziła się od razu - ale nie mogę wyjść, dopóki nie odbierzemy dziadka. Popołudnia spędza zwykle w klubie. Dokąd chciałeś się wybrać?

- Pomyślałem, że moglibyśmy przejść się na Wały. Jak za dawnych czasów!

Wiedząc, że nie powinna tego robić, a jednocześnie czując przyśpieszone bicie serca, Caro powiedziała:

- Przyjdź po mnie o drugiej.

I było jak za dawnych dobrych czasów. Słaniali się w podmuchach ostro napierającego wiatru, który niósł ze sobą zapowiedź wczesnego śniegu i szarpał ubrania z taką siłą, że purpurowy płaszcz Caro powiewał niczym rozłożone do lotu skrzydła.

Przed nimi biegł Jardine. Jest coś radosnego w surowości northumberlandzkiego klimatu, myślała Caro, urodzona i wychowana na wsi. Może któregoś dnia wrócę, by znów tu zamieszkać. Wiedząc, że zbliżają się do fragmentu Wałów, który gwałtownie opadał w dół, Morgan zaczął przywoływać psa. Pośród narastającego hałasu wichru trudno było cokolwiek usłyszeć. Pochłonięty pogonią za jakimś stworzeniem, Jardine nie zareagował. Może nawet w ogóle nie usłyszał wołania swego pana.

- Cholerne zwierzę! - wykrzyknął Morgan, który nie cierpiał źle ułożonych psów i był niezmiernie zirytowany odkryciem, iż sam takiego posiada. - Ciotka Cassandra mówiła, że robi się coraz bardziej nieposłuszny. Jardine!

Kręcący się niebezpiecznie blisko krawędzi Wałów Jardine popędził naprzód. Morgan klnąc ruszył za nim w pościg.

- Jardine! Niech diabli wezmą tego psa! Do nogi! Jardine! Kapryśny podmuch wiatru nieomal przewrócił biegnącą za

Morganem Caro. Odgarnawszy włosy z oczu, zobaczyła, że Jardine zniknął. Morgan zatrzymał się gwałtownie. Jak na ironię, wichura na chwilę przycichła. Oddychając z trudem, Caro zrównała się z Morganem. Nie śmiała się odezwać.

- Morgan?

Morgan był wstrząśnięty.

- On nie żyje. Albo sam spadł z Wałów, albo zwiął go wiatr. Nie jestem pewien. Tak czy owak, nie żyje.

Wiatr znów zaczął przybierać na sile. Zdawało się, że pełen współczucia, lamentuje przejmująco.

Stojąc z Caro na szczycie Wałów Hadriana, Morgan zapłakał nad utratą swojego psa.

Caro pozwoliła mu na łzy. W końcu powiedziała łagodnie:

- Wróćmy do samochodu i spróbujmy zorganizować poszukiwania. Może jednak ocalał.

W głębi duszy oboje w to wątpili.

Morgan pojął nagle ulotność tego, co uprzednio uważał za niewzruszone. Stał, odwrócił się twarzą do Caro i położył jej ręce na ramionach.

- Słuchaj - powiedział - skończmy z tym wszystkim. Ja powiem Chloe, a ty powiedz Patrickowi. Chcę być z tobą nie w jakiejś odległej przyszłości, ale teraz.

„Morgan składa hołd Caro”.

Caro otworzyła usta, by zapytać: „A co z Minervą? Z Chloe? Chloe jest w ciąży!”, lecz zamiast tego powiedziała:

- Zrobię to. Odejdę z tobą! - Zadrżała na dźwięk własnego głosu, a waga słów, które właśnie wyrzekła, sprawiła, że poczuła się bliska omdlenia. - Zrobię to, obiecuję - powtarzała z uporem, myśląc jednocześnie o krzywdzie, jaką wyrządzi Patrickowi i córce.

Ogarnęły ją wątpliwości... Marzenia były czymś bardzo odległym od dnia powszedniego. Caro zdała sobie sprawę, że być może wkrótce popełni największy błąd w swoim życiu. Z rozdartą duszą wsiadła do samochodu.

W ciągu następnych dni bez końca powtarzała sobie w duchu wszystkie argumenty przemawiające już to za odejściem, już to za pozostaniem. Nie potrafiła myśleć o niczym innym; w głowie miała absolutny chaos.

Gdyby ucieczka z Morganem była słusznym wyjściem, chyba nie dręczyłyby mnie te okropne przeczucia, powtarzała sobie. Zdrada nie przychodziła jej łatwo, a teraz miała popełnić akt zdrady wobec osób, które kochała. Zdesperowana spisała na kartce wszystkie „za” i „przeciw”. Doszło do tego, że którąkolwiek listę czytała, argumenty z tej właśnie wydawały się przeważać. Po nie przespanych nocach następowały poranki, kiedy wyraźnie widziała siebie kroczącą wraz z Morganem wspólną drogą, lecz przeplatały je inne, gdy przyszłość nie rysowała się jasno i przejrzyście. Złożenie ślubów w najbliższym zakonie było chyba jedynym honorowym wyjściem, które jej pozostało.

Meredith wróciła do domu po krótkiej wizycie u swojej przyjaciółki, w chwili gdy „uciec z Morganem” było akurat hasłem dnia. Gdyby był to jeden z dni, w którym przeważało „wytrzymać z Patrickiem”, może sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót. Caro jednak poczuła, iż nie jest w stanie dźwigać dalej samotnie ciężaru własnego niezdecydowania, i postanowiła opowiedzieć matce, co się z nią dzieje.

- Zupełnie inaczej się czuję - oświadczyła Meredith po powrocie i zaproponowała małą wyprawę do miasta. Był zimny, wilgotny dzień. Zapowiadał nadchodzącą zmianę pogody.

Ruszyły wzdłuż brzegu strumyka, oddzielonego od ulicy niskim kamiennym murkiem, po którym Caro czasami spacerowała, gdy była małą dziewczynką.

- Jesteś bardzo małomówna. - Meredith spojrzała czule na córkę. - Ojciec był nieznośny, czy tak?

- Nie, właściwie nie. Chociaż wydaje mi się, że nie wytrzymałabym mieszkania z nim pod jednym dachem. Bardzo wiele rzeczy zapomina, prawda? I robi się coraz bardziej kłótlivy.

- Ojciec zawsze był kłótlivy - powiedziała Meredith z przekonaniem. - Czasami zastanawiałam się, jak matka mogła w ogóle z nim wytrzymać. Szły Gilesgate pod górę. Gdy mijały opactwo i teren do gry w kręgle, przyszedł Caro do głowy pewien pomysł.

- Wiesz co, mam, właściwie nie mam żadnych sprawunków do załatwienia, więc może ty idź załatwić swoje, a potem spotkamy się w opactwie.

- W opactwie? - Meredith była zaskoczona. - Dobrze, zgoda, jeśli tak chcesz. Nie zabawię długo.

Caro weszła do kościoła. Wyjątkowo nikogo tam nie było. Panowała cisza tak absolutna, że wydawała się niemal dotykalna, i Caro poczuła ogarniający ją spokój. Minęła nawę i usiadła u stóp Nocnych Schodów. Ich kamienne stopnie były wytarte stopami mnichów, którzy przez pokolenia przemierzali je w górę i w dół. Caro objęła kolana ramionami i zaczęła rozmyślać nad swoim życiem.

Nie rozmawiała z Morganem od wypadku Jardine'a, bo nie miała odwagi zadzwonić do Armitage Lodge. Bała się, że Chloe mogłaby przypadkiem odebrać telefon. Caro zastanawiała się, czy Morgan powiedział żonie, że ona była z nim tego dnia, gdy zginął Jardine. Nie wydawało się to prawdopodobne. Chyba że od razu zrobił to, co i ona miała zamiar zrobić, i wyznał Chloe całą prawdę. W pewnej chwili, jakby pogrążona w transie, uczuła, że przesycona wonnym powietrzem, nieruchoma cisza świątyni chce odwieść ją od decyzji, którą zamierzała podjąć. Na chwilę wszystkie jej problemy stały się ulotne i mało ważne.

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do kościoła, poprzedzony snopem wpadającego do wnętrza światła. Caro wzięła głęboki oddech, po czym odezwała się:

- Jestem tutaj. Posiedźmy jeszcze chwilę. Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć.

Gdy Caro skończyła, Meredith milczała przez chwilę.

- Ja też - powiedziała w końcu - mam ci coś do powiedzenia.

Gdy skończyła, Caro była zupełnie ogłuszona. Całe moje życie opierało się na fałszywych przesłankach, pomyślała. Nic już nigdy nie będzie takie samo.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? Och, mamo, powinnaś była to zrobić. Jak mogłaś pozwolić, aby sprawy zaszły tak daleko? - Caro zdawała sobie sprawę ze swego oskarżycielskiego tonu. Meredith spuściła głowę.

- Wybacz mi, ale miałam nadzieję, że nigdy nie będzie potrzeby rozdrapywać na nowo starych ran.

Rozdygotana Caro poderwała się z miejsca. Stała przez chwilę, usiłując zebrać myśli, splatając nerwowo dłonie i szarpiąc obrączkę.

- To wszystko zmienia. Muszę się skontaktować z Morganem. Muszę go powstrzymać, zanim cokolwiek powie Chloe. Jeśli tego nie zrobię, skutki mogą okazać się tragiczne.

Nie patrząc na matkę, odwróciła się i wybiegła z kościoła.

Meredith pozostała w coraz bardziej mrocznej świątyni. Pozostał jeszcze jeden sekret, którego nie wyjawiała. Nigdy tego nie zrobię, myślała.

Naprawdę nie ma potrzeby. Nic by to nie pomogło. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Clara powiedziała głośno to, o czym wszyscy myśleli:

- Zastanawiam się, czy w domu znajduje się kopia jej ostatniej woli.

- Powinna być - odparta Julia. - Chociaż w dniu, gdy Leonora spotkała w Hexham Fredericka, odwiedziła swojego adwokata. To był główny powód, dla którego tam pojechała.

- Wiem, gdzie trzymała testamenty - oświadczyła Clara.

- Ja też - dodała Cassandra. - Wiem też, gdzie jest klucz.

- Naprawdę? Gdzie?

- Nosi go na szyi na cienkim złotym łańcuszku.

- Jesteś tego pewna? Cóż za niezwykle sposób przechowywania kluczy!

- Kąpię ją od czasu, gdy miała wylew, więc jestem zupełnie pewna - oświadczyła sucho Cassandra. Opieka nad Leonorą nie była przyjemnym zajęciem. - Kiedy matka będzie spała, zabiorę klucz i wyjmę testament. Potem klucz wróci na miejsce, podobnie jak ostatnia wola. Matka nigdy się o tym nie dowie.

Zapadła pełna niepewności cisza. Wszystkie odczuwały pokusę.

Niezależność, o której marzyły, wydawała się w zasięgu ręki.

- Jeśli dowiemy się teraz, będziemy mogli zaplanować swoją przyszłość - powiedziała Cassandra.

- Tak, ale zastanawiam się, czy... Może... powinniśmy ją o to zapytać.

- Zapytać? O co zapytać? Zapytać matkę, czy mogłybyśmy się dowiedzieć, co napisała w testamencie? - odparła zjadliwie Cassandra, drwiąc z niezdecydowanego mamrotania Clary.

Pełen wyrachowania pomysł siostry sprawił, że Julię przeszedł zimny dreszcz. A jednak, myślała, podobnie jak one chcą się dowiedzieć, jakie będzie życie, które jest jeszcze przede mną. Tłumiąc złe przeczucia, powiedziała:

- Myślę, że to dobry pomysł. I masz rację - matka nigdy się o tym nie dowie.

Tego samego dnia Cassandra wprowadziła swój zamiar w czyn. Leonora leżała na plecach, oddychając chrapliwie. Bardzo ostrożnie Cassandra odpięła dwa górne guziki zapiętej pod szyję bluzki matki.

Leonora poruszyła się. Cassandra cofnęła rękę.

Pomyślawszy jednak, że nawet gdyby Leonora się obudziła, nie mogłaby jej w niczym przeszkodzić, po chwili wróciła do rozpoczętego działania. Cięższy od samego łańcuszka zameczek przesunął się do przodu i znalazł tuż obok kluczyka. Wstrzymując oddech, Cassandra odpięła go i zsunęła kluczyk z łańcuszka. Dopasowała klucz do jednej z szuflad komody i przekręciła go w zamku.

Nic, co znajdowało się wewnątrz, nie przypominało testamentu.

Szuflada pełna była rękawiczek. Cassandra nigdy nie widziała tylu rękawiczek naraz. Były tam rękawiczki krótkie i długie, z guziczkami, rękawiczki z delikatnej irchy, z czarnego jedwabiu, niektóre wciąż jeszcze zawinięte w bibułę. Wszystkie prawdopodobnie pochodziły z czasów młodości Le-onory. Dlaczego, zadawała sobie pytanie Cassandra, matka miałaby nosić na szyi klucz, który broni dostępu jedynie do rękawiczek i... wachlarzy? Zaczęła przetrząsać zawartość szuflady, badając oddzielnie każdą parę. Nic. Dopiero gdy odkładała rękawiczki na miejsce, zwrócił jej uwagę ciężar jednej z nich. Znalazła w niej mały mosiężny kluczyk, wciśnięty w jedwabny kciuk. Był tylko jeden mebel, do którego tego rodzaju kluczyk mógłby pasować - sekretarzyk stojący naprzeciwko okna. Tam Cassandra znalazła to, czego szukała, czyli potwierdzony notarialnie odpis testamentu. Oryginał musiał być u adwokata.

Cassandra wyjęła kopię i zamknęła szufladę. Mosiężny kluczyk zatrzymała. Rękawiczki schowała z powrotem do komody i zawiesiła klucz na złotym łańcuszku na szyi matki.

Gdy znalazła się znów na dole, ruszyła na poszukiwanie sióstr.

- Znalazłam go! - zawołała, trzymając w wyciągniętej dłoni testament matki. Położyła pakiecik na stole. Wszystkie trzy skupiły się przy nim, niczym pszczoły wokół plastra miodu.

- Ja zrobiłam swoje. Która z was go odczyta?

- Ja - powiedziała Julia.

Usiłując opanować drzenie rąk, otworzyła kopertę.

Caro wzburzona biegła na oślep przez rynek. Nie wiedziała, dokąd biegnie, i wcale jej to nie obchodziło. W takim stanie skręciła w Battle Hill, gdzie zderzyła się z Morganem.

- Och, Morganie! Och, dzięki Bogu! \ Wydawała się bliska omdlenia.

- Gdzie jest Chloe? Czy Chloe jest z tobą? Powiedziałeś jej? Morgan spojrzał na nią zdumiony i odpowiedział:

- Nie, jestem sam. Chloe odpoczywa. - Jednocześnie pomyślał: Ostatnio odpoczywa niemal bez przerwy.

- Ale czy jej powiedziałeś? O nas? Powiedziałeś jej?

- Kochanie, co się właściwie stało?

Odnotowała w myśli, że po raz pierwszy zwrócił się do niej w ten sposób. Morgan, widząc, że budzą niemałe zainteresowanie przechodniów, ujął Caro pod ramię i rzekł:

- Wyglądasz na bardzo poruszoną. Poszukajmy jakiegoś spokojnego miejsca, tak abyśmy mogli swobodnie porozmawiać. Wtedy opowiesz mi, co się stało.

- Nie, nie! Nie zniosę siedzenia w zamkniętym pomieszczeniu.

- Uspokój się, kochanie. Więc dokąd chciałabyś pójść?

- Na pole do gry w kręgle. Usiądziemy tam na ławce.

- Zgoda, ale czy nie zmarzniesz?

- Nic mi nie będzie.

Teren do gry w kręgle i otaczające go łąki były zupełnie opustoszałe. Nic dziwnego, pomyślał Morgan, skoro jest tak zimno. Uspokoiwszy się nieco, Caro powiedziała:

- Morganie, jesteś synem majora Farrella, prawda?

- Tak, przecież dobrze o tym wiesz - zdziwił się Morgan. Zegar na wieży opactwa powoli wybił godzinę. Czekał na to, co miało nastąpić.

- Właśnie dowiedziałam się od matki, że jestem jego nieślubnym dzieckiem.

Gdy Julia skończyła czytanie testamentu Leonory, wszystkie trzy spojrzały na siebie osłupiałe.

- Jak mogła zrobić coś podobnego? - Clara była bliska płaczu.

- Cóż, przecież znasz matkę! - Cassandra, choć równie rozczarowana, zachowała spokój. - Nigdy nie była altruistką i nie miała poczucia sprawiedliwości.

Odpowiadała jej smętna wizja przyszłości pośród łososiowych gladioli, które układały wspólnie z Deirdre Ricketts w zakrystii kościoła.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego to zrobiła - odezwała się w końcu Julia. Jej marzenia o podróżowaniu po świecie legły w gruzach. - Chloe ma tyle pieniędzy, że nie wie, co z nimi począć. A co robi matka? Daje jej jeszcze więcej. To nasze pieniądze!

- Właściwie nie zostawiła wszystkiego Chloe. Część zapisała Morganowi, prawdopodobnie po to, aby mógł być finansowo niezależny od żony, a resztę powierzyła opiece Chloe, do chwili gdy ich dziecko osiągnie pełnoletność. Jeśli zarówno Chloe, jak i dziecko umrą przed Morganem, majątek wróci do nas. Cokolwiek jednak się stanie, wolno nam tu zostać i żyć w tym domu.

- Tak, ale z czego? - rzuciła uszczypliwie Julia. - A poza tym, kto chciałby dalej tutaj mieszkać?

- Ja. - Clara wyglądała na przybitą. - Gdzie indziej mogłabym pójść?

- Będziemy żyły z tego, co Morgan łaskawie dla nas przeznaczy. Znamy już ten scenariusz. To mi przypomina, że powinnam pójść i sprawdzić, co się z nią dzieje.

Leonora leżała, tak jak Cassandra ją zostawiła, ale tym razem miała otwarte oczy. Cassandra przetrzepała poduszki i podciągnęła Leonorę do pozycji siedzącej. Zbyt późno spostrzegła mosiężny kluczyk od sekretarzyka na narzucie, gdzie go odłożyła, gdy zapinała matce bluzkę. Wiedziała, że Leonora też go zauważyła.

Choć dotychczas trzymała się doskonale, choroba sprawiła, że teraz wyglądała na swoje dziewięćdziesiąt lat. Gdy leżała bezwładnie w ogromnym łóżku, wydawała się dużo mniejsza. Jej twarz wyglądała tak, jakby ktoś utkał na niej ciemną pajęczą sieć.

Kto by pomyślał, że Cassandra miała odwagę to zrobić! Choć Leonora nie mogła mówić, umysł wciąż miała jasny. Może nie doceniałam jej przez te wszystkie lata, przyznała sama przed sobą. I Julii też. Może. Choć na pewno nie Clary. Nie, nikt nie mógłby nie docenić Clary, myślała patrząc na córkę.

Cassandra, przyłapana, przyjęła pozycję obronną, a potem - gdy cała pogarda i niechęć wreszcie się z niej wylały - przeszła do ataku.

- Cóż, mamó, a czego się spodziewałaś? - Zacisnęła pięści ze złości. - Po tych wszystkich latach manipulowania nami, prześladowań i tej cholernej zaborczości! Clara mogła wyjść za mąż. Powinna była wyjść za mąż! Ale nie! Musiała zostać w Armitage Lodge, aby mogli ją adorować inni wielbicieli. Albo Julia. Julia posiada błyskotliwy umysł, który - z powodu twojej zachłannej żądzy pieniędzy - nigdy nie został wykorzystany. Ma złamane życie i nie może się pochwalić niczym z wyjątkiem nieudanego małżeństwa z majorem. A wiesz, mamó, dlaczego za niego wyszła? Wiesz? Zrobiła to, aby uwolnić się od ciebie. Jesteś złą kobietą, która odmówiła nam trzem godziwego życia nawet po twojej śmierci. Wciąż chcesz rządzić, nawet zza grobu, i wygląda na to, że ci się to uda.

A jednak nie doceniałam Cassandry, uznała Leonora, na której tyrada córki zrobiła duże wrażenie. Tak często zmieniałam zdanie, że nie pamiętam już, której z nich zapisałam szmaragdy. Oczywiście teraz nie mogę nic w tej sprawie zrobić, ale to jasne, że powinna je dostać Cassandra. Ona jedna odznacza się prawdziwą siłą charakteru. Ja i tak nie miałabym już ze szmaragdów żadnego pożytku.

Zamknęła oczy, a gdy je znów otworzyła, Cassandry już nie było. Do pokoju wkradał się zmierzch. Leonora poczuła, że jej serce na moment przestało bić. Po jakimś czasie to się powtórzyło. Próbowала wezwać pomocy, ale nie mogła. Co chwila traciła przytomność... Zdała sobie sprawę z istnienia ciemności o wiele groźniejszej niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyła. Ciemność zdławiła ją niczym wąż, przesłaniając wszelkie światło, które dochodziło do jej oczu.

Już nie potrzebowała szmaragdów.

Morgan wpatrywał się w Caro bez słowa. Niektóre sprawy stały się nagle zupełnie jasne. Przypomniał sobie własne słowa, gdy tłumaczył Tomowi Marchantowi: „To jak pokrewieństwo. Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić. Czuję się tak, jakbym był częścią Caro, a ona częścią mnie”. Jeśli Meredith Barstow powiedziała prawdę, miał wtedy więcej racji, niż przypuszczał.

- Przepraszam, ale czy jesteś pewna, że twoja matka się nie myli?

Caro odparła z ponurą ironią:

- Dlaczego miałaby kłamać? W końcu jeśli ktoś wie, kim był mój ojciec, to chyba ona?

- To dlatego zawsze mi się wydawało, że nie darzy mnie szczególną sympatią.

- Morganie, nie sędzę, aby to miało cokolwiek wspólnego z tobą. Być może widziała nasze wzajemne zainteresowanie i obawiała się nieszczęścia, ale gdy wyszłam za Patricka, miała nadzieję, że niebezpieczeństwo minęło. Nie było potrzeby

rozgrzebywać sprawy. Nie zapominaj, że matka przez lata stanowiła podporę całej tutejszej społeczności. Nie mogła sobie pozwolić na skandal. Była wzorem dobrych uczynków i lokalnej kariery. A potem, gdy poślubiła Chloe, musiała odczuć prawdziwą ulgę. Wreszcie była bezpieczna.

To niezwykle, rozmyślała Caro, wypowiadając te słowa, oto siedzimy tutaj, Morgan i ja, i rozsądnie, z całym spokojem, omawiamy największy wstrząs, jakiego doznaliśmy w życiu!

- Ale wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Powiedziałaś Chloe?

- Nie - odparł Morgan. - Miałem zamiar zrobić to dziś wieczorem.

Caro zadrżała z zimna i wstała z ławki.

- Myślę, że nie powinniśmy się przez jakiś czas spotykać. Zawsze będę cię kochała, ale teraz będzie to musiała być inna miłość.

Łzy spłynęły po jej policzkach i wydawało się, że za chwilę zamarzną, tak chłodno się nagle zrobiło.

Nie potrafiąc się powstrzymać, Morgan po raz ostatni pocałował ją, jak się całuje kochankę, a potem każde z nich poszło w swoją stronę.

„Bogini Minerwie składa hołd Minerva Holland”.

Czekając na powrót córki, Meredith postanowiła napisać list. Otworzyła biurko i wyjęła stamtąd kartkę czystego papieru. Do pokoju wszedł generał.

- Do kogo piszesz, Meredith, staruszko?' Pomyślawszy, że ojciec nigdy nie szanował cudzej prywatności, odparła krótko:

- To sprawa osobista, ojcze.

- Osobista? W twoim wieku? Cóż, wobec tego wycofuję pytanie.

Najwyraźniej poirytowany, usiadł i otworzył najświeższy numer „Telegrapha”. Widząc, że może spokojnie zająć się swoimi sprawami, Meredith napisała do majora.

Szanowny majorze Farrell

Tajemnica wyszła na jaw. Tak więc w tym miesiącu nie przyślę panu czeku i - jeśli już o tym mowa - nigdy więcej. Będę wdzięczna, jeśli zwróci mi Pan listy, które są w Pańskim posiadaniu. Gdyby kiedykolwiek pojawił się Pan w tych stronach, nie omieszkam niezwłocznie powiadomić policji o pańskiej działalności.

Z poważaniem M.B.

Pomna na skłonności majora do szantażu, nie podpisała tego listu pełnym imieniem i nazwiskiem, jak to naiwnie czyniła wiele lat temu w listach miłosnych.

- Już skończyłaś? Nie zajęło to wiele czasu, co? - odezwał się niechętny głos zza gazety. - Wiele hałasu o nic, Meredith.

- Tak, ojczy - odparła Meredith przez zaciśnięte zęby. Zaadresowała kopertę i przykleiła znaczek. Jutro wrzuci list do skrzynki.

Oboje usłyszeli nadejście Caro, która jednak nie weszła do salonu, tylko od razu skierowała się na górę. Meredith wstała. Czekwała ją rozmowa, której się bała, ale nie mogła jej uniknąć.

- Proszę - powiedziała Caro, słysząc pukanie do drzwi. Siedziała na łóżku, bardzo blada, ale spokojna. Jediną oznaką wewnętrznego wzburzenia była wilgotna chusteczka, którą miała w dłoniach.

- Caro, tak mi przykro.

- Spotkałam Morgana w mieście, dosłownie na niego wpadłam, więc już wie... - Głos córki był zupełnie wyprany z emocji. - Na szczęście jeszcze nie powiedział o nas Chloe. Ustaliliśmy, że nikt się nie dowie o tym, co mi wyznałaś - nawet Emily. - Wspomnienie siostry sprawiło, że łzy znów napłynęły Caro do oczu.

Choć Meredith pragnęła wziąć córkę w ramiona, nie odważyła się tego zrobić. Usiadła na krześle koło okna.

- Och, Caro...

- W porządku, mamó, naprawdę nic mi nie jest!

- Czy wybaczysz mi kiedykolwiek?

Co za ironia losu, myślała jednocześnie, wypowiadając te słowa. Być może nie ma nic do wybaczenia, gdyż po tylu latach sama nie wiem, czy Caro jest córką mojego męża, czy Fredericka.

To był ostatni jej wstydlivy sekret.

- Już ci wybaczyłam. To, że powiedziałaś mi o tym właśnie teraz, sprawiło, iż uporządkowałam na nowo hierarchię ważności pewnych spraw. Choć myślałam, że kocham Morgana, sądzę, iż gdybym z nim odeszła, nie potrafiłabym uwolnić się od świadomości, że skrzywdziłam Minervę, Patricka i Chloe. Nigdy nie przestanę kochać Morgana, ale od tej chwili będzie to inny rodzaj miłości. Teraz będziemy mogli się widywać bez poczucia winy.

Caro wstydziła się przyznać przed matką, że odczuwa niewymowną ulgę z tego powodu, iż odpowiedzialność za podjęcie decyzji, która mogłaby zrujnować jej życie i życie innych ludzi, została z niej zdjęta.

Poczucie winy.

Meredith milczała. A więc Caro zachowała iście stoicki spokój, nie pozostawało zatem już nic do dodania. Córką wróci do Patricka i może teraz, gdy wyszło na jaw, że Morgan prawdopodobnie jest jej bliskim krewnym, będzie w stanie zacząć z mężem zupełnie nowy rozdział życia. Jak jej wyznanie wpłynie na związek Morgana i Chloe, Meredith nie wiedziała. Co za okropne zamieszanie, myślała. I to wszystko z mojej winy. Powinnam była powiedzieć o tym Caro wiele lat temu.

Na dole zaczął dzwonić telefon.

- Meredith! Telefon! - zawołał generał, który nigdy nie podnosił słuchawki, gdy córka była w domu.

Meredith podniosła się ze znużeniem. Caro także wstała. Postąpiwszy o krok naprzód, bez słowa objęła matkę. Przez chwilę obie kobiety w milczeniu tuliły się do siebie.

- Meredith!

- Chwileczkę, ojcze! - krzyknęła zniecierpliwiona. Czują,

że jej reakcja jest zbyt gwałtowna. - Lepiej już pójdę. O, przestał dzwonić. Caro była zaskoczona.

- Dlaczego dziadek sam nie odbierze telefonu?

- Nie wiem. To swego rodzaju demonstracja, ale nie mam pojęcia, o co mu właściwie chodzi.

Telefon znów zaczął dzwonić.

-Meredith!!!

-Idę!!!

Gdy matka wyszła, Caro położyła się na łóżku. Jestem taka zmęczona, pomyślała, tak bardzo zmęczona. Mogłabym spać przez setki lat. Słyszała ściszy głos Meredith i cichy trzask odkładanej na widełki słuchawki.

Potem matka znów pojawiła się w drzwiach.

- To była Julia. Leonora Steer umarła.

Harry Blackstock zaprosił Toma Marchanta na lunch. Nie powiedział Joannie, że ma zamiar to zrobić, i celowo wybrał moment, gdy córka pojechała w odwiedziny do mieszkających na wsi przyjaciół, Chciał spotkać się z przyszłym zięciem sam na sam.

Tom stawiał się na miejscu o oznaczonej godzinie. Zastał tam już Blackstocka. Harry siedział przy dwuosobowym stoliku, popijając szampana. Nieczuły na pełne wyrzutu spojrzenia innych gości, palił ogromne kubańskie cygaro, spowijając wszystko wokół kłębamii gęstego niebieskawego dymu.

Powitał Toma wylewnie.

- Ach, Tom, jak to dobrze, że w końcu mamy okazję się spotkać! - Podali sobie ręce. - Siadaj... - Potem zwrócił się do kelnera: - Proszę o kieliszek szampana dla mojego gościa i jeszcze jedną kartę dań.

Przez chwilę obaj w milczeniu studiowali jadłospis. Tom ukradkiem obserwował przy tym Blackstocka. Harry był niewysokim, krępy męczyzną, ubranym w drogi garnitur. Emanowała z niego pewność siebie i siła człowieka, który od-

niósł sukces. Próbując odnaleźć w nim jakieś podobieństwo do Joanny, Tom uznał, że oboje zachowują się równie bezpośrednio. Fizycznie jednak nie byli do siebie podobni. Joanna musiała odziedziczyć urodę po matce. Harry odchylił się do tyłu na krześle.

- Tom, porozmawiajmy otwarcie. Masz babo placek.

Marchant poczuł, że znalazł się na niepewnym gruncie.

- Moja córka, Joanna, moje oczko w głowie, mówiła mi, że poprosiła ją o rękę.

Tom zaczął niepewnie:

- Cóż, sir, ja... Harry wyciągnął rękę.

- Nie! Nie, ani słowa! Będziesz mógł mówić, gdy skończę. Na czym to stanąłem? Aha!... Małżeństwo! Jestem jak najbardziej za. Matka Joanny była wspaniałą kobietą, a ja - oddanym mężem. Nie wiernym, ale oddanym. Małżeństwo - improwizował Harry - to wspaniała instytucja. Cóż byśmy bez niej zrobili?

Jego przemówienie ciągnęło się bez końca. Najwyraźniej nie obchodziło Harry'ego, co inni mają do powiedzenia. Tom zastanawiał się, czy panią Blackstock satysfakcjonowało takie „niewierne oddanie” męża.

- Cygaro?

Zobaczywszy nadchodzącego z przystawkami kelnera, Tom odmówił. Harry natomiast zapalił kolejne cygaro, co sprawiło, że gwar rozmów przy sąsiednich stołach wyraźnie przycichł, a jeden z gości zaczął się wachlować kartą dań. Kelner znów się pojawił, ale został odesłany z poleceniem, aby wrócić za dziesięć minut.

Harry podjął przerwana wypowiedź.

- Nie możesz zaprzeczyć, Tom, że skończony łobuz z ciebie. Lubisz mieć pieniądze i lubisz je wydawać. Chociaż nie jesteś zbyt skory do ich zarabiania.

Tom zamrugał, zmieszny. Zrozumiał, po kim Joanna odziedziczyła swoją szczerłość. Bezceremonialna otwartość Blackstocka przyćmiła nawet Leonorę Steer.

Tom spojrział na Harry'ego. Trafność jego stwierdzenia była tak oczywista, że nie miało sensu zaprzeczać.

- Pochodzę z Yorkshire - mówił teraz Blackstock - gdzie zwykliśmy nazywać rzeczy po imieniu.

Z pewnością! Tom skrzywił się lekko.

- Gdzież się podziewa ten kelner? - zirytował się nagle Harry. - Upłynęło już chyba z pół godziny od chwili, gdy złożyliśmy zamówienie.

Przywołał kelnera gestem.

- Wszystko to jednak nie znaczy, że nie można cię zresocjalizować.

Joanna twierdzi, że potrafi to zrobić i - z pewnością - ma rację. Moja córka jest bardzo zdecydowaną młodą damą. Lecz moim obowiązkiem jest ochrona interesów Joanny i jako osoba sprawująca pieczę nad majątkiem córki, nie pozwolę jej poślubić nikogo bez uprzedniego spisania kontraktu małżeńskiego, nawet gdyby to był biskup Canterbury... więc nie bierz sobie tego do serca, Tomie. Gdyby jednak zaniedbała tę sprawę, nie dostanie ode mnie ani pensa.

Uniósł rękę z cygarem, aby podkreślić wagę swoich słów. Nad sąsiednim stolikiem zgromadziły się chmury wstrętnego, gryzącego dymu.

- Dobrze, teraz, kiedy się dogadaliśmy, możemy przystąpić do jedzenia.

Co powiesz na butelkę Sancerre na początek?

- Jak ci poszło z tatą? - dopytywała się Joanna po powrocie Toma. -

Dzwoniłam do niego i powiedział mi, że jedliście razem kolację. Nie chciał, abym była przy tym obecna. Powiedział, że chciał porozmawiać z tobą w cztery oczy, tak aby nic nie rozpraszało jego uwagi.

- Twój ojciec uważa, że jesteśmy bardzo bliscy podjęcia decyzji o małżeństwie. Kiedy więc pozwolił mi dojść do słowa, oznajmiłem mu, że poprosiłem cię o rękę i dostałem kosza.

- Naprawdę? - Joanna przeciągnęła grzebieniem po włosach. - I co ojciec na to?

- Powiedział: „Zatem nie ma żadnego problemu. Moja córka to rozsądna dziewczyna. Może jeszcze jeden kieliszek szampana, Tom?”

Roześmiała się.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić! I, oczywiście pod warunkiem, że mnie nie poprosisz ponownie, nie będzie żadnego problemu.

- A jeśli cię poproszę?

- Wtedy, jego zdaniem, sytuacja ulegnie zmianie. Martwi się o moje pieniądze czy raczej: o swoje pieniądze. Do wszystkiego doszedł sam. Wspiął się mozolnie po drabinie sukcesu, dlatego nie chce oddawać majątku komuś, kto nań nie zasłużył. Nawet jeśli będzie to człowiek, którego poślubię.

Nie wspomniała słowem o kontrakcie. Tom też tego nie zrobił.

- Wydaje mi się, że dobrze nam się ze sobą rozmawiało - oświadczył Tom. Istotnie, gdy już omówili sprawę finansów, gawędzili bardzo przyjemnie.

- Chociaż mówił głównie on. Ja przeważnie słuchałem.

- To cały tata! - znów roześmiała się Joanna.

Do diabła z kontraktem małżeńskim, pomyślał Tom. Kocham tę kobietę! Wziął ją w ramiona.

- Więc?...

- Co więc?

- Wyjdiesz za mnie?

Nie odpowiadając wprost, Joanna zapytała:

- Czy należał na spisanie kontraktu małżeńskiego? - Najlepiej od razu postawić sprawę jasno i upewnić się, że się dobrze zrozumieli, zanim sprawy zajdą za daleko.

- Owszem.

- A ty nie miałaś nic przeciwko temu?

- No cóż, nie było to wotum zaufania z jego strony. Myślisz, że jest jakaś szansa, by zmiękł?

Skoro szczerłość najwyraźniej była tak wysoko ceniona, Tom pomyślał, że może o to zapytać.

- Nie. Jest na to zbyt przebiegły.

- Cóż, szkoda. Ale to ty jesteś tym, czego pragnę. Pocałował ją.

- Kocham cię. Więc... wyjdiesz za mnie? - Ta kwestia wciąż była otwarta.

- Tak, wyjdę! Kiedy zakończy się twoja sprawa rozwodowa?

- Wkrótce. W ciągu najbliższych dni. Zadzwoń do mojego adwokata.

Ślub na wiosnę?

- Na wiosnę.

- Chodźmy do łóżka.

Następnego ranka Caro dostała od Patricka list. To było niezwykle. Gdy wyjeżdżała do Northumberland, mąż zazwyczaj kontaktował się z nią telefonicznie. Z ogólnego tonu listu Caro wywnioskowała, że Emily dotrzymała obietnicy i odbyła rozmowę z Patrickiem. List zaczynał się przeprosinami, a kończył wyznaniem miłosnym. Patrick pisał:

Caro, jesteś dla mnie wszystkim. Gdybyś mnie zostawiła, moje życie straciłoby sens. Wróć do domu, kochanie, i uwierz mi: od tej chwili wszystko będzie inaczej. Minerva i ja kochamy Cię i tęsknimy za Tobą.

Przepełniona wdzięcznością za to, że los daje jej jeszcze jedną szansę, przeczytała list po raz drugi.

„Gdybyś mnie zostawiła...”

Emily musiała rzeczywiście dobrze się postarać. Niech ją Bóg błogosławi. Po raz pierwszy od wielu tygodni wyczerpana Caro przespała spokojnie całą noc. Śniło jej się, że ona i Morgan, ubrani w długie zwiewne szaty, tańczą dziwny rytualny taniec - bardzo powolny i rytmiczny. Ich oczy nie spotkały się ani razu i ani razu się nie dotknęli. A gdy ona spojrzała w końcu na swego partnera, okazało się, że

przez cały czas tańczyła z Patrickiem, a Morgana wcale tam nie było.

Na ogół wieści w miasteczkach wielkości Hexham rozchodzą się szybko, więc Seth wkrótce dowiedział się o śmierci starej pani Steer.

Chociaż nie chodził do kościoła, postanowił wyczyścić swoje niedzielne buty. Podśpiewywał przy tym piosenkę o „Kasi mleczarce” w miejscowym dialekcie i rozmyślał.

Spotkać ją w Sangit możecie, Gdy wicher od morza wieje, Jest jak pęk kwiecia z wrzosowisk, Nad którym pszczoła się śmieje. Na nosie ma okulary, Pończochy nosi nienowe, Kapelusz gubi czasami, W koszuli sypia liliowej. A zwał ją Kasia mleczarka I chciałbym, aby tu była, Bo duża jest i wesola, Piwo by chętnie wypila.

Clara była „duża”, a Martha „wesola”... To znaczy, Martha miała piękne ciało, lecz Clara - pieniądze. Seth doszedł do wniosku, że przyszedł czas, aby się ustatkować: Idealnie by było, gdyby mógł posiadać obie kobiety, gdyż każda z nich miała coś do zaoferowania, wątpił jednak, aby Clara zgodziła się na taki układ. W końcu zdecydował „ustatkować się” dla pieniędzy.

Gdy ją o rękę prosiłem, Ze śmiechu boki zrywała, Mówiła: „Nie żartuj ze mnie”, Aż nagle śmiać się przestała,

*Złościć się strasznie zaczęła, I smutno się to skończyło, I mówią kumple ze statku: „Po co ci, chłopie, to było!” **

Z szacunku dla zmarłej matki Clara nie od razu wybrała się na spotkanie z Sethem. Pomimo śmierci Leonory niewiele się dotąd zmieniło i prawdopodobnie nie miało się zmienić nawet po załatwieniu spraw związanych z testamentem. Cassandra pogodziła się z myślą, że Chloe znajduje się poza jej zasięgiem, i odnowiła przyjaźń z Deirdre Ricketts. Ich związek jeszcze się zacieśnił.

Morgan obiecał Chloe, że gdy tylko zakończą się uroczystości pogrzebowe, natychmiast wrócą do Londynu.

- Ale będziemy musieli znów tu przyjechać po świętach -zapowiedział. - Trzeba się zająć uporządkowaniem spraw babki. Mówię „my”, Chloe, bo chciałbym, abyś się wybrała razem ze mną.

Ustępując wobec przeznaczenia, Morgan postanowił, że będzie się starał, aby w jego małżeństwie wszystko układało się jak najlepiej. Gdyby dodać do dystansu psychicznego, który już jego i Chloe dzielił, jakkolwiek dystans geograficzny, pogorszyłoby to tylko sprawę. Z kolei Chloe, szczęśliwa, że nie będzie musiała spędzić w Armitage Lodge świąt Bożego Narodzenia, nie protestowała. Cięża podkreślała dziecięcą szczupłość jej ramion i nóg, co sprawiło, że w Morganie obudziła się czułość, o którą sam siebie nie podejrzewał. Może jeszcze nam się uda, myślał. Spychał na dno świadomości wspomnienia o Caro, lecz nie potrafił zapomnieć o niej w nocy. Wizerunek ukochanej nawiedzał jego sny i Morgan budził się z poczuciem straty, którego nie potrafił znieść. Dzień pogrzebu Leonory Steer był bardzo chłodny. Surowa northumberlandzka zima dała już znać o sobie lodowatymi podmuchami wiatru i obfitymi opadami śniegu. Chmury płynęły

◆**Piosenkę o Kasi mleczarce przelożyła Monika Perczak.**

nisko nad ziemią, a daleki horyzont zabarwiony był na brunat-nożółty kolor, co zapowiadało dalsze śnieżyce. W kościele wypełnionym rodziną, przyjaciółmi i ciekawskimi było jeszcze zimniej niż na dworze.

Śpiewając ostatni hymn, Morgan z trudem powstrzymywał się od szczykania zębami. Leonora pewnie pochwaliłaby ekonomiczne gospodarowanie opałem.

Potem kondukt ruszył za trumną do rodzinnego grobowca. Babka Morgana miała po śmierci spocząć obok swojego męża, za którym za życia nigdy specjalnie nie przepadała. Mam nadzieję, że nie zarezerwowano tu miejsca dla mnie, pomyślał Morgan ponuro.

Wolałbym raczej, aby moje ciało spalono, a prochy rozrzucono po okolicy. Nikt nie zapłakał. Wszyscy mieli posępne miny, jak tego wymaga pogrzeb w rodzinie, ale nikt nie uronił łzy.

Morgan wziął Chloe pod ramię. Była otulona w efektowne futro, więc prawdopodobnie było jej dostatecznie ciepło, czego on nie mógł powiedzieć o sobie. Zauważył, że nikt nie wspomniał nic o testamencie, choć to, co zawierał, z pewnością było dla wszystkich sprawą wielkiej wagi. Morgan przypuszczał, że testament został zdeponowany u adwokata. Uznał, iż jest dość czasu, aby zająć się tą sprawą po Bożym Narodzeniu, które było już za pasem.

Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Po ceremonii pogrzebowej wrócili do Armitage Lodge. Gdy sir Arthur stracił plombę na jednym z twardych jak kamień ciastek Gary, Cassandra pomyślała: Doprawdy nic się nie zmienia. Matka umarła, a Gara wciąż nie potrafi piec ani gotować. Potem zagłębiła się w rozważaniach, co się stanie z nią i jej siostrami. Przygnębiona odpowiedź brzmiała, że prawdopodobnie i w tej sprawie nic się nie zmieni.

Śnieg padał całą noc, a gdy rankiem wiatr ustał, świat wyglądał niczym okryty welonem panny młodej. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się połać nieskazitelnej bieli. Nowe narodziny. Całkowita przemiana krajobrazu przypieczętowała na zawsze koniec panowania Leonory Steer.

Patrick pojechał na dworzec King's Cross po zonę. Caro, idąc wzdłuż peronu do wyjścia, dojrzała przy barierce jego wysoką Postać. Uwolniona wreszcie od rozdarcia, które dreczyło ją w przeszłości, niczego nie pragnęła bardziej niż wziąć go w ramiona.

Patrick chwycił walizkę żony, pocałował Caro i powiedział po prostu:

- Witaj w domu!

Skierował się w stronę postoju taksówek.

- Taksówka? Och, Patricku, czy stać nas na?... Przerwał, rozwiewając jej obawy: - Teraz tak! Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Smollet znalazł mi pracę. W serialu telewizyjnym. Jest szansa na przedłużenie kontraktu, jeśli serial okaże się popularny. Cała sprawa została już sfinalizowana.

Był bardzo podniecony.

- Chyba to wszystko nie stało się, kiedy mnie tu nie było?

- Nie Oferta nadeszła jakiś czas temu, lecz do końca nie było wiadomo, czy kiedykolwiek dojdzie do realizacji projektu. Wreszcie podjęto decyzję i od tej poryjrwały Przewlekłe negocjacje. Nie chciałem rozbudzać w tobie nadziei po tych wszystkich propozycjach, które napływały i nigdy... Spojrzał na Caro filuternie. Po raz pierwszy od miesiący był zdolny tak lekko mówić na ten temat.

- Oto szansa, na którą czekałem. Może się okazać, że to najkorzystniejsza propozycja, jaką kiedykolwiek mi przedstawiono.

Caro była tego pewna. Wiedziała, że telewizja będzie doskonałym miejscem dla rozwoju talentu Patricka. Wzięła go pod rękę.

- Kochanie, jestem taka przejęta. To wspomniała wiadomość. Należy ci się odpoczynek. Obojgu nam należy się odpoczynek. Czy Minerva już wie?

- Nie, jeszcze nie. Chciałem, abyś ty pierwsza się o tym dowiedziała.

Planowałem, że dziś wieczorem zabiorę obie kobiety mojego życia na kolację. Wtedy jej o tym powiem. Caro, chciałbym, aby to był nasz nowy początek.

Tylko w liście, który Minerva miała znaleźć wiele lat później pośród papierów matki po jej śmierci, Patrick bliższy był wyznania jej, iż wie, że prawie ją utracił. Kiedy oboje znaleźli się na tylnym siedzeniu taksówki, całował Caro bez końca, a gdy wreszcie zajechali przed dom, powiedział:

- Och, Caro, kocham cię. Powiedz, że mi wybaczyłaś.

- Nie mam ci nic do wybaczenia. - Namiętnie oddała mu pocałunek.

- Drugi miesiąc miodowy, co? - roześmiał się kierowca, chowając do kieszeni hojny napiwek. Był naprawdę wzruszony tą manifestacją dojrzałej miłości.

- Tak, doskonale pan to ujął - potwierdziła Caro.

Obserwując rodziców podczas kolacji, Minerva uświadomiła sobie, że nowy etap w ich wzajemnych stosunkach nie jest jedynie wynikiem tego, że tata dostał nową pracę. Nie potrafiła jednak zrozumieć, co jeszcze mogło spowodować tak widoczną zmianę. Matka wyglądała kwitnąco - nie wyglądała tak od miesiący, a może od lat. Światło płonących na stole świec rozjaśniało twarze całej trójki. Znow jesteśmy rodziną, skostatowała z radością Minerva.

Mogło być tylko jedno wytłumaczenie takiego obrotu sprawy.

Wieczorem, zanim położyła się do łóżka, wyjęła ukrytą w szufladzie statuetkę i postawiła ją na stoliku, przy którym zwykle odrabiała lekcje.

- Dziękuję - powtarzała gorączkowo. - Och, dziękuję ci!

Clara poszła w końcu odwiedzić Seta. Julia jak zwykle podwiozła ją do wylotu ścieżki. Clara z trudem przedzierała się przez głęboki śnieg. Wiedziała, że Seta pociągało w mej przede wszystkim to, iż miała odziedziczyć fortunę po matce. Teraz, gdy okazało się, że pieniędzy nie będzie zbyt wiele, nie było wielkich nadziei na pomyślne zakończenie ich pierwszego od śmierci Leonory spotkania.

Seth w milczeniu słuchał tego, co Clara miała mu do powiedzenia.

Gdy skończyła, nie odezwał się ani słowem. Wysypał popiół z fajki, usiadł i zamyślił się.

- No cóż, to wszystko - powiedziała niepewnie Clara, chcąc przerwać ciszę.

Seth wstał.

- Muszę teraz wracać do pracy! Napiszę do ciebie. Napisze do niej?

Podczas trwania ich związku Seth nigdy nie powierzył papierowi ani jednego słowa.

Clara poczuła się bliska omdlenia. Zauważyła, że na suszarce stoją dwa kubki. Na jednym z nich widniały wyraźne ślady po szmince. Czy naprawdę chcę wyjść za mąż za kogoś, kto pragnie mnie jedynie przez wzgląd na moje pieniądze? -zapytała siebie w duchu. Była tak zrozpaczona, że omal nie udzieliła sobie odpowiedzi twierdzącej.

Odległy dźwięk klaksonu sprawił, że powróciła do rzeczywistości. Z ciężkim westchnieniem pozbierała się i ruszyła z powrotem przez śnieżne zasy.

- Misja spełniona? - zapytała Julia. Siostra wyglądała na przybitą.

- Zależy, co rozumiesz przez słowo „spełniona” - odparła Clara. Jej przygnębienie było niemal dotykalne.

Żaden list naturalnie nie przyszedł. Cassandra pierwsza zauważyła ogłoszenie o zaręczynach Seta Murgatroyda z Marthą w „Hexham Courant”. Zamieszczenie takiego anonsu nie przyszłoby do głowy Sethowi, musiał to być więc pomysł Marthy. Może od razu podała sprawę do publicznej wiadomości, po to aby Seth nie mógł się później wycofać. Cassandra zastanawiała się, czy powinna pokazać ogłoszenie Clarze. Wreszcie zdecydowała, że to zrobi. Usłyszawszy wiadomość, Clara popadła w przygnębienie, lecz nie wydawała się zaskoczona. Powiedziała tylko:

- Dziękuję, Cassandro. Wiesz, powiedziałam mu, że nie będzie żadnych pieniędzy - po czym nie wracała więcej do tej sprawy.

Obie siostry zauważyły jednak, że po zdradzie Seta w Clarze zaszła zmiana. Rozczarowanie sprawiło, że zamknęła się w sobie; stała się posepna i zgorzkniała, a gdy już otworzyła usta, by coś powiedzieć, były to słowa osoby zgryźliwej i kapryśnej.

- Miejmy nadzieję, że z czasem jej to przejdzie - powiedziała Julia do Cassandry.

Cassandra była zdania, że Clara nigdy nie zdoła się pozbierać. Rana była zbyt głęboka, aby kiedykolwiek mogła całkowicie się zabiżnić.

Choć Seth się nie odzywał, nadszedł list zaadresowany do Julii.

- Nie uwierzyłabyś, to od Fredericka!

- Owszem, uwierzyłabym - odparła Cassandra. - Czego znów chce?

Julia przebiegła wzrokiem list, a potem przeczytała go siostrze:

Najdroższa Julio!

Ależ ten człowiek ma tupet!

Z wielkim żalem dowiedziałem się o smutnym odejściu Twojej matki.

- Ohyda! - wtrąciła Cassandra.

- Owszem! - przyznała jej rację Julia.

Ku memu wielkiemu rozczarowaniu, podczas mojej ostatniej wizyty w Armitage Lodge nie mieliśmy okazji się ze sobą spotkać (Twoja matka wspomniała mi, że zostałam wcześniej zaproszona dokądś na lunch), tak więc moja podróż sentymentalna nie objęła Ciebie, droga żono.

- Nigdy nie myślę o tobie jak o jego żonie - odezwała się znów Cassandra.
- Ja też tak o sobie nie myślę - odrzekła Julia - i, prawdę mówiąc, on chyba też nie.

Jednakże rozważaliśmy z panią Steer możliwość ponownego zbliżenia między nami i odniosłem wrażenie, że ona zaakceptowałaby taki obrót sprawy.

- Ha! - prychnęła Julia.

- Czy aby na pewno rozmawiał z matką? - zastanawiała się Cassandra. - To do niej niepodobne.

Może w przyszłości, droga Julio, moglibyśmy znów się zejść? Chciałbym wynagrodzić Ci krzywdy, których przeze mnie doznałaś. Czy pozwolisz, abym znów mógł się o Ciebie starać? Czekam z niecierpliwością na Twoją rychłą odpowiedź. Tymczasem przyjmij moje szczere kondolencje. Twój na zawsze Frederick

- Wyczuł pieniądze. Myśli, że odziedziczyłam po matce fortunę. Jakże się myli!

- Co zrobisz?

- Napiszę do niego, tak jak o to prosi, ale nie to, czego się spodziewa.

Julia napisała: *Drogi Fredericku Nic z tego.*

Nigdy Twoja Julia

GRUDZIEŃ i STYCZEŃ

Tak jak było ustalone, zaraz po świętach Bożego Narodzenia Morgan pojechał z Chloe do Northumberland. Wigilię Bożego Narodzenia spędzili w towarzystwie Johna i Annabel Post. Ku uldze całej rodziny, Veronica zdecydowała, że na święta zostanie w Bostonie.

- Więc jak wyglądają twoje sprawy na froncie pracy, Morganie? - zapytał Post, krając indyka.

Ciążą Chloe jeszcze zaostrzyła jego wrogość wobec Morgana. Obsesyjnie pragnął wyglądać na rześkiego młodzieńca, dlatego nie potrafił cieszyć się myślą, że zostanie dziadkiem. Przez cały czas był rozdrażniony, a Annabel jak zwykle miała wrażenie, że to ona jest przyczyną jego irytacji.

- Na froncie pracy? Ach, tak, no cóż... - wymamrotał Morgan.

- Ależ tato, nie chcemy rozmawiać o interesach w dniu Bożego Narodzenia. Prawda, Annabel? - przerwała mu Chloe.

Przyznanie racji Chloe oznaczałoby niesubordynację, toteż Annabel wydała tylko jakiś niezobowiązujący dźwięk.

- Widzisz. Annabel się ze mną zgadza - dodała Chloe. Zirytowany Post rzucił żonie pełne rozczarowania spojrzenie.

- Kto chce udko? '

Czas dłużył się okropnie. W nowoczesnym mieszkaniu Postów nawet choinka była wytworem projektanta. Morgan ma-

rzył, aby już wreszcie było po wszystkim. Co sprawia, że w czasie świąt Bożego Narodzenia budzą się w ludziach najgorsze instynkty? - zadawał sobie pytanie.

Gdy wreszcie znaleźli się w pociągu, pomyślał: Dzięki Bogu, mam spokój do następnej gwiazdki.

Jak można się było spodziewać, w Armitage Lodge zaszły pewne zmiany. Po pierwsze, choć gotowanie wciąż należało do obowiązków Clary, menu było dużo bardziej urozmaicone. Podano na przykład pieczeń wołową. Po drugie, włączono centralne ogrzewanie. Ogólnie rzecz biorąc, w domu panował nastrój niemal radosny.

Morgan przeznaczył następny dzień na przejrzanie papierów Leonory. Po jej śmierci nadeszło kilka listów, które Cassandra pieczołowicie składała na biurku. Morgan zadzwonił do adwokata rodziny i dowiedział się, że ten wysłał do niego list. Uzgodnili, iż Morgan skontaktuje się z nim po jego otrzymaniu. Nazajutrz wstał bardzo wcześnie. Chloe leżała jeszcze w łóżku. Mając w ręku przekazane przez Cassandrę klucze, Morgan przystąpił do pracy.

Chloe obudziła się o dziesiątej. Morgana nie było nigdzie w pobliżu. Wypoczęta, wstała z łóżka i podążyła do łazienki. Gorąca woda była też jedną z wymiernych korzyści, jakie płynęły ze śmierci Leonory. Chloe zażyła długiej, relaksującej kąpieli. W godzinę później, ubrana w krótką welwetową sukienkę z białym kołnierzykiem i czerwone pończochy wyszła na podest i zatrzymała się u szczytu schodów, aby włożyć zegarek na rękę.

Mocowała się chwilę z opornym zapięciem, tak że nie zauważyła ani nie usłyszała skradającej się cicho postaci. Potem zrobiła parę kroków i znów przystanąła. Postać zatrzymała się także. Następnie przysunęła się bliżej... Rozklapane staromodne kapcie stłumiły odgłos jej kroków. Blisko, bliżej, jeszcze bliżej... Chloe dotknęła ręką poręczy i właśnie miała zacząć schodzić po wyfroterowanych schodach...

„Jeśli zarówno dziecko, jak i Chloe umrą przed Morganem wszystko wróci do nas”.

Z bijącym złowroźbnie sercem Clara - niczym anioł śmierci - bezszelestnie podeszła z tyłu do Chloe.

I kierowana jakąś przemożną siłą - pchnęła...

A potem... patrzyła, jak Chloe spada.

Meredith zadzwoniła do Caro.

- Słyszałaś? Pewnie nie. W Armitage Lodge wydarzyła się straszna tragedia! Chloe spadła ze schodów i skrzyła kark. Clara była w pobliżu i widziała, jak to się stało. Nagle się poślizgnęła.

- Och, biedna Chloe! Biedny, biedny Morgan! - Caro była przerażona. - Kiedy to się stało?

- Wczoraj rano. Tak niedługo po śmierci Leonory! Wszyscy są wstrząśnięci.

- Z pewnością! Cóż za okropna historia. - Caro poczuła, że robi jej się słabo.

- Ale to nie wszystko.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, że Leonora dawała wszystkim do zrozumienia, iż posiada fortunę. Otóż Julia twierdzi, że nie ma żadnych pieniędzy. Morgan przejrzał papiery Leonory i rozmawiał z jej adwokatem. Okazało się, że większość majątku została roztrwoniona wiele lat temu. Leonora żyła, obracając swoimi akcjami, miała ogromny debet w banku. Może się okazać, że nawet biżuteria już od dawna nie istnieje.

- A akcje? - wypowiadając te słowa, Caro domyślała się, co za chwilę usłyszy.

- To także przypało. Krach na giełdzie. Jak widzisz, same nieszczęścia. List od maklera giełdowego, który nadszedł

w dniu jej śmierci, informuje o rozmiarach strat. Wygląda na to, że dom też będzie musiał pójść pod młotek.

- Więc myślisz, że to mogło spowodować?...

- Prawdopodobnie. Chociaż w końcu miała już dziewięćdziesiąt lat.

Pewnie nigdy się nie dowiemy. W każdym razie przykro mi, że jestem zwiastunem takich złych nowin.

- Mamo, czy Emily wciąż jest u ciebie?

- Tak, wraca do Londynu za dwa dni.

- Mogłabym z nią porozmawiać?

- Oczywiście, zaraz ją poproszę. Emily podeszła do telefonu.

- Caro?

- Och, Emily, chcę cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobiła. Pójdź zobaczyć się z Morganem. Ja nie mogę nic zrobić, aby mu pomóc, ale ty mogłabyś. Przez samą swoją obecność. Rozumiesz, co mam na myśli.

- Dobrze. Oczywiście że pójdę. Może powinnam tam najpierw zadzwonić?

- Nie, jeśli zatelefonujesz, powie ci, żebyś nie przychodziła. Po prostu idź.

Po śmierci żony Morgan pograżył się w głębokiej rozpacz. Chwilami wydawało się, że jest bliski szaleństwa. Zadręczał się poczuciem winy za fatalny wypadek Chloe. Miotał się boleśnie między nieprzepartym żalem po stracie dziecka a szczerą, rozdzierającą serce skrucą. Caro miała rację mówiąc, że jeśli jest w niej zakochany, nie powinien żenić się z Chloe. A jednak, choć wiedział, że miała rację, uczynił ten nikczemny krok. Jestem człowiekiem pozbawionym honoru i nie zasługuję na to, aby żyć, skoro moja żona i dziecko są martwi, dręczył się, kryjąc twarz w dłoniach. Clara była w jeszcze gorszym stanie od niego. Bez przerwy szlochała głośno. Morgan, który nie potrafił poradzić sobie z własną rozpaczą, zaczął jadać posiłki w swoim pokoju, a właściwie dłubał jedynie widelcem w talerzu, przynoszo-

nym mu bezszeleśnie na tacy przez współczującą Julię lub Cassandrę. W nocy często wychodził z domu i szedł, szedł, szedł przed siebie... Gdy patrzył na świeży śnieg, nabierał przeświadczenia, że odpuszczenie grzechów jest możliwe. Zdawał sobie jednak sprawę, że bęz szczerego przyznania się do winy nie powinien liczyć na przebaczenie.

Cassandra, która kładła się spać bardzo późno, zobaczyła go któregoś dnia z okna sypialni: samotna postać idąca przez skutny lodem ogród, oświetlona słabym światłem księżyca. Patrzyła, jak siostrzeniec powoli znika z jej pola widzenia. Myśli Cassandry zwróciły się w stronę Clary. Lekarz postawił diagnozę, że siostra przeżywa załamanie nerwowe. Za jego radą Cassandra umieściła ją w tutejszym szpitalu. Clara nie chciała tam iść i błagała, aby jej do tego nie zmuszano. Cassandra przypomniała sobie z drżeniem przerażającą wróżbę, która spełniła się co do joty. Poza okropnym wypadkiem i powrotem majora Farrella wywróżyła wtedy Clarze przeprowadzkę. Ale nie będzie to nic dobrego, powiedziały karty. I stało się właśnie tak - nie nastąpiło to, czego Clara się spodziewała. Obserwując siostrę, która coraz bardziej traciła poczucie rzeczywistości, Cassandra zaczęła się obawiać, że Clara będzie musiała na stałe pozostać w szpitalu czy zakładzie. Chyba wyrzucę tę talię tarota, postanowiła. Zaczynam się czasem zastanawiać, czy wróżenie rzeczywiście nie jest niebezpieczne.

Wszyscy domownicy, każdy na swój sposób, dokonali po tej tragedii obrachunku z przeszłością i przyszłością. Julia doszła do wniosku, że gdy Morgan w końcu zwalczy w sobie poczucie winy i niechęci do samego siebie, odkryje nowy wymiar swojej osobowości. To jego próba ogniowa. Julia pragnęła wesprzeć go jakoś w nieszczęściu, lecz zupełnie nie wiedziała, jak to zrobić. Prawdopodobnie dlatego, że matka od samego początku starannie zabiegała o to, aby ona i syn nigdy się do siebie nie zbliżyli.

To wszystko przez matkę!

Leonora żelazną ręką rządziła domem i nami, myślała Julia, a my jej na to pozwalałyśmy. Wszyscy w Armitage Lodge,

nie wyłączając Morgana, respektowali jej system wartości. Morgan nigdy nie powinien był żenić się z Chloe... Matka tyranizowała wszystkich, szantażując ich podziałem rodzinnej fortuny... Sądziłam, że nie sposób się z tego wyzwolić, a teraz widzę, że nie było żadnej niewoli z wyjątkiem tej, którą sama sobie narzuciłam. To wszystko było tylko iluzją. Przez całe lata pozwoliłam się więzić w tym domu, zakładając istnienie czegoś, co nigdy nie istniało. Gdy tylko minie okres żałoby i będę mogła stąd wyjechać, uczynię to. Chociaż Bóg jeden wie, dokąd się udam. Byłam okropnie głupia.

Julia podzieliła się swoimi przemyśleniami z Cassandrą i wyznała jej, że dziwi się, iż mogła być tak niemądra. Przypomniawszy sobie ze wzruszeniem, jak pięknie wyglądała Chloe Post w dniu ślubu w jedwabnym kremowym kostiumie z bukietem białych lilii w dłoniach, Cassandra powiedziała tylko:

- Wierz mi, Julio, nie ty jedna.

Emily pożyczyła samochód i pojechała do Armitage Lodge, by zadośćuczynić prośbie siostry. Wokół wciąż leżało mnóstwo śniegu, choć drogi już były oczyszczone. Blade zimowe słońce rzucało na ziemię długie błękitne refleksy. Zastony w oknach były zasunięte, co sprawiało, że siedziba Steerów wyglądała wrogo i nieprzystępnie. Emily zaparkowała wóz i wysiadła. Jej uwagę przykuł poruszający się pomiędzy drzewami długi, ciemny kształt. Coś wlokło się po ziemi w kierunku domu. Zaslaniając oczy przed oślepiającym blaskiem odbitych od śniegu promieni słonecznych, Emily podeszła, aby przyjrzeć się dokładniej, co to takiego, i w ten sposób odnalazła Jardine'a.

Morgan wziął wycieńzonego psa na ręce i zaniósł go do domu. Emily podążyła za nim. Morgan położył Jardine'a na dywanie przed kominkiem.

- Najlepiej będzie, jeśli zadzwonię po weterynarza - powiedziała Emily. -
Masz numer?

- Jest w książce, koło telefonu - odpowiedział Morgan, Nie spuszczał
oczu z psa, który nie miał nawet siły, aby podnieść głowę. Jardine był
kiedyś pięknie umięśniony i miał lśniącą, gładką sierść. Teraz zmienił się
nie do poznania.

- Mówi, że musi najpierw pojechać na farmę Murgatroy-da, mają tam
jakieś problemy z bykiem, potem przyjedzie tutaj - przekazała Emily
wiadomość od weterynarza.

- W porządku. Poproś go tylko, żeby przyjechał tak szybko, jak będzie
mógł. Powiedz, że to nagły wypadek.

Emily odłożyła słuchawkę i zaproponowała:

- Przyniosę mu wody do picia.

Poszła do kuchni i znalazła tam jakiś słoik. Jardine był bardzo
spragniony. Morgan podtrzymywał mu głowę, a Emily wlewała wodę do
pyska. Pies zamerdał ogonem w podzięcie.

- Biedaczek. Jak myślisz, gdzie się podziewał, zanim wrócił do domu?

- Bóg jeden wie! I Bóg wie, jak zdołał przetrwać te śnieżyce. Choć to
tłumaczy, dlaczego nie mogliśmy go znaleźć. Najważniejsze, że wrócił
do domu.

Morgan był bliski łez.

Emily rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Wyglądał mizernie. Był nie
ogolony, a jego potargane włosy i cienie pod oczyma przywiodły jej na
myśl bohatera romantycznych ballad. Pomimo niedbałego stroju, wydał
jej się bardzo atrakcyjny.

- Morganie, tak mi przykro. To Caro poprosiła mnie, żebym przyszła.
Uważała, że sama obecność życzliwej duszy może ci pomóc.

Rzucając jej udręczone spojrzenie, powiedział:

- Miała całkowitą rację. Potrzebuję kogoś takiego, ale nie może to być
nikt z domowników. Ciotka Clara zupełnie się załamała i odwieźli ją do
szpitala. Nic dziwnego. Widziała, jak to się stało. Naturalnie zostanie
jeszcze przeprowadzone dochodzenie w tej sprawie.

- Co zamierzasz zrobić po jego zakończeniu?

- Muszę pojechać do Londynu, żeby uporządkować sprawy babki i zobaczyć się z prawnikiem Chloe, który nalega na spotkanie tak szybko, jak to tylko możliwe.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- To pewnie weterynarz. Możesz mu otworzyć, Emily? Zawołam Cassandrę. Jeśli Jardine przeżyje, będzie musiała zająć się pielęgnowaniem go, gdy ja pojadę do Londynu.

Emily zadzwoniła do Galerii i poprosiła do telefonu Victorię Harting. Opisała jej całą sytuację, kończąc słowami:

- Wiem, że nie bardzo ci to na rękę, ale Morgan naprawdę przechodzi ciężki kryzys. Gdybyś mogła dać sobie radę beze mnie jeszcze przez tydzień...

Victoria bardzo lubiła Emily, toteż zgodziła się łatwo.

- Znajdę jakieś zastępstwo. Nie martw się, Emily. Wiem coś niecoś o takich kryzysach - powiedziała i westchnęła ciężko, myśląc o wyczynach Jacka Careya. - Oczekujemy twego powrotu w przyszły poniedziałek.

Po drugim pogrzebie Morgan wrócił do Londynu. Emily pojechała tam już wcześniej i Morgan zaczynał za nią tęsknić. Tęsknił bardziej, niż się spodziewał. Prawdopodobnie dlatego, że z Emily łączyły się wspomnienia z czasów, gdy jeszcze wszystko układało się dobrze.

Przeglądając po jej wyjeździe album ze starymi fotografiami, znów natknął się na zdjęcie całej ich trójki, łowiącej ryby na brzegu Tyne: Caro - szczupły, kanciasty podłotek u progu kobiecości, on sam, także chudy i kanciasty, oraz Emily - okrągłutka, nieśmiała dziewczynka o niesfornych lokach i pulchnych kolankach, patrząca spode łba w aparat i ściskająca w dłoniach słoik konfitur. Prawdę mówiąc, pomiędzy nim i Caro nie było zauważalnego podobieństwa. Nie po raz pierwszy od chwili, gdy usłyszał rewelacje Meredith, Morgan zastanawiał się, czy rzeczywiście jest jej bratem. Chociaż nie miało to już żadnego

znaczenia. Tragiczna śmierć Chloe i przytłaczające poczucie winy skutecznie wypaliły jego pamięć do Caro.

Dalej przewracał kartki albumu. Daty i miejsca były wypisane pod każdą fotografią. Zauważył, że Emily na zdjęciach stopniowo się zmieniała.

Była wysmukła i w istocie bardzo ładna, a gęste włosy jeszcze dodawały jej uroku. Zabawne, że dopiero teraz to zauważył. Może przez te wszystkie lata był zbyt zapatrzony w Caro, aby rzeczywiście zobaczyć w Emily kobietę. Zastanawiał się, co się stało z tym okropnym człowiekiem, z którym była związana. Jak on się nazywał? Chyba Larch.

W mieszkaniu przy Prince's Gate, które miało być wkrótce wystawione na sprzedaż, panował zaduch. Prawnicy Chloe z firmy Wagstaffe, Wagstaffe i Wagstaffe prowadzili niezwykle renomowaną kancelarię, toteż Morgan - zanim udał się na spotkanie z nimi w St James - przebrał się w garnitur. Gdy przybył na miejsce, zaprowadzono go do gabinetu.

- Pan Tertius Wagstaffe wkrótce pana przyjmie - oświadczyła praktykantka, wręczając Morganowi „Timesa”.

Tertius Wagstaffe był niskim, krępyim mężczyzną; nosił nieprawdopodobnych rozmiarów muszkę i wydał się Morganowi tak stary, że mógłby pamiętać biblijny potop.

- Ach, pan Steer. Proszę wybaczyć tę chwilę zwłoki. Zatrzymał mnie gadatliwy klient. Zanim zaczniemy, proszę przyjąć moje kondolencje z powodu przedwczesnej śmierci pańskiej małżonki. To smutne! Bardzo smutne! A teraz przejdźmy do interesów. Czy pani Steer wyjawiała panu treść swojego testamentu?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem nawet, że spisała testament.

- Zrobiła to za moją radą. Jak pan wie, pani Steer była kobietą bardzo zamożną, lecz niezbyt praktyczną. Dlatego też w zasadzie polegała w tych sprawach na nas. Doradziłem jej, aby na wypadek jej śmierci pieniądze przeszły na własność dziecka, którego się państwo spodziewaliście. No i oczywiście dożywotnia pensja dla pana. A gdyby oboje umarli przed

panem, wszystko miałby odziedziczyć pan. Nie ma sensu rein-westować pieniędzy w rodzinę Postów. Trzeba je puścić w obieg, tak jej powiedziałem. I tak się stało. Pan dostaje wszystko. Może pan z tym zrobić, co się panu podoba.

- Wszystko? To znaczy ile?

Pan Wagstaffe wymienił zawrotną sumę.

Chryste! W jednej chwili jestem niemal na bruku, pomyślał Morgan, a w następnej zostaje właścicielem ogromnej fortuny.

- A co z moim teściem? Jestem pewien, że będzie próbował podważyć testament - powiedział.

- Czyżby? Więc pozwolę panu Postowi spróbować. Niech wyda na te próby tyle pieniędzy, ile tylko chce - oświadczył pan Wagstaffe z satysfakcją. - Nie uda mu się to. Testament jest nie do podważenia. Wiem to, bo sam go sporządziłem. Mogę panu powiedzieć, że już rozmawiałem z panem Postem telefonicznie. Udzieliłem mu poufnie odpowiednich informacji. Był bardzo wzburzony, ale udało mi się przekonać go o słuszności tego, co mu powiedziałem. Przechodząc do następnej sprawy... Mam jeszcze jedno pytanie: czy zechciałby pan skorzystać z usług naszej kancelarii przy prowadzeniu spraw spadkowych, czy wolałby pan zwrócić się do swojego adwokata?

Morgan pomyślał, że pan Wagstaffe najwyraźniej dobrze zna Johna Posta, a to mogło okazać się pomocne.

- Och, naturalnie, że skorzystam z pańskich usług, panie Wagstaffe, to nie ulega wątpliwości - oświadczył.

Wstał.

Podali sobie ręce.

Gdy Morgan wychodził, pan Wagstaffe powiedział jeszcze:

- Proszę wybaczyć, że o to pytam, ale czy to prawda, że pan Post nie wziął udziału w pogrzebie córki?

- Nie. Zamierza zamówić osobne nabożeństwo żałobne. Bez mojego udziału.

- A matka?

- Jeśli dobrze zrozumiałem, to właśnie ona ma się zająć całą sprawą.

- Doprawdy? No, no! Cóż za oryginalna rodzina. Otrzyma pan od nas wiadomość w ciągu najbliższych dni, panie Steer. Pozwoli pan, że odprowadzę go do drzwi.

Wróciwszy na Prince's Gate, Morgan zaczął chodzić tam i z powrotem po pokojach. Trudno mu było uwierzyć, że stał się nagle posiadaczem ogromnej fortuny. Nie będzie musiał sprzedawać domu ani mieszkania. Fakt, że tragedia spowodowała pomyślny obrót jego spraw, przerażał go i wprawiał w pomieszenie. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy płakać.

„Trzeba je puścić w obieg”.

Przypomniały mu się słowa Tertiusa Wagstaffe'a. Dam mamie i ciotkom dość pieniędzy, aby mogły być niezależne, postanowił. Przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić. Ale dziś wieczorem potrzebuję towarzystwa.

Muszę z kimś porozmawiać. Jeszcze niedawno stanęłaby mu przed oczyma Caro, ale teraz ujrzał jej małą siostrzyczkę - Emily. Znalazł w książce telefonicznej numer Galerii. W słuchawce odezwał się młody, uprzejmy głos. Morgan poinformował się:

- Czy mógłbym rozmawiać z Emily Barstow?

- A kto mówi?

- Morgan Steer.

- Morgan? - odezwała się Emily, gdy w końcu podeszła do telefonu. - Wszystko w porządku?

Nie udzieliwszy odpowiedzi na to pytanie, Morgan powiedział:

- Chciałbym się z tobą zobaczyć. Masz dziś wolny wieczór? Może wybierzesz się ze mną na kolację?